

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

254013

WACŁAW SZYMANOWSKI

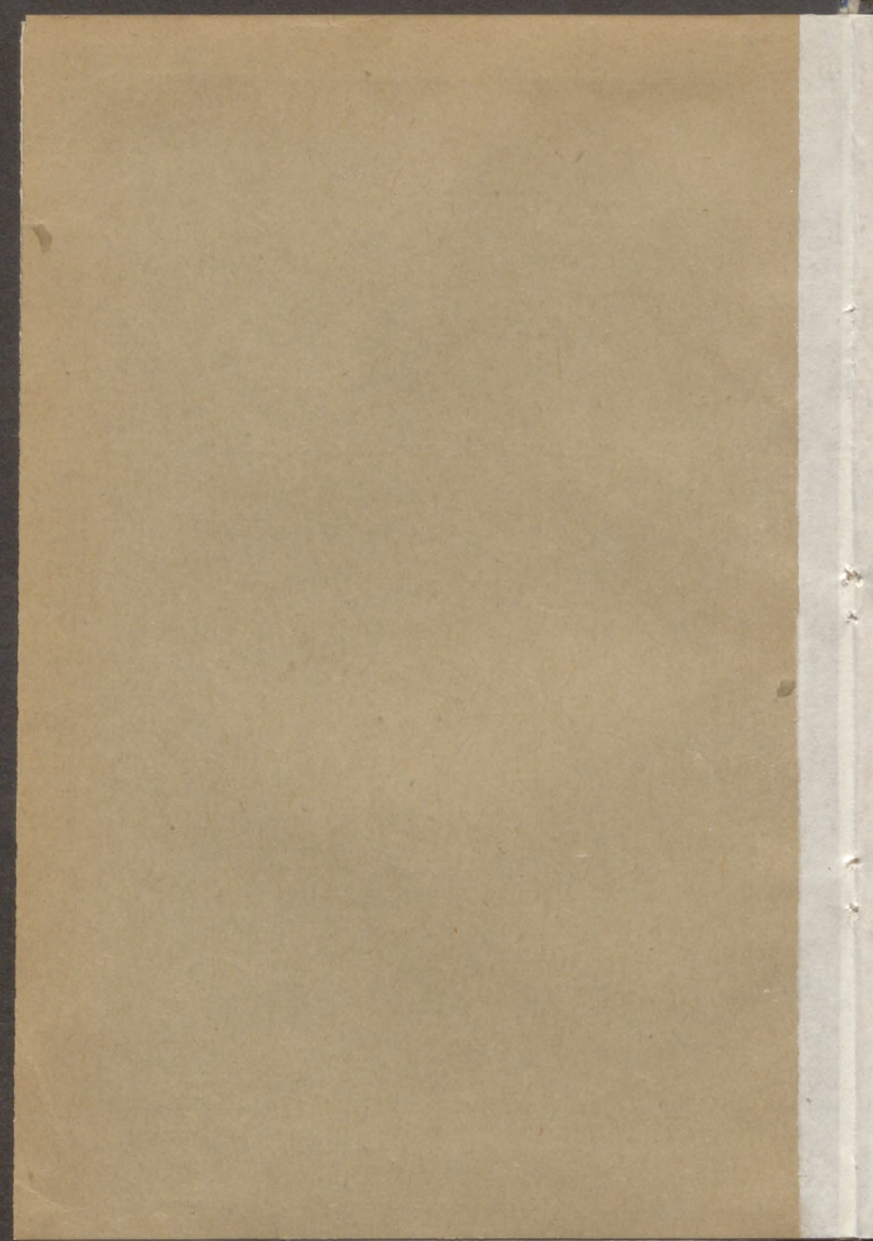
POEZYJE I DRAMATA

TOM II



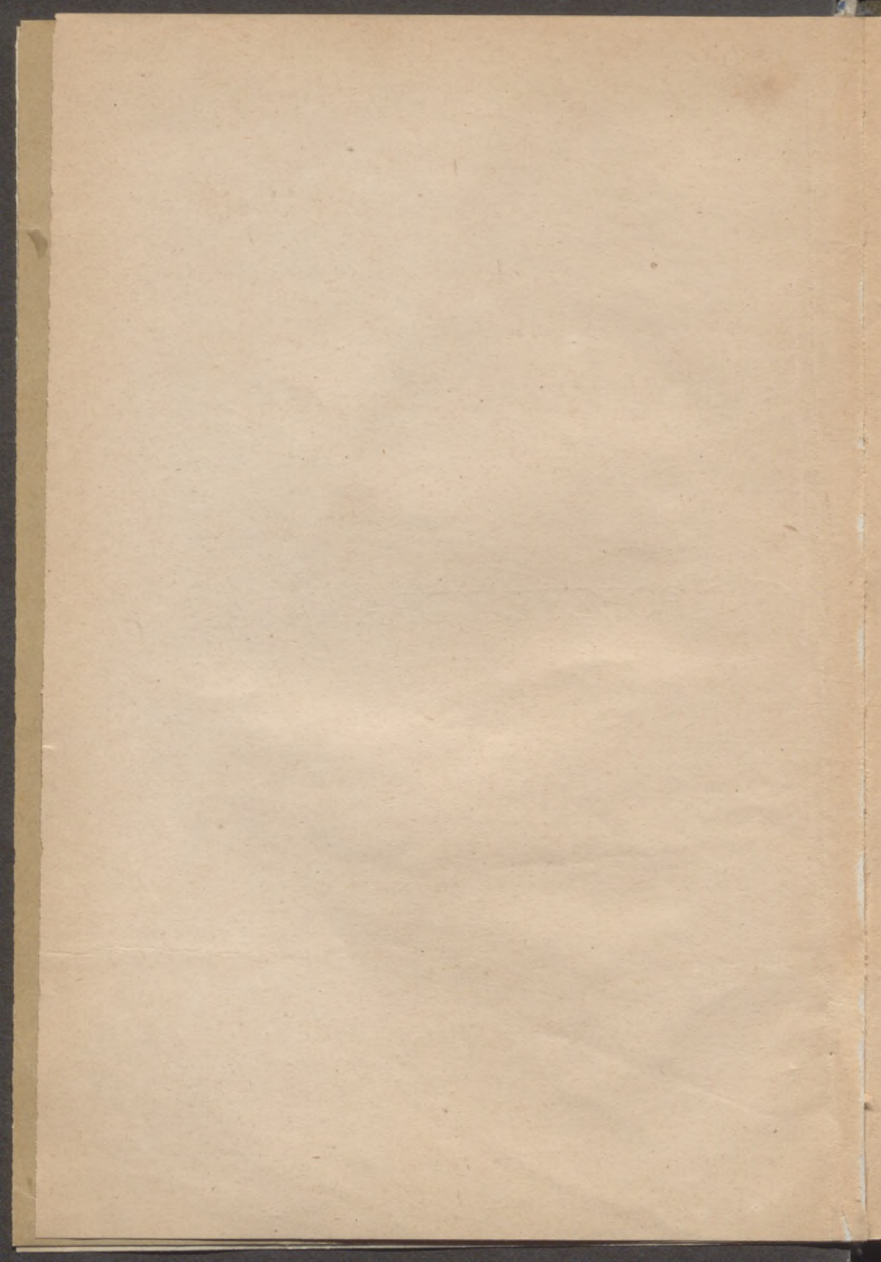
WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

1884.



Brah str 71-78

POEZYE I DRAMATA.



254013

WACŁAW SZYMANOWSKI.

POEZYJE I DRAMATA.

TOM II.

21

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1884.

Дозволено Цензурою.
Варшава 22 Ноября 1883 года.

254013



Przekłady.

1850

S I E R O T Y .

Z Wiktora Hugo.

I.

Noc. Ciężkie krople deszczu wiatr zimowy miecie,
Chata jest pełną cienia, ale wpośród cieni
Jakieś niepewne światło mdlawo się promieni.
Pod sufitem rybackie rozwieszono siecie,
Parę drewnianych półek przy białonój ścianie,
A na nich kilka misek obok pustej dzieży;
Wgłębi tapczan pokryty płótnem; przy tapczanie,
Na dwóch koszlawych ławach stary siennik leży:
Tam dziątek śpi pięciuro. A z komina płowe
Światło na czarne belki w krwawy odbłysek pada,
Mżąc ponuro. Oparłszy na tapczanie głowę,
Młoda kobieta klęczy i modli się blada...
To matka. Sama w chacie. Zewnątrz, śród nawały
Burzliwój, na mgłę, na noc, na wichry, na skały,
Rozpieniony ocean gromką skargę miota.

II.

Mąż jęć na morzu. Wiosłem ciemne fale porze;
 On rybak. Walka z losem to jego żywota
 Jest dola. Deszcz czy burza, on musi na morze
 Płynąć, bo dzieci głodne. Odjeżdża z wieczora,
 Gdy się przypływ bałwanów silniej z brzegiem pora,
 Sam, a nieraz mu w duszy ponuro i smutno.
 Tymczasem żona w domu grube zszywa płótno,
 Naprawia wędy, suszy pomoczone sieci,
 Dogląda ryby, która wędzi się w kominie,
 I modli się do Boga, żeby spały dzieci.
 On w mroźną noc grudniową coraz dalej płynie,
 Porzuc fale po fali, wysiłkiem znękany,
 A wokoło chłód, ciemność i szum morskiej piany.

Tak trzeba wciąż przed siebie przez morskie odměty
 Płynąć wśród skał podwodnych, które szum wód bieli,
 Żeby odnaleźć miejsce, gdzie los uśmiechnięty
 Obdarzy łowcę rybą o złożonej skrzelu.
 A przestrzeń to niewielka wśród wodnej otchłani,
 Punkcik w nieskończoności, kędy morze cichsze;
 Jakże go tu wyszukać przy zimowym wichrze,
 Co kawałkami lodu twarz i ręce rani,
 Kiedy niebo dokoła czarną skryte chmurą,
 Gdy się coraz gwałtowniej prąd merski wysila,
 Skrzypią zmęczone żagle, ster jęczy ponuro,
 A wiosło się z pod ręki wymyka co chwila?
 On tymczasem wśród fali, co huczy spieniona,
 Marzy o swój najdroższej Joasi,—a ona

Duma o nim i płacze... i myśli ich rączo
 Biegnać, jak dwie ptaszyny, w powietrzu się płaczą.

III.

Matka szepcze modlitwę, co majtków śród burzy
 Chroni; zdala głos mewy ponuro jój wtórzy
 I przeraża ją morze swą groźną nawałą;
 Jakieś cienie przez duszę ciągną się zbolałą,
 Coraz smutniejsze widma zwołując i krwawsze
 Tych, którzy w głębiach morskich legli już na zawsze.

Tymczasem stary zegar, dźwięki miarowemi
 Rozmierza czas, i liczy godziny, dni, lata,
 A każde uderzenie na przestrzeni świata
 Jakieś życie zamyka, albo nowe plemi,
 Otwierając na dolę możnych lub nędzarzy
 Tu kołyskę a tam grób.

Więc kobieta marzy;
 Bo wielki ciężar nędzy mdłe jój barki niosą.
 Nieraz zimą czy latem, biedna, chodzi boso,
 Krzątając się dla chleba, co czarny i suchy.

Na niebie chmur płaszcz szary wiatr rwie na okruchy,
 Dmąc jak miech; a o skały szum fal bije wściekły,
 Jakby młotem... Ostatnie gwiazdy już uciekły
 I znikły niby iskry gasnące w popiele...
 Już północ:—owa północ, co płodzi wesele
 I z pod maski jedwabnej uśmiecha się rada;

I owa północ zbójcza, gdy wiatr rozszalały
 Zbłąkanego na morzu rozbitka napada,
 Gruchoćąc go o twarde ścian podwodnych skały,
 I strasznie, kiedy deski zgruchotane z trzaskiem
 W głęb' się suną, a fala jęk ostatni głuszy,
 Gdy zapadając w otchłań, przed oczyma duszy
 Nędzarz widzi brzeg, słońca ozłocony blaskiem.

IV.

Biedne żony rybaków! O! ileż cierpicie,
 Powierzając otchłani miłość waszą całą;
 Gdy wasz mąż, syn, brat, ojciec walczy tam o życie,
 Gdy w tym wirze lgnie wasza krew, dusza i ciało!
 Bo fala morska ślepa, głupia i zdradziecka;
 Kobieta czuje, że śmierć naostrza swe szpony,
 I że nad głową męża, lub nad głową dziecka
 Wicher morski rozwija pęd burzy szalony,
 I że przeciw tym falom, co zdziczałe płyną,
 I że przeciw tym skałom, co szarpia w kawały,
 Jedyném ocaleniem, ucieczką jedyną
 Jest parę lichych desek i szmat płótna mały...
 Więc biedna na brzeg biegnie, i wśród nocnej ciszy,
 Drogich krzykiem rozpaczy wzywa z serca wnętrza;
 Ale morze nie widzi, nie czuje, nie słyszy,
 Tylko coraz groźniejszą falą się rozpiętrza.

Lecz Joanna jest stokroć nieszczęśliwszą; ona
 Wie, że mąż jój sam jeden, i może w tej chwili,
 W ostatniej grozie śmierci walczy tam i kona...

Więc mówi: „Gdybyż chłopcy choć dorośli byli!
On tam sam!” — A gdy kiedyś, z nim, na morskiej fali
Zawisną, rzeknie z płaczem: „Gdybyż byli mali!”

V.

Bierze płaszcz i latarnię, i wychodzi. Trzeba
Opatrzeć brzeg skalisty i zbadać stan nieba;
Czy płomień, co powrotu zwiastuje nadzieję,
Nie płonie już sygnałem na maszcie... czy dnieje...
Zobaczmy. Wkoło pusto i głucho. Śród cieni
Jeszcze się biała linia zorzy nie promieni.
Deszcz mży,—ów deszcz poranny, który się zdradziecko
Wpija wszędzie i ciało zimnym wstrząsa dreszczem.
Dzień się waha niepewny, bo światło jak dziecko,
Czując, że się ma na świat zrodzić—płacze deszczem.
A w oknach wszędzie ciemno.

Tędy oto droga...

Joanna dąży przed się. Wśród chmur deszczu ławych
Tam cień jakiś. To stoi lepianka uboga;
Bez światelka, drzwi skrzypią na zawiasach rdzawych
Na wolę wiatru. Ściany spękane. Ze strzechy
Dziurawej, mokre słomy zwieszają się wiechy,
Bo je starość ku ziemi nachyla i gniecie.

I spojrzała Joanna.

— „To ta biedna wdowa —
Rzekła, — jęj także ciężko na tym Bożym świecie.”

Cherlała wciąż nieboga... Zobaczymy czy zdrowa?..”
 A więc ostrożnie do drzwi puka. Cisza głucha.
 Dreszcz ją przejął. Milczenie. Znów nadstawia ucha.

— „Widać chora, a dzieci dwoje. Sama jedna,
 Bez męża. Ciężko żywić dzieci. Musi biedna
 Cierpieć.”

I puka mocniej, myśląc sobie:

— „Pewno
 Śpi twardo. Jakże do niej pukać trzeba długo!”

Wtém drzwi same się niemą otwarły posługą,
 Jak gdyby czuciem ludzkim martwe żyło drewno.

Więc weszła, i spogląda naokół. Latarnia
 Skupione cienie izby na strony rozgarnia,
 A deszcz kapiąc z pułapu w mgłę się siną mroczy.

I nagle straszny widok uderzył jój oczy.

W kącie izby, na kłębie zbrukanéj odzieży,
 Naga, sina i sztywna kobieta tam leży.
 To trup. Już się jój oczy na zawsze zawarły.
 Przerażający widok téj matki umarłej...
 Biedna!... Toż z niej zostało po upartéj walce
 Z losem?... Ręka jój jedna zwiesza się ku ziemi,
 Jakby chciały ją ująć zeszywniałe palce...
 A tchnienie śmierci wieje ustami sinemi,
 Które w ostatniej chwili, zionąc z siebie ducha,
 Wydały ten krzyk grozy, co go wieczność słucha.

Obok niéj, przy zastyglém ognisku komina,
 Leży dwoje dzieciaków, chłopak i dziewczyna,
 I we śnie uśmiechają się do siebie.

Matka,

Dłoń śmierci już na sobie czując lodowatą,
 Chciała swe biedne dzieci chronić do ostatka
 I wystrzępionéj sukni nakryła je szmatą.
 A była to ostatnia już sierot osłona...
 Niech w ciepłe zasypiają, kiedy skrzepnie ona...

VI.

Jak cicho śpią przy sobie te biedne sieroty!...
 Tchnienia się ich mieszają razem. To sen złoty
 Niewiniątek,—i żadna, zdałoby się, siła
 Nie przerwie go, a możeby ich nie zbudziła
 Trąba ostatecznego sądu, na krawędzi
 Chmury.

Dzieci Bożkiego nie boją się Sędzi.

A szaruga wre zewnątrz. Przez zmurszałe sople
 Słomy, na trupa, deszczu wciąż spadają krople.
 Zdawałoby się, że łzy po téj twarzy płyną.
 Jakieś dzikie odgłosy wstrząsają głębiną
 Wód, jak dzwon pogrzebowy; a martwa ich słucha,
 Jakby ciało napowrót zwoływało ducha.
 Usta z oczyma gwarzą w milezeniu głębokiém:
 — „Coś zrobił z twojém tchnieniem?” — „A ty z twoim
 [wzrokiem?”

Niestety! życie, czujcie, cieszcie się... To wasze
 Co dzisiaj. Do dna szczęścia wypróżniajcie czasę,
 Nie wsłuchując się w głosy, które wieczność szepce,
 Bo los, tój uczcie życia pierwotnej, kolebce,
 I matkom czuwającym nad dziećmi bez przerwy,
 I pocałunkom ciała, co wstrząsają nerwy,
 I uśmiechom, i pieśniom, co na usta biega,
 Jako ostatnie słowo daje grób.

VII.

Dla czego

Joanna tak ucieka od tój matki ciała,
 Zostawując je w cieniów otoczeniu smętném?
 I kryje coś pod płaszczem jakby się lękała?
 I serce jój uderza przyśpieszoném tętnem?
 Czemu szybko do domu drżącym dąży krokiem,
 Jakby ją straszne jakieś goniły widziadła?
 Czemu, wszedłszy do izby, niespokojnym wzrokiem
 Wodzi, kryjąc coś w łóżku?...

Co ona ukradła?

VIII.

Szarawe światło zorzy już zwolna z pod cienia
 Bielalo; w chatce tchnienia szeptały dziecięce
 Modlitwę; ona siadła i głowę na ręce
 Oparła, jakby trapił ją wyrzut sumienia.
 Jakieś słowa się w ciszy z ust jój wrywały,
 A wtórzył im szum fali zdala rozszalałój.

— „Biedaczysko — mówiła—cóż on na to powie!
 Już trudy życia na nim ślady swe wyryły;
 I tak dzieci pięcioro na téj jednéj głowie
 Cięży — tyle pracować—to chyba nad siły.
 A tu jeszcze... wszak to on?—nie.—I cóż?... Któż poda
 Biednym rękę?... musiałam. Przyjdzie tu za chwilę —
 Może zechce mnie wybić... Odpowiem mu: „Zgoda,
 „Bij mnie...” Tak... to on teraz... nie—znowu się myślę.
 To trudno... oburknie się... powie, że nic potem...
 Tak pragnęłam, by wrócił... teraz mam obawę...”

Powstała i raz jeszcze upadła na ławę
 Bezwładna... serce w piersi biło jakby młotem;
 Więc tak siedziała nad swym zadumana losem,
 A mewy się chrapliwym odzywały głosem.

Nagle drzwi zawiasami skrzypnęły staremi,
 Struga światła białego zabłysła na ziemi,
 I rybak, siatkę w ręku trzymając zmoczoną,
 Stał u wejścia i rzekł:

— „No, masz mnie już, żono!”

IX.

Joanna się gwałtownie rzuciła ku niemu
 I na piersiach mu zwisała,—a on po staremu
 Wziął ją i ucałował, — i w brzasku półcieni
 Pozostali tak chwilę uściskiem spojeni.

— „Jakaż pogoda?”

— „Dźdźysta.”

— „A morze?”

— „Bez chyby

Burza będzie, bo wiatr dmie jak z miecha. Dwa węzły
Płynąłem, ale siecie nadaremnie grzęzły,
Ani jednej mizernej nie schwyciłem ryby.
Wicher pchał łódkę na bok, myślałem bez mała
Że wywróci, a grad mnie tak wytłukł aż parzy...
No... ale ty przez ten czas cożeś porabiała?
W domu zdrowo?”

Kobieta skraśniała na twarzy.

— „U nas?—rzekła—a cóż chcesz, mój kochany? co tu
Może być? Szyłam, głosu nasłuchując grzmotu
Dalekiego, jak w morskiej odbijał się fali...”

Głos jój począł drżeć trochę, lecz mówiła dalej:

— „Czy wiesz?... nasza sąsiadka umarła... ta wdowa
Po majtku... No, była już niźupełnie zdrowa...
To wczoraj... dzieci dwoje pozostało po niej...
A powiadam ci, jaka nędza!... niech Bóg broni!...
Jedno jeszcze nie chodzi, a drugie od ziemi
Ledwie odrosło... straszna bieda będzie z niemi...”

Rybak nagle spowaźniał, i rzucił do kąta
Czapkę sączącą wodą:

— „Ot tobie wesele! —

Rzekł—do nas zawsze jakaś bieda się przypląta...
 A przyznam się, siedmioro, to trochę za wiele...
 I tak bywały chwile, że się kładło nieraz
 Bez wieczerzy... A pytam, co tu robić teraz?
 No—lecz to nie ich wina... Jak się raz usadzi
 Nieszczęście... Niech Bóg radzi o swojej czeladzi...
 Po co im zabrał matkę?... Mój Ty Jezu złoty!
 Co Tobie zawiniły te biedne sieroty?
 Wszak pracować nie mogą... to już nad ich siły..
 No... wiesz co moja żono... jeśli się zbudziły,
 Idź i sprowadź je tutaj... to charłactwo głupie
 Musi tam drzeć ze strachu i zimna przy trupie.
 Toż matka do wrót naszych puka o te swoje
 Sieroty... do pięciorga przybędzie ich dwoje...
 I jeśli się nam przez to pomnoży mozołów,
 Jeśli nie potrafimy im zaradzić sami,
 To Pan Bóg, ojciec sierot, pewno się nad nami
 Zlituje i obfitszy nadarzy mi połów.
 Będę pił czystą wodę i pracował za to
 Za dwóch... No... czemuż na mnie patrzysz głupowato?
 Rusz się... dalej! żywo...”

A żona zasłone

Od łóżka uchyliwszy, rzekła:

— „Otoż one!”

Z A S Ł O N A.

(Z Wiktora Hugo).

Siostra.

O bracia! słowo, choć jedno
Słowo rzeknijcie, dla Boga!
Ponure lica wam bledną
I jakaś jasność złowroga
W oczach płomieni wam płowych,
Co dotąd słodko patrzyły.
Już dwakroć z pochow wężowych
Zabójcze błysły kindżały.

Najstarszy brat.

Czyś nie podniosła dzisiaj twój zasłony białej?

Siostra.

Z łaźni.... na głowę proroka!
Z łaźni wracałam dziś z rana,

Skryta przed wzrokiem szatana,
 Co z giaurów zabłyska oka.
 Gdym miejską mijała broneę,
 Słońce paliło żarzewiem;
 Jak to się stało... ja nie wiem, —
 Wiatr zwiął na chwilę zasłoneę.

Drugi brat.

Człowiek jakiś z bram miasta szedł właśnie w tę stronę.

Siostra.

On mnie nie widział, mój bracie,
 Nie widział... na Boga w niebie!
 Lecz wy coś z sobą szeptacie,
 Wy coś szeptacie do siebie!...
 Nie widział!... bracie mój drogi,
 Czyliż koniecznie krwi chcecie?
 Przebaczcie biednej kobiecie,
 Co wasze całuje nogi.

Trzeci brat.

Wczoraj zachód pokrywał całun krwi złowrogi.

Siostra.

Tak... i krwią oczy wam płoną.
 Litości, litości! Boże!!
 Odwróćcie te wasze noże!...
 O moja biała zasłono!...

Wyście przeleli krew własną,
Biada wam!... biada mnie, biada!
Na moje oczy, co gasną,
Zasłona śmierci opada.

Czwarty brat.

Téj zasłony już żadna nie podniesie zdrada.

K A I N .

(Z Wiktora Hugo).

W krwawej, z dzikiego zwierza świeżo zdartej skórze,
Z włosami rozwianemi przez wiatry i burze,
Kain z dziećmi uciekał przed gniewem Jehowy.
I gdy wieczór cień ziemi narzucał grobowy,
U stop góry, co wielką płaszczyznę ocienia,
Żonie jego i dzieciom zabrakło już tchnienia;
I rzekły:

— „Tu legnijmy i śpijmy na ziemi.”

Kain nie spał, myślami trapiiony czarnemi,
I wzniosłszy głowę w górę, nad sobą wysoko,
Ujrzał w ciemnościach nocy wciąż otwarte oko,
Które nań spoglądało żrenicą błyszczącą.
Rzekł:

— „Jestem tu zbyt blisko jeszcze.”—

Dłonią drżącą

Rozbudził synów śpiących i żonę zmęczoną,
I jął uciekać z nimi w przestrzeń niezmierną.

I szedł trzydzieści nocy i szedł dni trzydzieści,
 Wylękły, blady, w niemój trwodze i boleści,
 Bez spojrzenia za siebie, bez snu, i bez chwili
 Spoczynku. Aż nareszcie znużeni przybyli
 W kraj nadmorski, co Assur miał mu nadać miano:

— „Tu, rzekł Kain do swoich, spocząć nam jest dano
 Bezpiecznie; krańce ziemi już tu toną w morzu.”

Zatém usiadł i spojrzał po niebios przestworzu.
 A tam znów straszne oko jak przedtém błyszczało.

Zachwiał się mężobójca, dreszcz przebiegł mu ciało:
 — „Ukryjcie mnie, zawołał, to spojrzenie pali!”

I na ten przestrach ojca synowie patrzali.

A więc rzekł do Jubela, co pierwszy w pustyni
 Z plecionój sierści zwierząt namioty poczyni:

— „Płótno twego namiotu rozepnij z téj strony.”

I wnet się rozpostarły chwiejące opony,
 A gdy je ciężki ołów przytwierdził do ziemi,
 Spytała Tsylla, dziewczę z włosami jasnemi:

— „Czyliż już nic nie widzisz?”

A Kain téj córce
 Swych synów odrzekł:

— „Zawsze to oko tam w górze.”

Więc Jubal, co kraj świata plemię jego zwiedzi,
 Bijąc w skórzane kotły i dmąc w trąby z miedzi,
 Zawołał:

— „Ja zaporą ochronię cię nową.”

I ukuł mur miedziany po nad ojca głową.

A Kain rzekł:

— „To oko zawsze na mnie patrzy.”

Więc Henoch kupę cegły i gliny układłszy,
Rzecz:

— „Trzeba wokoło zbudować tu mury,
I otoczyć je w wieże sterczące do góry,
I zamknąć, by tu żadni obcy nie zajrzali.”

Więc Tułalkain, który jest ojcem kowali,
Zbudował wielkie miasto, co go wieże strzegą;
A kiedy on pracował, inni bracia jego,
Szukając synów Seta i bojując co dnia,
Oslepiali strzałami każdego przechodnia.
A wieczorem ku gwiazdom wypuszczali strzały.
I już wnet w miejsce płótna granity sterczały.
A w każdy twardy kamień klin żelazny wrasta,
I gród do piekielnego podobny był miasta:
Cień z murów noc na błonie rozlewał wokoło,
Wieże dumne ku niebu podnosiły czoło,
A u bramy stał napis:

„Tu się wejścia broni

Bogu.”

I gdy swe miasto ukończyli oni,
Układli ojca w wieżę co była jak skała
Z muru, i wówczas drżąca Tsylla zapytała:

— „Czyliż to oko znikło?”

A Kain z zwieszoną

Głową rzekł:

— „O nie, zawsze tam nademną ono!”

I rzekł dalej:

— „Schronienie zróbcie dla mnie w ziemi,
Bym się tam już nie spotkał z twarzami ludzkiemi,

By mnie tam żadne ludzkie nie dosięgło oko.”

Więc jamę dla Kaina kopano głęboką,
I wszyscy go synowie spuścili w podziemie,
A kiedy nad nim piasku usypano brzemie;
I gdy na twardym głazie układł głowę sobie,
Straszne oko patrzyło na Kaina w grobie.

R U M A K .

(Z Wiktora Hugo).

I chwyciłem go za uzdę
I ciągnąłem całą siłą,
Że aż między brwiami brózdę
Wysilenie mi żłobiło.

Był to wielki rumak chwały,
Jak Astarte zrodzon z morza,
Karmiła go matka zorza
Swój jasności zdrojem białej.

Skrzydłonośny, nieużyty,
W piersi zapał, w oczach dzielność...
Po nad ziemskich wyżyn szczyty
Wbiega w modrą nieśmiertelność.

Każdy geniusz, co na chlubę
Świata w blasków jaśniał łunie,
Na ognistym tym biegunie
Odbył pierwszą lotu próbę.

U poetów, u proroków
Ślad płomienny został jazdy;

Zażęły go śród obłoków
Z pod nóg jego trysłe gwiazdy.

On przez długi szereg wieków
Żywym źródłem z skały strzela,
Hypokreną darzy Greków
A Raphidim Izraela.

On w Apokalipsie świętej
Śmierć z obliczem wiedzie nagiem,
I ponad Archipelagiem
Burzy straszne mórz odmęty.

Krzyk Amosa, gniew Pelida,
Siłę budzi w nim namiętą;
Głuche kopyt jego tętno
Eschyłową miarę wyda.

Pod płomieniem jego tchnienia,
Matka z dzieckiem ginie razem;
On Rachełę w marmur zmienia,
On obleka Niobę głazem.

Gdy w lot skrzydła szle hulaszczc
I wbrew wichrom dębem stanie,
Roztwierają przed nim paszcze
Niepodobieństwa otchłanie.

On na Pindus wzłata ptakiem,
W chmur spowity szacie mglistej;
On na niebie jasnym szlakiem
Mógłby ciągnąć wóz gwiazdzisty.

Ku zenitu szczytom płowym
Bujne wznoszą go mamidła,
I osmalił sobie skrzydła
W złotym ogniu zodyakowym.

Bóg dlań otchłań niezmierzoną
 Stworzył; zapal niewstrzymany
 Niesie go tam, gdzie wulkany
 Piorunowym ogniem płoną.

Wszędzie gdzie ciemności, wszędzie
 Gdzie mgła śmierci trapi ziemię,
 On rozpędza cieniów brzemię
 Aż ku światłu się dobędzie.

I nad ludzkim skrzy atomem
 Płomienistém okiem swoim,
 Co przesiąkło wiedzy zdrojem
 Zaczerpniętym w niewiadomém.

Nie ukorzy swojej dumy,
 Chyba przed tym, co go śmiały
 Ponad ludzkie gna rozумы,
 W wiekuistėj szlaki chwały.

By szczególną łaską Nieba
 Uczynić go sobie szczerym,
 Trzeba zwać się Alighierym,
 Lub Homerem zwać się trzeba.

I Ezechiel na Libanie
 Na to dumne czeka zwierzę;
 Garść barłogu na posłanie
 Job z pod niego sobie bierze.

O! biada wam, biada ludzie,
 Co go zażyć nie umiecie!
 Bo on w niezbląganėj nudzie,
 Będzie włóczył was po świecie.

Już niejeden, co nań pęta
 Chciał włożyć, spadł i legł w bagnie;
 Bo on wielkim sam być pragnie,
 A o jeźdźcu nie pamięta.

Bez uwagi, bez litości,
 Zna się mężnym, zna się panem,
 I kopytem niez błaganém
 Śmiałym jeźdźcom łamie kości.

Resztki siodła zdala miecie,
 Co układli w srogiej pracy
 Na gwiazdzistym jego grzbiecie
 I Kwintylian i Horacy.

Więc ciągnąłem go co siły,
 Zdala zbrodni, bólów, zdrady,
 Słonecznemi kędy ślady
 Łąki kwieciami się mały,—

Gdzie sielanka, wiejskiej strzechy
 Córa, srebrną błyszczy rosą,
 A ku niebu echa niosą,
 Pocałunki i uśmiechy.

Złem wzgardziwszy ludzkim wszystkim,
 Tam poeci śpiew szłą światu;
 Tam wzrósł cierń epigrammatu,
 I tryolet lśni trójlistkiem.

Tam na krzakach, tam na błoni
 Rosną owe świeże kwiecie,
 Które Segrais rwie do dłoni,
 Które Racan w wieniec plecie.

On się bronił z całej siły,
 Kopytami wrósł do ziemi,
 Wstrząsał skrzydły potężnemi,
 Błyskawicą oczy skrzyły.

Czuł, że uzda go ugniata,
 Więc się rzucał siłą wściekłą;
 W jego nozdrzach było piekło,
 W oczach dusza świata.

Ku otchłani zlany potem
 Rżał wzywając w pomoc cienia,
 A niebieskie mu sklepienia
 Wtórowały głuchym grzmotem.

Śpiew bachantek brzmiał zdaleka,
 I błyskały ponad chmury
 Oczy Sfinksa, co ponury
 Upłynienia czasów czeka.

A na niebie, na to rzenie,
 Drżały jasne gwiazd promienie,
 Jako lampa drży w niewieściój
 Dłoni, gdy wiatr zaszeleści.

Kiedy skrzydło jego ciemne
 Powionęło, to z błękitu
 Od nadyru do zenitu
 Gasły światła ponadziemne.

Lecz go dzierząc całą siłą,
 Wskazywałem błoń zieloną,
 Którą twarzą spromienioną
 Jasne słońce oświetliło.

Wskazywałem łączki płowe,
Ozłoczone kwiatów majem,
I pastwiska bujne owe,
Co my ludzie zowiem rajem.

Więc Wirgiliusz do mnie rzecze:
— „Co z tym koniem robisz, człecze?”
— „Mistrzu! rzekłem: na ochłodę,
Ja Pegaza w trawę wiodę.”

Z WIKTORA HUGO.

W chwilach kiedy się ludziom nieskończoność marzy,
Gdym był jeszcze młodzianem o wybladłej twarzy,
I pragnąc jak najspieszniej ujrzeć się u celu,
Podążałem tą ścieżką, co zbląkała wielu,
Muza tak rzekła do mnie:

— „Otwarta ci droga;
Lecz kiedy Cyd szedł walczyć za kraj swój i Boga,
Ażeby nie zaginać w krwawych bitew mroku,
Miał przyłbicę, dwa miecze i włócznię u boku,
I hartowne puklerze dwa; bowiem z tych broni,
Gdy mu jednej zabrakło, drugą brał do dłoni,
By mógł bezpiecznie starczyć na rycerskie boje.
A ty powiedz mi, jakie uzbrojenie twoje?
Wskaż mi kędy są twoje włocznie i brzeszczoty?
Co masz?”

— „Mam wstręt do zbrodni i miłość dla cnoty,
To dwa miecze hartowne i na ciosy twarde...”

— „A jakież masz obronny puklerz?”

— „Mam pogardę.”

E W A.

(Z Coppée'go).

Budził się ze snu Eden, jasne światło ziemi.

Z oczyma na blask słońca jeszcze zawartemi,
Owiana lekkim tchnieniem muskającym drzewa,
W pierwszym snu upojeniu spoczywała Ewa;
A dla złego, co miało zapanować zładnie
I w niej i przez nią, była ona piękną cudnie.

Oparła na ramieniu spromienioną głowę,
Którą złotem wieńczyły sploty włosów płowe;
Krew gorąca płynęła pod powłoką śnieżną,
Była ona przezczystą razem i lubieżną,
A jakiś dreszcz przebiegał rozkoszne jój ciało,
Co pod promieniem słońca wiło się i drgało.

Stwórca ukochał twór swój. Co tylko na ziemi
Tliło się i wieńczyło blaskami świeżemi,
Co było najpiękniejsze w promieniu i woni —
Wszystko to w niej się zwarło i dążyło do niej;
Łono jój słońca luną tliło się miłosną,
Oddech promienił z piersi wonnych lilij wiosną,

Mówiła przez sen; głos jój gubiąc się w przestrzeni,
Zdawał się śpiewem ptasząt wpośród drzew zieleni.
Włosy, co lśniącym płaszczem do stop jój spływały,
Były jakby maczane w słońcu; a na białej
Jój twarzy cudnie róża przeblyskała polna.
Blask szedł w górę i Ewa budziła się zwolna
Ze snu i pod promieniem, co lśniał nad jój głową,
Jasne rzesy trzymały leżką brylantową.

Wówczas widomy w krzaku, co ogniami płonie,
Bóg zaprzęgnął we wdzięków zwieńczyć ją koronie,
I by wrok jój podnieść nad wszystko wysoko,
Niekończoność modrego nieba wlał jój w oko.

SENNACHERYB.

(Z Coppée'go).

W onczas, nakształt burzliwej stepowej zawiei,
Wojska Sennacheryba zryły grunt Chaldei —
Lud cały szedł w niewolę. Starcom w krwawej męce
Wyłupiono źrenice i obcięto ręce,
A młodzi budowali pałace w Niniwie.

Więc kiedy król tę wojnę ukończył szczęśliwie,
Jadąc nad brzegiem Tygru w sukni tkanej złotem,
Gdzie judzcy niewolnicy leżeli pokotem,
Ujrzał starca, co ślepy i okaleczony
Szedł zwolna, tęskne modły w ojczyste szląc strony,
A dwóch synów wyrostków kroki jego wiodło.

Tedy król wstrzymał konia, i rękę o siodło
Oparłszy, wlepił oczy, z których gromy biega,
Wdał, w owych dwóch młodzieńców i starca siwego.

I widział jako obaj swemu ojcu służą.
 Starszy z synów z pokorą i miłością dużą
 Opisywał mu gmachy assurskiego miasta;
 A młodszy, łamiąc kruchy prażonego ciasta,
 Kładł je w usta kaleki dotkniętego mrokiem.

Jeden był ojca dłońmi, drugi ojca wzrokiem.

Król zgładził ręką brodę, co w dwa ptasie skrzydła
 Wiła się, i koniowi zwolniwszy wędzidła,
 Dumął:

— „Dobre to syny; myślą o osłodzie
 Losu ojca. Lecz czyliż w moim sławnym rodzie,
 Który nad wszystkie inne wspaniałością świeci,
 Nie ma również pokornych i usłużnych dzieci?
 Czemuż się myśl zazdrosna w sercu mojem leże?
 Wszakże synowie moi ponad wszystkie męże
 Ziemi assurskiej wielcy, bo ja sam syt sławy
 Rozdałem im medyjskie i judzkie dzierżawy,
 Kędy są uwielbiani jako ziemskie bogi.
 Mają konie i wozy, i kobiet rój mnogi,
 I pałace z granitu, gdzie stoi na straży
 Szereg byków skrzydlatych o człowieczej twarzy.
 Wszystko co świat podziwia i zblizka i wdali,
 Mają u mnie... Dla czegożby mnie nie kochali?
 Wszakże kocha ich również ten, co ludźmi gardzi,
 Król ich i rodzic. Głównie dwaj starsi, najbardziej
 Mnie miłują. Gdy idzie bój pod moją wodzą,
 Oni w złocistych zbrojach przy wym wozie chodzą.

A gdy z wojny sprowadzam łup ludzi i koni,
To szereg niewolników kornych wiodą oni,
Niosąc przedsię dwie dzidy, co w słońcu migocą...”

Tak dumał, dążąc w powrót, — i tegoż dnia, nocą,
Gdy spoczywał, z snu pierwszej korzystając chwili,
Dwaj najstarsi synowie króla zadławili.

DWA GROBOWCE.

(Z Cooppée'go).

Timur, zdobywca Hindu i Persyi, mąż srogi,
Przed którym jako przed lwem na rozstajne drogi
Rozbiegały się ludy niby trzoda podła,
Timur-Leng czcił w grobowcach wielkie śmierci godła.

Więc kiedy w swojej krwawej wędrówce po świecie,
Jako kosarz, co w polu dzielnie kosą miecie,
Chan wyciął ludność miasta, a gniewliwy srodze,
Kurahany z czaszek ludzkich ustawił po drodze,
By jak łuki zwycięzkie leżały pokotem,
Z konia, kulbaczonego purpurą i złotem,
Przy brzęku surm bojowych, ów pierwszy z mocarzy
Siadał w niemój zadumie u progów cmentarzy,
Kędy panuje cisza śmierci niezblagana;
A gdy tam grób napotkał mocarza lub chana,
Co za życia wiódł w pole wojowników krocie,
Albo świętego mułły, co w zbożnej prostocie

Ku niebu się dobijał trudem i mozołem, —
 Chan klękał, chylił głowę i o głaz bił czołem.
 Onego czasu w wielkie Ramazanu święto
 Tuz, słynne miasto ponad białą rzeką, wzięto;
 A kiedy cisza nad niém zaległa penura
 Ogłu beg, wódz Nogajców, jał błagać Timura,
 Aby od miecza ludność miasta ocalała,
 Bowiem tam legł Firduzy, Persistanu chwała.

Więc Timur swym Mongołom kazał schylić włócznie,
 I by prawdę słów wodza sam stwierdzić naocznie,
 Dał znak, aby grobowca marmurowe ściany
 W pył się rozpadły....

Grób był różami zasłany.

Zdziwił się wielce mocarz i pomyślał: „Jeśli
 Tych, co słowo miłości między ludzi nieśli,
 Najwonnejszy z pomiędzy kwiatów grób uplata,
 Jakiż śmierć da spoczynek dla zdobywców świata?”
 Więc szedł do Karakurum, w Tartaryi głębokiéj,
 Gdzie w trumnie z miedzi leżą Temudżyna zwłoki,
 Co tam legł w wieczne czasy krwi i sławy syty;
 I kiedy marmurowe odwalono płyty,
 Pod któremi spoczywał Chin zdobywca dumny,
 Timur cofnął się i zbladł:

Krew płynęła z trumny.

S R O M.

(Z Coppée'go).

Święty Efrem, co w walce z szatanem był krzepki,
Przechodził się wśród Tyru, zepsucia kolebki,
I gdy myśl o niebiesiech snuł z ziemskiego błota,
Zbliżyła się do niego upadła istota,
A ująwszy kraj szaty, skalanemi usty
Wyrzekła doń wyrazy żądz i rozpusty.

Bez wzruszenia człek święty słuchał mowę kłamną,
I za rękę ją wzięwszy, rzekł do niej:

„Chodź za mną.”

Więc gdy zaszli do portu, człek ów i niewiasta,
Gdzie się zbierał naonczas tłum całego miasta,
Szukając jakim sprawom dać folgę na czasie,
Wypatrzony w okręty, niby w skrzydła ptasie:
— „Tutaj, rzeczce jój święty, samo miejsce prawie
Abyśmy się miłośnej oddali zabawie.”

Lecz niewiasta na sobie ścięniwszy zasłony,
Tak wyrzecz do niego:

„Starcze! tyś szalony!

Więc chcesz, by wszyscy z miasta tak na nas patrzali!
Tu nie mogę.”

A święty odpowie:

„Azali

Wstyd ci przed ludźmi w twojém rzemiośle skalaném?
Więc czemuż się nie sromasz kobieto przed Panem,
Który przenika wszelkie skrytości niezdrowe?”

Miłośnica pokornie opuściła głowę,
Odstąpiła, i mając te słowa w podziwie,
Uczyniła pokutę i żyła uczciwie,

GŁOWA SUŁTANKI.

(Wolny przekład z Coppée'go).

Mohamed, syn Murada, potomek Otmana,
Zawsze, na każdym miejscu i o każdej porze,
Czy zasypiał z wieczora, czy się budził z rana,
Widział tylko Bizancyum. Nieraz, gdy na morze
Płynął kaik sultański pod flagą zieloną,
Prowadzony przez czarnych wioślarzy dwunastu,
Mohamed Konstantyna przyglądał się miastu,
Wsluchywał się we wrzawę ludu przytłumioną,
I wzrok jego przejrzał gdzieś w zamierzchlój dali
Złote wieże w Bosforu kąpiące się fali.

By zaspokoić żądze, co mu serce gniotły,
Mohamed rzucił złoto swym janczarom w kotły;
Ale ta zgraja dziczy w zbytkach wyuzdana,
Zatrąciwszy swych przodków mężkość i odwagę,
Ciągle nowych żądała darów od sultana...
Więc Mohamed janczarów spoliczkował agę,
I w Brussie w pałacowym zamknął się haremie.

Wszakże krewkość żołnierza, choć na chwilę drzemie,
Rozbudza się zbyt szybko. Tłumy wojownicze
Otoczyły ów pałac wołając:

— „Pragniemy,
By nam znów ukazano sułtańskie oblicze!”

Ale pałac był głuchy, ponury i niemy,
I po nad szarym murem, co się w dal rozpiętrza,
Żaden głos nie dochodził z kamiennego wnętrza.

Tłum do buntu się zwał w złościach rozpasany,
Wrzał gwar, chrzęszczały łyżki zatknięte w turbany.
Bo pomiędzy żołdactwem wieść chodziła głucha:
Że sułtan zatraciwszy wojennego ducha,
Pragnie porzucić służbę obozową, twardą;
Że dla tego ich tylko obrzuca pogardą,
Bo namiętnościom swoim oddany bez miary,
Pije napój miłosny z czarodziejskiej czary,
I rozkoszne haremu wciąga w siebie wonie,
Na pięknej Epirotki spoczywając łonie;
Że już nie pragnie słyszeć o wojennym gwarze,
I tylko perskie pieśni śpiewa przy gitarze.

Więc co chwila wrzask dziki przerywał milczenie.

— „Hańba padyszachowi, hańba i sromota!
Gdzież on? Niech się ukaże! Nie chcemy już złota,
Chcemy krwi! Niech nas wiedzie w śmierć i zatracenie.
Rdza zjada miecz Otmana. Niech wzrasta niedola,

Niech pilaw wyschnie w kotłach, niech ryż zejdzie z pola;
 Lecz biada sułtanowi, co upadku blizki,
 Hołduje pięknym oczom greckiej odaliski!
 Mur zwalim! Głaz na głazie nawet nie zostanie
 Z haremu! Wyjdz sułtanie! ukaż się sułtanie!"

Lecz wrota złotych ćwieków nastrzeżone zbroją,
 Odbijając te wrzaski wciąż zawarte stoją,
 A cały harem cisza ogarnęła głucha.

Toż Kalil basza, wezyr, mąż wielkiego ducha,
 Jedyny z tych, któremu wstęp jest dozwolony
 Do sułtana, przez złote haremu opony, —
 Pochwycił ciężki młotek i zapukał do tych
 Drzwi żelaznych.

Otwarto.

We mgle wschodnich woni,

Co się z urn unosiła na trójnogach złotych,
 Leżał Mohamed z guzłą epirocką w dłoni;
 W bladéj twarzy tlił wyraz zniewieścienia znamion,
 I nachylał się miękko ku Epiru córce,
 Co obok niego na lwiéj spoczywając skórze,
 Kryła mgłą czarnych włosów białość nagich ramion.

Więc Kalil siwą głowę pochylił z powagą,
 Czekając aż Mohamed przemówi doń słowo.
 Sułtan rzekł:

— „Czego żądasz muszleminów ago,
Ze przyszedłeś tu maćć ciszę pałacową?
Mów prędzej, bo tu przy mnie życia mego wiosna,
Wiersz Hafiza jest piękny a pora miłosna.”

Na to Kalil, na piersiach ręce skrzyżowawszy,
Rzeczce:

— „O rządcu wiernych, panie najłaskawszy!
Źle to wybrana pora, wielki padyszachu,
Na miłosne uśmiechy i miłosne gwary.
Daj ucha: tam na placu zebrane janczary
Wstrząsają okrzykami mury tego gmachu;
Ukaż się im, niech widok twój promiennój twarzy
Uśmierzy płomień buntu, co się w sercach żarzy;
Niech cię ujrzy na chwilę ta dziec rozhukana,
A wszystko w pył przed tobą padnie na kolana.”

Kiedy wezyr wygłaszał tę poważną mowę,
Mohamed się do pięknej chylił Epirotki,
Która twarz swą powabną w uśmiech strojąc słodki,
Nachylała ku niemu usta koralowe,
A pod naszytym perel sznurami rańtuchem
Pierś jój się podnosiła przyśpieszonym ruchem.

— „Znam dobrze—reczce sułtan—te niesforne zgraje:
Ów gniew ich jest jako śnieg, co na słońcu taje.
Wyjdę, wyrzeknę słowo, a wszystko posłucha.”
Rzekł i skinął na Dżema, czarnego eunucha,
Co z mieczem haremowój pilnuje firanki,
I twarzą padłszy w ziemię, pył ściera z kamienia,

Kiedy sułtan do modlitw kobierzec przemienia.
 Więc rozwiązując z lekka objęcia kochanki,
 Mohamed wstał, poszepnął eunuchowi słowo,
 I z komnat haremowych z podniesioną głową
 Szedł na schody wykute z marmuru sinego,
 Do których wejścia dwa lwy uskrzydłone strzegą.

Jęknęły wrot zawiasy. Przez jasne przestworze
 Ukazało się fezów i turbanów morze,
 Oślepiające słońca odbijając blaski.
 Powstał ruch i niesforne rozległy się wrzaski,
 Kiedy padyszach z twarzą ponurą i bladą,
 Surowy i milczący stanął pod arkadą.

Zdala za nim poważnie kroczył wezyr stary.

Sułtan zapytał:

— „Czego żądacie janczary?”

I postąpił krok naprzód. Tłumy rozszalałe,
 Przed tym mężem krocącym w powłoczystej szacie,
 Cofnęły się jak fale rozbite o skałę.
 A padyszach zapytał znów:

— „Czego żądacie?”

Naraz, ustały nagle wrzaski i wykrzyki,
 Legło głuche milczenie, i po przed tłum dziki
 Wystąpił stary janczar o poźółklój twarzy,

I spojrział na sułtana krwawemi oczyma.
 A był to wojak jeszcze z czasów Ilderima,
 Który szedł z nim na pógrom bizanckich cesarzy,
 Gdy przed zastępem wiernych, z świętego postrachu
 Mury grodów szły w gruzy, a rycerze w zbroi
 Padali jako kłosa.

Ów rzekł:

— „Padyszachu!

Spojrż na wszystkich, co stoją tu wkoło. My twoi.
 Wierni tobie bez miary i ufni bez granic,
 Nie żądamy niczego, nie liczymy na nic
 I za tobą pragniemy iść zawsze i wszędzie.
 Lecz zewsząd rozgłaszają proroka czciciele,
 Że ten, którego Allah obrał za narzędzie,
 Dziś podlój niewolnicy pod stopy się ściele;
 Że buńczuki proroka okryte są wzgardą,
 Że już krew muzulmańska za wiarę nie płynie,
 Skanderbeg siedzi w górach, a Drakul w dolinie,
 I Bizancyum ku niebu wznosi wieże hardo.
 Więc oddycha Grek przez nas tak krwawo osmagan,
 A nędzny się Albańczyk puszy z naszych łupów...
 Padyszachu! Siądź na koń, wydobądź jatagan,
 A my pomost przed tobą uścielemy z trupów.”

— „Janczarze—rzekł Mohamed—krew twoja rumiana
 Jużby głąz czerwieniła, gdyby nie ta rana,
 Którą Serb lub Albańczyk wżłobił ci na czole.
 Tyś podły i ci podli, co cię wysyłają!

A więc ty myślisz, nędzna buntowników zgrajo,
 Że można sułtanowi narzucać swą wolę?
 Że mnie piękna Greczynka niewolnikiem czyni
 I na wiaźance z kwiatów wieździe lwa pustyni?
 Mnież to chcecie wrzaskami nastraszyć waszemi,
 Mnie, przed którym chorągiew powiewa zielona,
 Mnie, który jestem cieniem Allaha na ziemi!
 Psy! Mam dla was odpowiedź... patrzcie... Oto ona..."

Tak rzekł, i ze spojrzeniem, które serce ziębi,
 Skinął. Zbliżył się eunuch i padł na kolana,
 Podając szary worek, a ręka sułtana
 Szybkiem ruchem sięgnęła aż do worka głębi.
 I nagle w oczach tłumu, co stał oniemiony,
 Z po za szarego płótna zbrukanéj opony,
 Kobiety cudnie piękna zjawiła się głowa...
 A była ona świeżo obcięta z tułowa,
 Gdyż włosy, w których palce sułtana głębokó
 Wryły się, krwią ociekłe, i usta szeroko
 Otwarte, i na czole nabrzęknięte żyły
 Wykazywały trwogę, co w oczach okropnie
 Zwarła się. Krew płynęła na kamienne stopnie
 I ręce padyszacha we krwi się broczyły.

Tłum się cofnął, a wkoło zaległo milczenie.

A słońce, co się kryło za morze, na nowo
 Skrzepiło żywszym blaskiem gasnące promienie
 I rozblęśło dokoła łuną purpurową,

Jak gdyby chciało łzami zapłakać krwawemi,
 I szkarłatem się wszystko okryło na ziemi.
 Lasy, wzgórze, doliny i zboża zagony,
 I ludzie mrowiący się zdala po aulach,
 I olbrzymie moskieje o srebrnych kopułach,
 I port zgęszczonym lasem masztów nastrzępiony,
 I tłum ludu patrzący z twarzą osłupiałą,
 I padyszach w spokoju skamieniały wschodnim,
 I buńczuk, co na wietrze wciąż szeleści pod nim,
 Wszystko krwią się oblokło i w krwi się skapało,
 Jak gdyby chrześcijańskiej krwi spłynęły strugi,
 Które kiedyś wytoczyć miał Mohamed drugi.

I gdy świętym zapalem rozpalone tłumy
 Do nóg mu się czołgały, sułtan, pełen dumy,
 Chwilę jeszcze zachował milczenie grobowe,
 Potem na pełzający tłum spojrział z wysoka,
 I wzywając świętego imienia proroka,
 Cisnął w tę dziką ciżbę Epirotki głowę.

Po nad falami ludu krew trysnęła zdrojem,
 Rozległ się wrzask okrzyków i rósł coraz żywszy.
 Wówczas ku wezyrowi twarz bladą zwróciwszy,
 Mohamed rzekł:

— „A teraz Bizancyum jest mojem.”

J E S I E Ń.

(Z Coppée'go).

Już oddawna z pól barwa uleciała letnia,
Na przechadzkę wyszliśmy razem. Było rano,
Gruzelki lodu barwę przybrały różaną,
A Listopad się stroił jasnym niebem Kwietnia.

Miałaś futro, kapturek zsunięty na czoło,
I wualkę, pod którą tak oczka się śmieją;
Więc pod rękę wśród tłumu, co gwarzył wesoło,
Podążaliśmy razem szeroką aleją,
Czekając jakie nowe szczęście się nadarzy.

Nagle w tej ciżbie ludzi i karet i koni,
Dziecko blade i wątłe, o wychudłej twarzy,
Przecisnęło się do nas z bukiecikiem w dłoni;
I czując, że nam dobrze razem, że w tej dobie
Szczęśliwi i swobodni z groszem się nie liczym,
Drżącą ręką fijołki podawało tobie,
Z tym uśmiechem, który mrze w kaszlu suchotniczym.

Był to ton smutny w nótę wpleciony radosną,
To dziecko, które z mrozu i znużenia drżało
I marło z zimy — innych obdarzając wiosną...

A ja czując twe lube dotknięcie, pieszczotko,
Upajałem się wonią włosów twoich słodką,
I cisnąłem do serca rączkę twoją białą...
Daliśmy jój jałmużnę i poszliśmy dalej,
Aleśmy się wesoło już nie uśmiechali,
Bo serca nasze dziecku pozostały dłużne...
— Skarbie mój! Wszak téj zimy damy znów jałmużnę?

BEZROBOCIE KOWALI.

(Z F. Coppée'go).

Krótko, prześwietny sądzie, rzecz opowiem całą.
Otoż tak: Kowalom się świętować zachciało,
Mieli powód do tego; zima była sroga,
Znudziło się ludziskom mrzeć głód, bo za drogo
Za chleb trza było płacić, a zaś za robotę
Mało szło... Otoż tedy wieczorem w sobotę,
Gdy pan kassyer rachunki tygodniowe pisze,
Wzięli mnie do szynkowni starsi towarzysze,
I tam — już tak jak pierwsze zrobiłem wyznanie,
Nazwisk ich nie wymienię — rzekli: „Ojczy Janie!
Nie mamy już odwagi tak pracować dalej;
Niech nam podwyższą płacę. Ciebieśmy wybrali
Na sędziego, boś człowiek prawy i sumienny;
Oświadczyć panu bez gniewu, żółci i przechwałek,
Że jeżeli nam płacy nie podwyższą dziennęj,
To się dla nas dzień każdy zmieni w poniedziałek
Od jutra.— Czy chcesz?— Pragną roboty, niech płacą.”

— „Dobrze, odrzekłem, jeśli to się przyda na co,
 Probujmy szczęśliwości dobić się przez posty.”

Bo ja, panie prezesie, jestem człowiek prosty;
 Unikałem zatargów w mojem życiu całym,
 Barykad na ulicy nigdy nie stawiałem,
 I z tymi, co wrzask czynią, trzymam się z ostrożną;
 No, ale towarzyszom odmówić nie można.
 Więc poszedłem do pana skłopotany srodze.
 Siedział przy stole, ale mnie wpuszczono. Wchodzę
 I wypowiadam wszystko, co tylko żądali:
 Jako trudny i ciężki jest żywot kowali,
 Jak on wiele zyskuje, a nam daje mało,
 I że bez grzechu lepijby płacić przystało.
 On wysłuchał wszystkiego, dopijając wina,
 I rzekł mi:

— „Ojcie Janie, pocziwy człeczyna
 Z ciebie, więc cię dla tego wybrali na posła;
 Dla ciebie będzie zawsze miejsce w mojej kuźni.
 Ale zapłata u nas i tak się podniosła,
 Więcój nie dam; nie przyjdą... będzie u mnie luźniój;
 Wszystko to są leniwy, próżniacy, trefnisie,
 A zarzynać się nie chcą dla ich widzi-mi-się.
 Zamknę warsztaty. I tak nie jestem już w stanie
 Wystarczyć im. Czy słyszysz?”

Rzekłem: „Słyszę; panie.”

Wróciłem do kolegów, i w najlepszej wierze
 Wszystko im powiedziałem otwarcie i szczerze.
 Więc rwetes. Wszyscy rzekli: „Trzymajmy się tęgo!”
 I zaraz bezrobocie stwierdzono przysięgą.

Ja przysiągłem jak inni; ale ręczę głową,
 Że tam z nas niejednemu, gdy wrócił do domu
 I rzucił żonie na stół płacę tygodniową,
 Może łąza się kręciła w oczach pokryjomu
 I może przez noc całą nie mógł zmrużyć powiek,
 Wiedząc, że to ostatnia już pracy zapłata
 I że trza będzie suszyć odtąd. Trudno, człowiek
 Nie drewno. Toć ja także już podeszły w lata,
 A przytém nie sam jestem. Więc w niedzielę z rana,
 Wziąwszy moje wnuczęta drobne na kolana,
 (Bo córka mi już zmarła, a zięć gdzieś się chowa),
 Czudem jako mi serce wielka troska bodzie
 I straszną mi przysięga wydała się owa,
 Którą nam dotrzymywać trza było o głodzie.
 Ale cóż — innym także doła nie złocona,
 A przysięga się u nas dochowuje święcie.
 Było mi tak jednakże, jakbym szedł na ścięcie.

Wtém drzwi się otworzyły — weszła moja żona,
 Niosąc z prania bielizny mokrą pakę całą,
 Aż się staruszce pod nią zginały ramiona.
 Więc jej opowiedziałem całą rzecz nieśmiało,
 Oświadczając, że zrywać przysięgi nie mogę.
 Ona się nieruchomie wpatrzyła w podłogę
 Długo, smutno i rzekła:

— „Ha, trudno, mój stary!
 Rąk do pracy nie skąpię i pragnę, byś wiary
 Dotrzymał, więc się sprawiam oszczędnie i zgodnie;
 Ale czasy są ciężkie i na dwa tygodnie
 Ledwie chleba wystarczy.”

— „Może się to skleić
 Jeszcze tam jakoś,” rzekłem. Lecz żadnej nadziei
 Nie miałem już, pan bowiem ostro upór karci,
 A wiadomo, że tamci strasznie są uparci.

Nareszcie przyszła zima. Wierzajcie, sędziowie,
 Chociażby z wnuczętami przyszło skonać z biedy,
 Chęćby mi do kradzieży nie powstała w głowie
 I umarłbym ze wstydu na myśl o tém. Tedy
 Wiem, że dla nieszczęśliwych nawet, którzy długo
 Łzami przesiąkły żywot na ziemi tu wloką,
 Spoglądając rozpaczy własnej oko w oko,
 Wstrzymanie się od myśli złej nie jest zasługą.
 A jednak w mroźne noce, kiedy drżały przy mnie
 Moje biedne wnuczęta i żona na zimnie,
 Przed ogniskiem zagasłem, co nie miało więcej
 Już się rozpalić,— kiedy smutny płacz dziecięcy
 Kwilił mi w uszach,— wówczas, na Chrystusa rany
 Przysięgam, nawet wówczas, duszy méj znękanéj
 Nie nawiedziła nigdy szatańska myśl skryta,
 W której serce drży, oko czyha, ręka chwyta.
 I jeśli dzisiaj oko zachodzi mi łzami,
 Jeśli słabnę przed wami i płaczę przed wami,
 Jeżeli to wspomnienie przywiódłem tu moje,
 To dla tego, że widzę przed sobą tych troje,
 Dla których przecierpiałem...

Więc nędzy okruchy
 Zbieraliśmy na fanty, jedliśmy chleb suchy,
 Który się coraz bardziej ukazywał z rzadka...
 A dla nas pracujących mieszkanie—to klatka,
 Co nam siły osłabi i smutku przysporzy.

Wszak siedziałem w więzieniu; w więzieniu niegorzój.
 Próźnowanie jest męką. Mało kto da wiarę
 Tój prawdzie, ale niechaj mu każą za karę
 Siedzieć w domu z rękami tak założonemi
 I myśleć ciągle z wzrokiem przykutym do ziemi,
 To i połowę życia odstąpićby gotów,
 Żeby wrócić do swoich kowadeł i młotów.

Po dwóch tygodniach grosza nie było już w domu.
 A więc sam na ulicę szedłem pokryjomu,
 Szukając gdzie największa gromadzi się zgraja,
 Hałas bowiem miast wielkich mąci i upaja,
 I jakieś zapomnienie przychodzi do głowy.

Mglisty i chłodny wieczór był listopadowy.
 Powracam — żona siedzi przy zimnym kominie
 I tuli dwoje biednych dzieciątek do serca.
 Mówię do siebie: „To ja! to ja ich morderca!”
 A ona do mnie rzecze:

— „Nie wiem co uczynię,
 Bo w lombardzie, gdzie dzisiaj zachodziłam rano,
 Ostatniego siennika przyjąć mi nie chciano,
 Strasznie bowiem zużyty. Zkąd wziąć na chleb?”

— „Będzie!”

Rzekłem. I wówczas, Boga przyzwawszy na sędzie,
 Życie takie, myślałem, chyba Niebu bluźni.
 Niechaj co chce się stanie, powrócę do kuźni.
 Ale pierwej, zebrawszy odwagę mą całą,
 Postanowiłem wstąpić do szynkownej sali,
 Kędy się towarzysze nasi zgromadzali.

Gdy wszedłem, wszystko mi się jakby snem wydało:
 Pili! — Gdy inni z głodu marnieją i giną,
 Oni piją! — Nikczemni ci, co im to wino
 Kupują, męką naszą przedłużając znowę...
 Niechaj starca przekleństwo spadnie im na głowę!
 Wszedłem, i wszyscy razem spojrzeli w tę stronę.
 Widząc krwią zasze oczy i czoło schylone,
 Odgadli pewno zaraz, po co tu przychodzę,
 I wszyscy wnet się na mnie nachmurzyli srodze.
 A ja rzekłem:

— „Słuchajcie, dziś krok do was robię.
 Jam stary, żona moja stara; dwie dzieci
 Naszój córki nieboszczki trzymamy przy sobie;
 Już w domu nie ma chleba ani odrobiny,
 Nic ponieść do lombardu. Wierzcie mi, bez żalu
 Ja stary dziadowina umarłbym w szpitalu,
 Ale żona i dzieci... bo o mnie już mniejsza,
 Lecz ich przecię od śmierci ratować przystoi.
 A więc przychodzę do was, towarzysze moi,
 Widzę bowiem, że dola wasza zamożniejsza,
 Niech dla mnie bezrobocia prawo się rozluźni
 I pozwólcie staremu powrócić do kuźni.
 A umyślnie was proszę o to, żeby potem
 Nie chciał kto za niewiarę obrzucać mnie błotem,
 I żebyście nie byli sami do mnie z żalem.
 Patrzcie, mam siwe włosy, a spalone ręce,
 Bo lat przeszło czterdzieści jestem już kowalem;
 Niechże resztę sił moich rzemiosłu poświęcę.
 Żebrać chciałem, nie mogłem — trudno, człek nic potem;
 Kiedyś się całe życie wywijalo młotem

I na czole te brózdy wyryło podłużne:
 Twarda dłoń się wyciągnąć nie chce po jałmużnę,
 I słowa prośby z ustby już się nie wywiodły...
 A więc gwoli umowie, co u nas zapadła,
 Przychodzę tu... pozwólcie wrócić do kowadła;
 Wszakże to was nie gniewa?"

Milczeli grobowo,
 Ale jeden postąpił i rzekł do mnie:

— „Podły!”

Uczułem zimno w sercu, a w głowie gorąco,
 I spojrzalem na czleka, co wyrzekł to słowo.

Był to młodzik wybladły od ciągłej hulanki,
 Któremu tylko w głowie bale i kochanki,
 I spoglądał się na mnie wciąż wyzywająco,
 A inni znowuż milcząc na uboczu stali,
 Żem słyszał jak mi w piersiach serce młotem wali.
 Schwyciłem się za głowę więc... i z drzeniem w głosie
 Rzekłem im:

— „Niechajże się już wszystko dokona;
 Nie pójdę — mogą umrzeć wnuczeta i żona,
 Ale ty zdasz mi sprawę z słów swoich, młokosie!
 Rozprawimy się z sobą, już kłamka zapadła,
 Tu zaraz... Bronią będzie nam młot od kowadła,
 Bo on jest dla nas zawsze narzędziem gotowém.
 Wy będziecie świadkami wkoło nas tak stali,
 A ty, co siwe włosy śmiesz znieważać słowem,
 Obnaż się, masz młot oto, pluń w ręce — i dalej!...”

Stos starego żelaztwa leżał na podłodze,
 A w nim dwa młoty ciężkie, ordzewiałe srodze.

Podniosłem je, i cięższy rzuciłem pod nogi
Młodemu. On go podjął, a wyraz złowrogi
Patrzył mu z oczu, chociaż jakby do uśmiechu
Krzywił usta i mówił:

— „No, stary kolego,
Nie żartuj...”

Ale ja już wprost szedłem na niego,
Patrząc mu oko w oko, i nawet myśl grzechu
Nie przeszła mi przez głowę w straszną chwilę ową,
Kiedym tym ciężkim młotem wywijał nad głową.
A tamci spoglądali w jedną kupę zwarci...
On zwrócił ku mnie trwogą spojrzenie pijane,
Spojrzenie psa nędznego, kiedy pan go karci.
Zbladł okropnie i cofnął się wraz aż pod ścianę.
Lecz już było za późno... Jakaś dziwna siła
Oczy moje oponą krwawą przysłoniła,
Wzniosłem młot — on z strzaskaną głową padł na ziemię...

Teraz wiem jakie na mnie zbrodni cięży brzemie;
Przyznaję, własnowolnie-m spełnił ten uczynek,
I to krwawe morderstwo, a nie pojedynek.

On leżał przy mych nogach, krew z mózgiem podłogę
Broczyła, a jam cierpiał męki Kainowe...
Chciałem iść; wówczas tamci zabiegli mi drogę,
Ale ich odtrąciłem — i podniosłszy głowę,
Rzekłem im: „Idźcie, wiem już co czynić przystoi.”
Zrozumieli, a wówczas zdjąłem czapkę z głowy
I rzekłem jeszcze do nich: „Jam na śmierć gotowy,
Dajcie co dla sierotek i dla żony mojej.”

Kwota dziesięciu franków razem się zebrała,
A jam poszedł do sądu i oto rzecz cała...

Wszystko opowiedziałem jasno i dokładnie;
Teraz bez adwokatów już się obejdziecie.
Chciałem wam tylko dowieść, że to tak na świecie
Zbrodnia ze zbiegu nieszczęść smutnego wypadnie,
Kiedy się na człowieka zwalą całą zgrają.
Żona zmarła w szpitalu, tam dogorywają
I wnuczeta, niech Bóg już Swą łaską ich krzepi...
Skażcie mnie na kajdany... przyjmę je z ochotą;
Choćby uniewinnienie nawet, mniejsza o to;
A jeśli mnie poszlecie na szafot — tém lepiej!

KLEJNOTY WYZWOLENIA.

(Z wojny r. 1870—71).

Z F. Coppée'go.

(Wykwintny buduar rzęśisto oświetlony. Przed zwierciadłem siedzi młoda kobieta w balowej tualecie, wygorsowana i przybrana w kosztowne klejnoty.)

Bal! Więc znów na bal idę jak dawniej... Mój Boże!
Toć przecię wieczno-trwałą wojna być nie może.
Marznąć, głód znosić, strzelać z fortecznego rowu
Przejé się... Może grzeszę mówiąc to?... gdzież znowu?
Wszak spełniłam w tój klęsce i w tój nędzy wielkiéj
Obowiązek Francuzki i obywatelki.
W szpitalu nad rannymi pośród nocnéj ciszy
Czuwałam, a przywykłe tylko do klawiszy
Ręce, bez rękawiczek, na dworze w mróz biały
Przyspaśniały szarpie lub krew tamowały.
Przetrzymałam oblężenie i szłam na wycieczki
Jak żołnierz... Nie zaszkodzi więc dziś choć troszeczeki

Użyć zabawy i ot potaćcować sobie.
 Wszakże to nie uwłacza ojczyzny żalobie?
 To kobieta, a więc wie, że bal rzecz nie zdrożna,
 Że dwie zimy bez balu obejść się nie można,
 Że rok już wymazawszy z życia mego karty,
 Skonfiskowałam stroje, uśmiechy i żarty,
 Czułam się bez klejnotów zgnębioną i chorą,
 Jak dziecko, gdy za karę cacko mu zabiorą...

(Spogląda w zwierciadło.)

Jak piękny ten naszyjnik i te zausznicie!
 Nigdy z nich nie tryskały takie błyskawice
 Światła, w jednej jasności połączone fali...
 Ten pierścionek na palcu jak płomień się pali!
 Ciało się pod perłami swobodniej promieni,
 Miły mu ciężar złota i drogich kamieni,
 Co wkoło mnie świetlanym połyskują deszczem,
 I których chłód rozkosznym przenika mnie dreszczem.

Dziewiąta... jam gotowa; wcześniej się ubrałam
 Dzisiaj. Tak, już od dawna dziwną żądzą pałam,
 Żeby przybrać na nowo te balowe stroje,
 Żem chciała wcześniej włożyć wszystkie skarby moje,
 I tu, w tej samotności, której nic nie płoszy,
 Użyć sobie jak dziecko niewinnej rozkoszy.
 Czyż to grzech, że jak dzieci czasem się bawimy?...
 Lecz jeszcze wcześniej—trzeba czekać...

(Chwila milczenia.)

Przeszłej zimy...

Czemuż o to wspomnienie myśl moja potrąca?...
 Tak jest, tego samego było to miesiąca
 I dnia, — czuwałam nocą przy łożu rannego.
 Rok już temu, rok cały... jak szybko dni biegną!...
 Był to chłop, żołnierz prosty, jedna z ofiar wojny...
 Pomnę bladą twarz jego i ów wzrok spokojny,
 Kiedy w oczach doktora, w chrześcijańskiej pokorze
 Wyczytał wyrok śmierci... a gdy po doktorze
 Zjawił się kapłan—widząc, że się Chrystus zbliża,
 On salutował ręką Boży sztandar krzyża,
 Z czcią i skrucą przyjmując słodki pokarm duszy.
 Ów bohater, co świeżo prosty kij pastuszy
 Rzucił, konał... ja przy nim czuwałam noc całą...
 Mówił do mnie, iż jedno go tylko bolało
 Wspomnienie, że tam na wschód, w Szampanii, w oddali
 Rodzice jego sami w chacie pozostali,
 Pełniąc rozkazy Niemców i zawodząc sobie,
 Że żołdak się rozgościł w tej wiejskiej chudobie...
 I długo tam zostaną ci kraju wydzierce...
 Widzę go, kiedy ręką chwyta się za serce
 I miota słowa pomsty usty spieczonemi,
 Ściśnioną pięścią grożąc wrogom naszej ziemi.
 — „Tam—mówił—lzy i boleść, tam krew i niedola,
 Poniszczone zasiewy, wyplenione pola,
 A ludność w ciągłej trwodze, dni licząc żebracze,
 Coraz to nowe wrogom opłaca haracze...
 Każdy się kryje w trwodze, że go zbóje schwyca.
 Słysząc tętent, to hułan przebiega ulicą,
 I zagląda przez okno w każde pomieszkanie,
 Szukając, gdzie wygodniej na kwaterze stanie.

Toż dopiero dzień sądny wówczas się zaczyna!
 Trzeba mu dawać chleba, i mięsa, i wina,
 Bo on wszystko z kryjówki wydobędzie gracko,—
 I straszno, gdy śpiewając piosenkę żołdacką,
 Przysiędzie się przybylec do rodzinnej ławy,
 I czyści sobie pałasz krwią francuzką rdzawą...”

Smutno, smutno roztaczał swe prostacze żale!
 Ów biedak, który liter nawet nie znał wcale,
 Był wymowny, — z ocz jego tryskały promienie...
 Bo przez to gorączkowe on widział marzenie,
 Jak w ehacie przed posążkiem małego kaprała
 Grono opasłych Niemców z męstwa się przechwala,
 I pobrzękując chrzęstem złowieszczym pałaszy,
 Urąga się zwycięztwom wielkiej armii naszój.
 Przed nimi postać starca wiekiem pochyłona...
 To dziadek, — stary jeszcze żołnierz Napoleona;
 Twarz jego trupio blada, z oczu łzy mu płyną,
 I drżącemi rękami rozlewa im wino...

O! wspomnienie tych srogich konania katuszy
 Nigdy jeszcze tak strasznie nie drgało w mej duszy!
 Tak; ten człowiek miał słuszność... w tej złowieszczęj dobie
 On mówił prawdę,—tak jest—bo pomyśleć sobie —
 Że oni tam są jeszcze, i zostaną póty,
 Aż póki kraj nie spłaci swój złotój pokuty!...
 Złota!... trzeba go tyle!...

(Podnosi oczy do zwierciadła i mówi ze zdziwieniem:)

Jakżem dzisiaj strojna!...

A! prawda, zapomniałam, skończyła się wojna,

Dziś bal...

(Z goryczą:)

Bal! trzeba przecię użyć nam pokoju.
 A może gdy ja właśnie w tym kosztownym stroju,
 Ściskając świeży bukiet w wypieszczonej dłoni,
 Zasiadę wśród jedwabiów, koronek i woni
 W salonie, kędy światła jasną płyną rzeką,—
 Może właśnie w tej chwili—ot tam, —gdzieś daleko,
 Patrol pruskich hułanów na wieczornych czatach
 Zagląda, czy się światło nie pali po chatach,
 I dzikim chrzęstem szabli biednym przypomina,
 Że jeszcze wyzwolenia nie przyszła godzina.
 Zostanę...


Ale czyż to już ostatnie słowo?
 Czyliż tę słabość moją sądzę zbyt surowo?
 O! nie... owo wspomnienie zmarłego złowieszcze
 Pyta: czy pozostali Niemcy w Francyi jeszcze?
 Ten żołnierz rany swoje rozdzierając krwawe,
 Chce wiedzieć, czy Francuzka, jadąc na zabawę,
 Wypełniła dla kraju obowiązek święty?
 Chce wiedzieć, jak to złoto, perły, dyamenty
 Mogą się godzić z skrzepłą bratniej krwi kałużą,
 Co one robią na niej i do czego służą?
 Tak... to głos obowiązku... tak... to głos sumienia.

(Zdejmuje klejnoty i kładzie je w pudełko.)

A więc znów do waszego powróćcie schronienia,
 Z wami razem i boleść tajoną ugaszę...
 Białe perły osuszcie łzy siostrzyne wasze,

Wy tęczowe opale, ogniste beryle,
Skróćcie oczekiwania czas, chociaż na chwilę!
Do czegoż służyć może ta obrączka złota?
Ten topaz, co słoneczne blaski z siebie miota,
Może pocieszyć serce, co z dawna zboleło;
A ten dyament, to okup jest za wioskę całą...
Tak, to są rady mego dobrego anioła...

A teraz pójdę na bal wolna i wesoła.
Tak jak Francya i ja dziś strój przywdziewam wdowi,
Jak ona własnym wdziękiem pragnę być bogatą.
A gdy kto mnie zapyta, odpowiem mu na to:
„Kraj chciał złota i złoto oddałam krajowi!”



BALLADA ZROZPACZONEGO.

(H. Murgera).

— „Któż to puka tam od dwora?”

— „To ja, otwórz!”

— „Już nie w dobie

Mnie odwiedzać, późna pora,

Północ... jakże imię тебе?”

— „Otwórz!”

— „Imię!”

— „Lodem ścięty

Śnieg wciąż mży, mróz w oczy kole.

Otwórz!”

— „Imię!”

— „W zimnym dole

Trup, mniej niżli ja zziębnięty.

Bez spoczynku przez dzień cały

Błądę; nogi mi skostniały,

Przebiegają ciało dreszcze:

Daj się ogrzać!”

— „O! nie, jeszcze,

Powiedz imię.”

— „Jestem Chwałą,
Do nieśmiertelności wiode.”

— „Puste widmo precz!”

— „Wspaniałą
Daj gościnność, a w nagrodę

Przyjmij miłość w złotój złudzie,
Bo Młodością zważ mnie ludzie.”

— „Idź precz, złudna twoja siła,
Mnie kochanka opuściła.”

— „Będziesz wielkim, wsławisz imię,
Jam Poezya.”

— „Próżny dymie!
Inni przyjmą cię z zapalem,

Szczęśni, jeszcze marzyć mogą:
Ja kochałem i śpiewałem,

Dzisiaj nie mam już dla kogo.”

— „Jam Bogactwo, we mnie płoną
Skarby, ów cel ludzkich chuci,

Ja ci wrócę ulubioną.
Otwórz!”

— „Miłość któż mi zwróci?”

— „Jestem Władzą, oddam tobie
Ziemie, abyś rządził niemi.
Otwórz!”

— „Nie wskrzesisz z pod ziemi
Tych, co legli w zimnym grobie.”

— „Pragniesz, bym ci imię moje
Rzekła szczerze? słuchaj człecze:
Jam Śmierć! Ludzkie troski, znoje,

Co się pełza, co się wlecze,
Ginie we mnie. Oto klucze,
Które wiodą w kraj nieznany...
Zapomnienia ludzi uczę
I zacieram serca rany.”
— „O, wejdź do mnie! drzwi otworzę
W oścież! odwiedź moją chatę.
Sprzęty moje niebogate
I niemiękkie moje łoże.
Wejdź! posadzę cię przy stole
I ugoszczę — nie daremnie —
Umrzeć dawno miałem wolę,
Lecz odwagi brakło we mnie.
Do ogniska cię powiodę,
Nie poskąpię ci przyjęcia,
I nakarmię, — a w nagrodę
W zimne porwij mnie objęcia.
Wejdź ty drużko moja szczerza,
Już grobowe czuję dreszcze...
Lecz niech pies mój nie umiera,
By ktoś po mnie płakał jeszcze.”

M U C H A.

(Monolog z francuzkiego).

Z kwitkiem... odszedłem z kwitkiem... to rzecz nie-
[slychana!

Szło jak z płatka, ślub miał się już dziś odbyć z rana,
Wszystko się na mą korzyść układało cudnie,
Szczęście było tak blisko; dziś, w samo południe
Miała być moją żoną, i całe to dzieło
Trzymiesięcznych zabiegów, u mera w łeb wzięło.

Mówili mi świadkowie, że żal nic nie wskóra,
Że to jest koniec końców głupia awantura
I śmiechu tylko warta, lecz ja się nie śmieję...

Trzy miesiące żywiłem pomyślną nadzieję,
I do uroczystego tonu nastrojony
Chciałem jój się pokazać z jak najlepszej strony.
Zerwałem z kawalerstwa wadami dawnymi,
Jużem ją miał, raj mi się otwierał na ziemi...
Kobieta, jakich mało napotkać się uda,
Rozsądna, przyzwoita i.... wcale nie chuda,

Umiejąca w rozmowę zręczne wtrącić słówko,
 Bez zbytecznych wymagań, a posag gotówką,
 Był to związek miłosny wygodny a wdzięczny....

I po takiej usilnej pracy trzymiesięcznej,
 Gmach cały szczęścia nędzna rozburzyła mucha....

No, niech mi która jeszcze brzęknie koło ucha,
 Dam ja jój....

To jak kamień spadło mi na głowę....

Przybywam do merowstwa; już wszystko gotowe,
 A tam, licho tę bestyę nadarza skrzydlatą,
 I siada mi na szyi.... Ja nie zważam na to,
 Nawet uprzejmie szyją poruszenie robię,
 Żeby mogła swobodnie gdzieś odlecieć sobie;
 A ona, skierowawszy lot w górę, z ukosa
 Znow siada, i tym razem na sam koniec nosa.
 Znoszę i to cierpliwie, myśląc, że upatrzy
 U którego z sąsiadów nos dla siebie gładszy
 I odleci.... Lecz widać ta poczwarka mała
 Przed wszystkimi innymi mnie upodobała.
 Siada, i znów odlata, i znów jeszcze siada,
 Jak gdyby much mnie cała dręczyła gromada;
 Wciąż brzęczy koło twarzy, i na domiar kaźni
 Wybiera zawsze miejsce co najbardziej drażni.
 Więc kiedy wśród mileżenia z podniesioną głową
 Sam pan mer uroczystą wita nas przemową,
 Ta zbrodniarka od nosa aż do oka drogę
 Upatrzywszy, odbywa tam spacer.

Nie mogę

Już się dłużej powstrzymać; ta ciągła męczarnia
 Przytomność mi odbiera, wściekłość mnie ogarnia:
 Chcę ją przygnieść, a ręka rozmachana srodze
 Twarz mojej narzeczonej spotyka po drodze.
 Mój teś rzuca się do mnie; więc wołam:

— „To mucha!

Ja chciałem muchę zabić.”

Ale on nie słucha

I wrzeszczy płacząc:

— „Dziecko skrzywdził mi najśłodsze!

Córkę moją przed ślubem katuje! A, łotrze!”

Innyby się roześmiał, lecz teściom się roją
 Zawsze krzywdy; pięć minut a byłaby moja,
 I gdybym chciał ją wytłuc, to niech grom mnie palnie,
 Byłbym ją bił w pięć minut prawnie i moralnie.
 Ale co tu rozprawiać z tym starym niecnotą?
 Wziął mnie za kark i za drzwi wyrzucił, — i oto
 Skończyło się.

Z wszystkiego najbardziej mnie boli,
 Że tak błaha przyczyna tej mojej niedoli,
 Że się o taki szkopuł rzecz rozbiła cała
 I jedna głupia mucha małżeństwo zerwała.
 Więc ludzie z dzikim zwierzem boj zwodzą zażarty,
 Zabijają tygrysy, pantery, lamparty,
 Szukają ich daleko, a przecież nikomu
 Nie przyjdzie na myśl, że są gorsze wrogi w domu.
 Bo cóż tak złego znowu tygrys ludziom czyni?
 On sobie najspokojniej siedzi na pustyni;
 A muchy, omotawszy nas siecią pajęczą,

Dzień i noc nieprzerwanie trapią nas i dręczą,
 Wszędzie nas prześladuje ta rassa obrzydła
 Pod pozorem, że Pan Bóg na to jęj dał skrzydła...

Co to jest? coś w powietrzu brzęcząc lata szparko!
 To moja mucha!... ona!... ta sama!...

Zbrodniarko,

Niech tylko cię uchwycę, no, już wiem co zrobię.
 Poczekaj! za me wszystkie krzywdy dam ja tobie.
 Zejdź-no tylko, tam jesteś spokojna wysoko;
 Ale zejdź... tak, ząb za ząb, a oko za oko,
 Wraz cię przekonam, z tobą sprawiwszy się gracko,
 Że mój nos nie jest weale publiczną przechadzką.

Zbliża się... siada... mam ją!...

O! bestyo obrzydła,

Próżno podwijasz łapki i wytężasz skrzydła,
 Wysilenia nerwowe nic już nie pomogą,
 Mam ciebie i odemszczę się nad tobą srogo.
 Za moje wszystkie krzywdy zgnieść cię w palcach muszę,
 I oddasz wkrótce piekłu twą owadzią duszę.
 A skon twój będzie nędzny i nikczemny razem:
 Nie myślę cię uśmiercać ogniem lub żelazem,
 I nie będę mą zemstą puszył się przed światem....
 Ścisnę tylko dwa palce, ot i koniec na tém.
 A ta straszna męczarnia i nędzne skonanie,
 Dla innych niech na zawsze nauką się stanie;
 Ty im wszystkim swą zgubą przyszłość wyprorokuj,
 Ażeby nosom ludzkim choć raz dały pokój.

Dzień dzisiejszy przez ciebie nieszczęściem się znaczy.

Choć nie widzę powodu umierać z rozpacz,
 Ale czyliż to nie jest nader smutnym losem
 Powracać sam do domu ze spuszczonym nosem,
 Gdy się miało ślub zawrzeć w merowskim urzędzie?

Bo już postanowiłem, niechaj co chce będzie,
 Ożenię się i wziąłem na odwagę... Ona
 Zdawała mi się jak raz dla mnie utworzona...
 No... nie była to piękność ta odznaczająca,
 Co zwyczajko od razu wzrok ludzki potrąca,
 Przyznaję, o tém nawet nie może być mowy;
 Lecz mnie nie raził wyraz jój twarzy... surowy...
 O tak... bardzo surowy... może także była
 Zbyt czerwona na twarzy i nadto otyła;
 Lecz taki przymiot dobrze dla mężów się plemi,
 Bo otyłe kobiety są mniej przystępnemi.
 A zresztą... licha to wie... trudno sądzić zgoła
 O takich rzeczach... zawsze łagodna, wesoła,
 Zdawała się na wszystko godzić sercem całém...
 Lecz może grała rolę, jak ja rolę grałem,
 Późniejby na jaw wyszły różne fanaberye...
 Rzecz wiadoma, małżeństwo to los na loteryę,
 Natrafić na wygraną to prawdziwe cuda,
 Czasami się to uda, lecz zwykle nie uda,
 I jakby raz już zaszła na swoje podwórko...
 Ojciec raptus... więc córka musi być jaszczurką.
 Taką drobnostkę przyjąć z uniesieniem takiém...
 Boć przecię w obec świadków dał mi w kark kułakiem

I to jeszcze w merowstwie... nie... wcale nieładnie...
 I doprawdy, jak sobie przypomnę dokładnie,
 Ta powaga kibici, niby ujmująca,
 I ta piękność surowa... o brzydotę trąca.
 Już to ciała do zbytku zapas miała wszędzie;
 A zdaje się, że z wiekiem tuszy jój przybędzie.
 Bo widocznie z dniem każdym coraz bardziej tyła.
 Żona kąpiąca sadłem, a teść gbur... rzecz miła!
 Tak jest, tak, cała sprawa była nader krucha,
 I byłbym się załapał, gdyby nie ta mucha.
 Oj prawda! samowolnie w straszne lażem chryje
 I stałem z zarzuconym już stryczkiem na szyję...
 A kiedy wspomnę o tém już mnie febra trzęsie...

Niegdyś w Rzymie Kapitol ocaliły gęsie;
 A choć nie jesteś gęsią, mucho moja miła,
 Od straszного nieszczęścia tyś mnie ocaliła:
 Wierzę, żeś opiekuńczym iście dla mnie duchem.

Więc przeszkadzaj mi jak chcesz i brzęcz mi nad uchem,
 Już mnie lot twój nie gniewa, brzęczenie nie trudzi;
 Puszczam ciebie na wolność, zbawicielko ludzi!
 Dziś się jedno małżeństwo przez ciebie zerwało,
 Lecz kupę innych małżeństw masz przed sobą całą:
 Odlatuj, jesteś wolną, a pilno ci w drogę,
 Drogich twych posług innym uskąpiać nie mogę;
 Zwiedzaj różne merowstwa i ratuj od zguby
 Świat, co przez nierozważne w przepaść idzie śluby.

Ruben.

Ja pilnowałem, i klnę się Jehową,
Nie moja wina...

Salomon

(porywając się z miejsca).

Coś wrzekł za słowo!?

Jak śmiałeś nazwać tak Pana nad pany,
I zniżyć w twojej nieświadomej mowie
To, co w ogniste zgłoski wypisano?...
Nie wiesz, jak wielki Adonaj się zowie,
Że śmiesz Mu nadać zakazane miano?

Ruben

(pochylając głowę).

Winieniem, Rabbi, wybacz...

Salomon

(siadając napowrót).

Wszak zasłona

Niezdarta kryje to nazwisko święte,
Bo to jest wszystko z nicości poczęte,
Jest, był i będzie, wieczność nieskończona.
I choć go czuje lichy robak ziemi,
Choć nad nim świeci jasność niezbadana,
Niech się nie waży usty nizekzmnemi
Kalać ziemskością święte Imię Pana.

Ruben.

Winieniem, Rabbi.

Salomon.

On w blasku swój chwały,
Co całe niebios zapełnia przestworze,
Sam jeden tylko tak się nazwać może.
On do Mojżesza wyrzekł na Horebie:
„Idź, a gdy lud cię będzie pytał cały,
Powiedz mu: „*Będę* przysłał mnie do ciebie.”

Ruben.

Cześć Panu niebios.

Salomon.

Jeden wyraz pusty
Stawia człowieka nad przepaści progiem,
I Sythra Achra nie jest sroższym wrogiem
Od słów własnymi co wyrzekniesz usty.
A mędrzec mówi: „Nie ufaj twój sile,
Bo w sercu twojém nieprzyjaciół gości.”
Patrzaj, ksiąg tyle tój ludzkiej mądrości
I lat strawionych nad nauką tyle,
Wszystko to, wszystko w jednej chwili tracę.

(Rzuca fiaskę o ziemię.)

Szkło marne prysło i wiatr rozwał pracę.

Ruben.

Zacznem na nowo.

Salomon.

A czy starczą siły?
Drżą ręce, oczy mgłą się już grobową

Powłoką, włosy śniegiem się sprószyły,
 I ciągle, ciągle zaczynać na nowo!
 Serce już zziębło i zubożało;
 Myśl sama wkrótce nagą będzie skałą...
 A któż mi łaskę Mojżeszową poda,
 By z nagiej skały żywa trysła woda?..

Ruben.

Rabbi, tyś wielki myślą, bo jedynie
 Przez ciebie wglądam w mądrości świątynię;
 Tyś silny wiarą, bo w nas wlewasz wiarę:
 Tyś młody sercem, bo kochasz twą Sarę.

Salomon.

Tak, moja Sara, dziecko me, daleko;
 Pod obcą muszę trzymać ją opieką,
 I by w czystości zachować jój duszę,
 Ja ojciec, żyć z nią w rozłączeniu muszę.
 Miałem miłości ojcowskiej w ofierze
 Zachować kwiat mój w tém moabskiem mieście,
 Co wzór po włoskiej przybrawszy niewieście,
 Żadnej czystości, ni wstydu nie strzeże?
 O, nie!... nie, stokroć!... niech od tego sromu
 Chroni me dziecko dopuszczenie Boże;
 Choćby królewskie wabiło ją łożę,
 Ja żadnej Ester nie chcę w moim domu.

Ruben.

Sara jest piękną jak róża wesela;
 Sara jest czystą jak tchnienie anioła,

Co strzeże młodej córki Izraela
I do jej serca głosem cnoty woła.

Salomon.

To też tę drogą perłę duszy mojej
Zleciłem pieczy rabbi Efraima;
On ją w Frankfurcie, w domu swoim trzyma
I światłem nauk swój mądrości poi.
Niech cnoty ziarno pilnie w sercu chowa,
Stroniąc od grzechu, co ponętą wabi,
A za lat kilka wróci do Krakowa,
By tobie wiarę ślubować.

Ruben.

O, Rabbi!

Jesteś mi więcej niż ojcem.

Salomon.

Jedyném

Dobrem w mém życiu z tobą się podzielię;
Ty, co nauką byłeś dla mnie synem,
Będiesz mi synem po krwi mój i ciele.
Niech tylko duch ten, co w tobie uznałem,
Niepokalany w piersiach twoich gości,
I niechaj z coraz rosnącym zapalem
Strzeże cnót Pańskich i Pańskiej mądrości.
A gdy wyrokiem niecofniętym Nieba,
Jak wypalona lampa już zagasnę,
Niech z ciebie, synu, światło płynie jasne
Na Izraela, bo mu światła trzeba.

Bo ciała jego rozproszone kości,
 Jako w Symunie piasek na pustyni;
 Zewsząd go gnębią dzicy Filistyni;
 Brak mu wytrwania, wiary i jedności.
 Próżno się nędzny tuła wśród bezdroży
 I wielkim głosem wzywa Messyasza:
 Kogoż ma zbawić ten Messyasz Boży,
 Którego przyjdzie zakon nam ogłasza?
 Niechaj tylekroć ocaleni cudem,
 Złotego cielca Hebrejcy odbiegą,
 Niech lud nasz znowu Bożym będzie ludem,
 A łaska Boża powróci do niego.
 Pomnij, że ciebie wśród wielu wybrałem,
 By w polach Judy ziarno krzepić święte,
 Bądź odmłodnionym mym duchem i ciałem
 I dokończ dzieło przezemnie zaczęte.
 Siły me słabną, chwila chwilę goni,
 Serce przeczucia miotają złowieszcze;
 Czuję jak wszystko rwie się w mojej dłoni:
 Bóg ojców woła.....

Ruben.

O, zostaniesz jeszcze!

Jeszcze to światło, mądrość i nauka,
 Którą się w tobie bracia nasi szczycą,
 Nie zgasną prędko.

(Słychać pukanie do drzwi.)

Czy słyszysz? ktoś puka.

Idź, otwórz.

(Ruben wychodzi i po chwili wraca wprowadzając Janinę.)

SCENA III.

Salomon i Janina.

(Ruben wprowadziwszy Janinę wychodzi.)

Janina

(wchodząc).

Witaj mądrości skarbnico!

Salomon.

Wy tutaj, panie?

Janina.

Czyliż sercu twemu
Sprawia mój widok tak wiele wesela?
Wróciłem cztery już tygodnie temu,
Do usług twoich, lampo Izraela.

Salomon

(podając Janinie krzesło).

Cóż mego pana w progi jego sługi
Wprowadza? Zawsze usługa gotowa
Jest tu dla niego: wyrzecz...

Janina.

Stare długi
Do załatwienia, przytém sprawa nowa.

Salomon.

Rozkazuj panie, cały zasób lichy,
Jaki posiadam, oddam ci z ochotą.

Janina.

Lichy... tu wszędzie klejnoty i złoto,
Skarby królewskie, księżęce przepychy.

Salomon.

Wszystko to, panie, co widzieć możecie,
Nagromadziła praca półwiekowa;
Wam wielkim skarby rozrzucac po świecie,
Żyd jak w skorupie, w swém mieniu się chowa;
Jemu utartym iść niewolno torem,
Bo świata zewsząd zamknięte ma wrota;
Odosobniony szukać musi złota,
Bo mu przez złoto świat stoi otworem.

Janina.

Więc cała wasza mądrość i nauka
Za takim jedno celem w życiu goni?

Salomon.

Jest napisano: „Znajdzie ten, kto szuka.”
Bóg wskazał drogę, człowiek idzie po nięj,
Szczęsny, gdy marnie nie zejdzie ze świata,
Jak już przeznaczeń wypróżni się czasza
I życie ujdzie.... Długo podróż wasza
Potrwała, panie?

Janina.

Całe cztery lata.

Salomon.

Mędrzec powiedział: „W walce i w podróży,
Człowiek dojrzewa.”

Janina.

Bawiłem najdłużej
We Włoszech, kraj ten obiegłem dokoła,
Widziałem dzieła geniuszu olbrzymie,
Byłem w Wenecyi, we Florencyi, w Rzymie,
Ścisnąłem rękę Michała-Anioła.
Tam świat piękniejszy, tam niebo łaskawsze.
O! kto raz zwiedził, od końca do końca
Ten kraj piękności, poetów i słońca,
Ten pamięć o nim zachowa na zawsze.

Salomon.

Dawnemi czasy, na Wschodzie, daleko,
Był kraj piękniejszy, żyźniejszy, szczęśliwszy,
Co Stwórca przodkom pobłogosławiwszy
Naszym, ojcowską przekazał opieką.
Tam On zagościł między dziećmi swemi,
Swój święty zakon dając im na strażę,
I kazał, żeby mocarze téj ziemi
Słynęli cnotą nad inne mocarze.
Lecz straszny wicher powionął z Zachodu,
Cała ta wielkość w proch się rozsypała.
Gdzież wy proroki i ojce narodu?
Gdzież ta świątynia — Salomona chwała?...
Krwia potu swego, w pogardzie u świata,
Lud Boży grzechów odkupuje brzemię.

Tuła się nędznie między obce ziemie
I proch z pod stopy swych panów zamiata.

Janina.

Nie wyrzekajcie: ta wielkość i chwała
Przez waszą winę jedynie stracona.
Ależ ta ziemia opiekę wam dała,
Ten lud was przyjął do swojego łona,
I gdy was indziej srogie jarzmo gniecie,
Kiedy was inne ciemieżą narody,
Tu, wśród ogólnej praw naszych swobody,
Wiare i zakon swój zachowujecie;
Tutaj, wśród murów gościnnych Krakowa,
Powstała dla was Jeruzalem nowa.
A jeśli dotąd ludowi waszemu
Praw równych z nami niedość zapewniono,
Czemuż na jednej nie chcecie przejść łono
Matki wraz z nami?

Salomon.

Spytaj, panie, czemu
Słońce nie świeci w nocy, a w człowieku
Kraży krew, którą dzieckiem wyssał w mleku?
Czemu sierocie nad wszystkie wspomnienia,
Świeci jak gwiazdka cześć matki imienia?—
Nie, my nie możemy zaprzecić się przeszłości,
To krew krwi naszój, to kość naszych kości;
Nie, my nie możemy prawa łamiać stare,
Pogwałcić przodków uświęconą wiare,
Bo wówczas, panie, winni byście sami
Zgromić odstępstwo i pogardzać nami!...

Ale dość o tém... w czémże pański sługa
Ma mu się przydać?

Janina.

To rzecz bardzo długa;
A przedewszystkiém, i to jak najprędzej,
Trzeba mi wiele i wiele pieniędzy.

Salomon.

Chętniebym tobie poświęcił, o panie,
Na ile żyda ubogiego stanie;
Lecz brak pieniędzy, a gotówka cała
W te ciężkie czasy gdzie się poskrywała:
Sam nie wiem zkąd wziąć...

Janina.

Na tém twoja sztuka;
Wszak robisz złoto?

Salomon.

Wiedza moja licha,
A od méj myśli daleką jest pycha
Tych mędrców, która niepodobieństw szuka.

Janina.

Znam ja was, nie kłam; tam w komnacie twojój
Niejedna skrzynia napełniona stoi:
To już wasz sposób, wszyscy tak mówicie.

Salomon

(przestraszony).

Jam w nędzy, ledwie starczy mi na życie:
Przysięgam, panie...

Janina.

Nie przysięgaj żydzie,
Już powiedziałem, wiem o co ci idzie.
Musisz na termin dać pieniądze blizki,
A ja należne zapewnię ci zyski.

Salomon.

Może się znajdzie, z największym kłopotem:
Będę się starał...

Janina.

A... wiedziałem o tém...
Żaden z was nie ma, a każdy się stara;
Toć wam podobno nakazuje wiara,
Żeby się kazać tak koniecznie prosić.
Ale pieniądze to jeszcze niedosyć,
Choć one wielce kłopoty mi zmniejszą...
Mam inną sprawę daleko ważniejszą.

Salomon.

Cóż jeszcze, panie?

Janina.

Nietajno mi wcale,
Że jesteś bardzo uczonym w Kabale:

Szukasz pierwiastku wszech rzeczy, a zatém
Miewasz stosunki z tajemniczym światem.

Salomon.

Tój wielkiej chwały twój sługa nie rości,
Panie, tój wiedzy nie posiadam godła,
A światłość jasna mych przodków mądrości
Jeszcze mojego czoła nie obwiodła.
Nad każdą z ksiąg ich wiecznotrwałych kartą,
Lata strawiłem krążąc po bezdrożu;
Lecz łatwiej zliczyć ziarnka piasku w morzu,
Niż poznać mądrość w Zoharze zawartą.

Janina.

Ale w tych księgach jest zapewne sposób
Odgadnąć losy wskazanych ci osób.

Salomon.

Jasnemi głoski, z woli niebios Pana,
Na gwiazdach przyszłość ludzi wypisana;
Wpóśród tych światel w tajemniczym kole,
Przeznaczeń naszych księga się oznacza,
Dłoń ludzka mówi dla oka badacza,
Wskazując przyszłe radoście i bole;
Wszędzie wryta tajemnicza mowa,
W wodzie, szkłe, drzewie, w nas samych, nad nami,
Wokoło....

Janina

(podając mu rękę).

Jakaż tu przyszłość się chowa?

Salomon

(przypatrując się jego ręce; po chwili namysłu):
 Dziwna się przyszłość na tój dłoni ryje...
 Serce miłości kołysane snami...
 Kochasz... twa miłość zbawi, lecz zabije.

Janina.

Co mówisz, żydzie?

Salomon.

Szybko chwile cieką,
 A każda losy przybliża złowieszcze...
 Ona tu blisko...

Janina

(wyrywając mu rękę).

Nie!... ona daleko...

Salomon.

(z powagą.)

Chrześcijaninie, nie skończyłem jeszcze.
 (Janina podaje mu rękę napowrót.)
 Złączeni sercem, rozdzieleni w wierze,
 Ty rękę popchniesz, a ja cios wymierzę.
 Co to ma znaczyć?... Elohim!

Janina.

Że kłamie

Twoja nauka.

Salomon.

Silne Boga ramię!

Janina.

Słuchaj mnie, plemię Machabeuszowe,
Zgadłeś istotnie, lecz tylko połowę.
Kocham dziewicę piękną, czystą, młodą,
I wiem, że ku mnie jój serce się skłania;
Ale mi trzeba twego współdziałania,
Rozumiesz, żydzie... a za to z nagrodą
Nie będę skąpym; lecz pamiętaj, słówka
Nikomu o tém wszystkiém...

Salomon.

Będę niemy,
Lecz muszę wiedzieć, nim działać zącniemy,
Kto ona, Polka, czy Włoszka?

Janina.

Żydówka.

Salomon.

Żydówka!!

Janina.

Cóż cię tak za serce chwyta
Ten wyraz? Tak jest.

Salomon

(na stronie).

Nieczy Ammonita.

Janina.

Z Włoch powracałem w towarzystwie hrabi
Otto, i prosił, choć to niby dalej,

Żebyśmy razem na Frankfurt jechali...
Bo miał w tém mieście ważną sprawę...

SCENA IV.

Ciż sami, Ruben.

Ruben

(wpadając z twarzą zakłopotaną).

Rabbi!...

(Mówi słów kilka Salomonowi do ucha.)

Salomon

(zmieszany do Janiny).

Panie, rzecz żadnej nie cierpiąca zwłoki,
Pilnie wymaga czasu twego sługi...
Gdy innym razem zwrócisz tu twe kroki,
Będę szczęśliwym.

Janina

(powtarzając).

No, więc na raz drugi.

Salomon.

Moja przysługa i pomoc gotowa...

Janina.

Dobrze... lecz pomnij, o tém ani słowa.

(Wychodzi.)

SCENA V.

Salomon, Ruben.

Salomon.

Gdzież są?

Ruben.

Na prawo, w świątecznej komnacie.

Salomon.

Wprowadź ich tutaj.

(Ruben wychodzi)

Rozdzieleni w wierze...

On rękę popchnie, a ja cios wymierzę...

SCENA VI.

Salomon, Efraim, Sara, Ruben.

(Efraim i Sara wchodzą wprowadzeni przez Rubena.)

Efraim

(podchodząc, kłania się z rękoma na piersiach złożonemi).

Pokój w tym domu.

Salomon.

Pokój tobie bracie.

Sara.

(podniosłszy zasłonę zbliża się z wolna do Salomona i ścisną go za kolana; on ją podnosi i całuje w czoło).

Salomon.

Witaj mi, Saro!

Sara.

Ojcie mój i panie!

Salomon.

Cóż to się stało? Czemuż moje oczy
Was oglądają tutaj niespodzianie?
Mów Efraimie.

Efraim.

Potomku proroczy!..
Rabbi Ben Jochai wyrzekł: „Choć wysoko
Nad tobą Pańskie rozwarte są skrzydła,
Niech pilnie czuwa tve ucho i oko,
Bo Filistyńczyk rozstawia swe sidła.”

Salomon.

Czyżby co złego zagrażało Sarze?

Efraim.

Owiec i dziewic mędrzec strzedz nam każe,
Bo niebezpieczeństw nocnych tajemnice
Nie przejrzą nigdy owce i dziewice.

Salomon.

Jakto, więc Sara?...

Efraim.

Przyszedł Madyanita

Do córy Judy, i zdziwiony pyta:
 Chceszże mi odkryć zasłony niewieście?
 Ja ci dam złota, bisiorów, szkarłatu,
 I sto baranów srokatych, i dwieście
 Macior spłodzonych u stóp Araratu,
 I cedrowego drzewa nawę całą,
 I serce moje... a jeśli to mało,
 Oddam ci jeszcze...

Salomon.

Więc mojej dziewicy
 Goim pożądał?

Efraim.

Napróżno żołnierzy
 Ślali przeciw nam z Og Astarotczycy,
 Gedeon czuwał z Jeruzalem wieży.

Salomon.

Więc cóż przybycie twoje i ta mowa
 Znaczy?

Efraim.

Był jeden z Chananejskiej ziemi,
 Co się chciał wdrzeć do świętego miasta,
 Kędy kwitnęła róża Syonowa,
 I mówił do mnie: „To moja niewiasta,
 Niechaj z mojami będzie służebniami.”
 Więc korne modły zasławszy do Pana,
 Zebrałem wszystkie namioty i trzody,

I opuściwszy ziemię Chanaana,
Przybyłem tutaj.

Salomon.

I któż był ten młody
Wróg naszej wiary, co ręką zuchwałą
Sięgnął po moją gołębicę białą?

Efraim.

Nie wiem, lecz ważną dla ciebie przestroge
Sam na sam tylko udzielić ci mogę.

Salomon.

A więc pójdź ze mną.

(Do Sary:)

Moje drogie dziecię,
Tutaj z Rubenem sami zostanieiecie.

(Salomon i Efraim wychodzą.)

SCENA VII.

Ruben, Sara.

Sara

(siadając).

Na mego ojca nic starość nie działa,
Taki jak dawniej.

Ruben

(który się przez ten czas ciągle w nią wpatrywał).

Jakeś wypiękniała

Saro!...

Sara.

Trzy lata, chwile szybko cieką.

Ruben.

Tak jest, trzy lata, tak, od nas daleko
 Byłaś, o różo najmiłsza w Syonie!
 Pan swemi łaski osypał twe ciało,
 Oko czystością jako dawniej płonie;
 Lecz czyliż serce toż samo zostało?

Sara.

Rubenie!...

Ruben.

Czyliż w głębi duszy, skrycie,
 Jakie nowotne uczucia nie płoszą
 Dawnych twych wspomnień?

Sara.

Rubenie, z rozkoszą
 Widzę te miejsca, gdzie przyjęła życie.

Ruben.

Nie wiem dla czego, ale mię wciąż trwoży
 Jakieś przeczucie dziwne, niepojęte...

Sara.

Niewiastom u nas zakon kazał Boży
 Prowadzić życie ciche i zamknięte;
 Wam ruch, działanie wszędzie towarzyszy,

Życie otwarte dla was,— a niewiasta
 W domowej ciszy rodzi się i wzrasta,
 I życie kończy w domowej zaciszy,
 Uznając zawsze za władcę i pana
 Wprzód ojca, potem męża... Jakaż zmiana
 Może zajść dla niej, smutna czy szczęśliwa
 W tém życiu, które tak równo upływa?

Ruben.

A więc myśl twoja z zawiścią ulata
 Do życia niewiast chrześcijańskiego świata,
 Co porzuciwszy cnot domowych strażę,
 Odkryte noszą i serca i twarze,
 Co wdzięk rozumu i urodne ciało
 Kładną podstawą królowania tronu?

Sara.

Nigdy me serce zawiści nie znało.

Ruben.

Czegoż więc pragniesz, o różo Syonu?

Sara.

Spokoju.

Ruben.

Nic więc duszy twój nie nęci,
 Żadne ukryte marzenia, ni chęci?

Sara.

Nic.

Ruben.

Nawet miłość namiętna człowieka,
Co w tobie żyje myślą, słowem, słuchem,
Co u stop twoich ukorzony duchem
Słowa zbawienia lub zaguby czeka?

Sara.

Serce kobiety jest tajnią, co mieści
Wielkie uczucia w ukryciu głębokiém;
Wszelkie radości i wszelkie bóleści
Ona przed obcém chronić winna okiem.

Ruben.

Więc jam jest obcym dla ciebie?

Sara.

Tyś bratem
Moim, Rubenie; czyż ci nie dość na tém?

Ruben.

Nie, nie dość, Saro; bo mém sercem całém
Ja nie jak siostrę ciebie pokochałem.
Nie, nie dość, Saro; bo memu istnieniu
Tyś jest potrzebna, tak jak słońce ziemi,
Bo ja w ócz twoich uroczym promieniu
Czerpię mój oddech, bo siły wszystkiemi
Ducha i całą méj myśli ofiarą,
Jam się w istnienie twoje wcielił, Saro.
Tego uczucia nic z serca nie zetrze,
Nawet twój wzgardy nie zgładzi go brzemię...

Kocham to, którém oddychasz powietrze,
 I tę, po którój kroki stawiasz ziemię.
 Ja przez tę miłość dla ciebie jedynie
 Żyję tu, Saro; bo ja kocham ciebie
 Całą krwią wschodnią, co w mych żyłach płynie,
 Całą nadzieją szczęśliwości w niebie.
 Tyś mi jest jedna przeciw piekłu zbroją,
 Tyś jest wyznaniem, tyś jest wiarą moją.
 Wspomnienia twego niezwalczona siła
 Ponad księgami czoło me schyliła.
 Żeby twą rękę u ojca uprosić,
 Z całą nadzieją młodzieńczą i wiarą
 Jam się w naukach zagrzebał... więc Saro,
 Być twoim bratem to dla mnie nie dosyć.

Sara.

Ufam twym słowom i serce tve cenię
 Jak zasługuje, i wierzaj Rubenie,
 Że gdybym mogła...

Ruben.

I jakaż ci władza
 Być twórcą szczęścia mojego przeszkadza?
 Jakaż nieznaną i niezłomną siłą
 Odemnie serce twoje oddaliła?
 Nie chcę już nawet miłości twój, z błogiej
 Tój mary szczęścia poświęcenie robię...
 Niech jak pies nędzny zostanę przy tobie,
 Niech jak pies, Saro, skonam u twój nogi;

Niech w zatracenia wpadnę przepaść ciemną,
 Bylebym ciebie, Saro, czuł nademną,
 Byle przy piekła wszystkich żarów błysku,
 Spalić się w ogniu twojego uścisku.

Sara

(powstając z miejsca).

Rubenie, przytłum tę miłość szaloną,
 Ku innym celom twe myśli niech biegą;
 Ja nigdy twoją nie mogę być żoną,
 Wierzaj mi: nigdy, Rubenie!

SCENA VIII.

Ciż sami, Salomon.

Salomon

(który ukazał się we drzwiach podczas ostatnich słów Sary).

Dla czego?

I jakaż siła córkę moją zbroi,
 By śmiała działać przeciw woli mojej?

Sara.

Ojciec i pani!

Salomon.

Milczeć, gdy ja mówię!...

Jam Rubenowi przeznaczył twą rękę,
 W nim bowiem nasi odżyją ojcowie,
 I on jak Samson rozedrze paszczękę
 Lwu niecnot, który, zagon po zagonie,
 Cały plon święty Izraela chłonie.

Mém szczęściem, mojm marzeniem jedynm
 Było go nazwać kiedyś moim synem;
 Bo w nim duch prawy naszych ojców gości,
 On jest podporą mój późnej starości.
 W niejednej ciężkiej poznawszy go próbie,
 Jam go od dawna przysposobił sobie.
 I gdy dni moje co się zwolna wleką,
 Staną nareszcie w śmiertelnej godzinie,
 Błogosławieństwo na twą głowę spłynie,
 Jeśli pod jego ujrzę cię opieką.

Sara.

Ojczel!... przez litość... wskaż mi inną drogę;
 Nie mogę jego być żoną...

(Salomon spogląda na nią surowo.)

Sara

(stłumionym głosem).

Nie mogę...

Salomon.

Lecz czemuż?... powiedz... jakież tve zamiary?...
 Mów... czegoż pragniesz?...

Sara

(rzucając się na kolana).

Chrześcianańskiej wiary!

Salomon

(cofając się w tył).

Ty!... chcesz chrzest przyjąć!...

Sara

(wlokąc się za nim na kolanach).

Ojczel!

Salomon

(odtrącając ją ręką).

Żmijo, z dala!!!

SCENA IX.

Ciż sami, Efraim.

Efraim

(ukazując się we drzwiach).

Rabbi, już nasze rachunki skończone.

Salomon.

Patrz... jam ci oddał dziewczę nieskażone,
Ty mi przywodzisz czcicielkę Baala.

A K T II.

SCENA I.

Teatr wystawia pracownię Salomona. W głębi szafy z książkami. Na półkach przy ścianach i na stolikach ustawione retorty, flaszki, moździerze. Szkielet człowieka w kącie. Różne zwierzęta wypchane i szkielety zwierząt wiszą u sufitu i stoją nad szafami. W głębi drzwi. Na prawo drzwi od alchemicznego laboratorium.

Salomon, Efraim, potem Ruben.

Salomon.

Zbłądziłeś, bracie! Kto w domu swym trzyma
Straż nad niewiastą, chroniąc ją od sromu,
Winien ostrożnie przyjmować goima,
By się zaraza nie rozeszła w domu.

Efraim.

Winieniem, Rabbi, za moje niecnoty,
Adonaj karą dotknął mnie ślepoty.
A on przychodził i mówił układnie.
Panie, z ust twoich mądrość płynie sama,
Panie, ja jestem oślicą Balaama;

Spraw niech zasłona z oczu moich spadnie,
Spraw niech przewidzę aniołowe godła.

Salomon.

I Saulowa duma cię uwiodła;
A wiesz, bo wszakże święte mówi słowo,
Że Pan ukarał dumę Saulową.

Efraim.

Więc gdy się moje przekonały oczy,
Że to jest Moab o podwójnej twarzy,
Który strój na się przyodziął proroczy,
By wykraść święte naczynie z ołtarzy;
Gdym kręte jego przegładnął manowce
I trąd co judzką zarazić ma owcę,
Zgasilem światła w gościnnój komnacie
I drzwi zawarłem.

Salomon.

Za późno już, bracie.
Pan, co w swych ręku losy trzyma świata,
Nawiedził klęską duszę mą strapioną.

Efraim.

O, Rabbi! wart-em, by na mnie rzucono
Trzy klątwy: cherem, niddai, i schamata.

Salomon.

Nie wiń się, bracie: niecofnioną siłą
Chwile przeznaczeń dla ludzkości biega;

W górze już widać zapisano było,
Ze się doczekam hańby domu mego.

(Po chwili:)

Tak, wszystkie moje starania i trudy
Jedno zachcenie niweczy szalone.

Efraim.

Rabbi, ty jesteś jasną lampą Judy,
Na ciebie oczy ludu są zwrócone;
A mędrzec mówi: „Czcze kobiety słowo,
Choćby je miedzią na kamieniu ryła.”
Wszak Marya siostrą Mojżeszową była,
A trąd ogarnął siostrę Mojżeszową.

Ruben

(pokazując się we drzwiach na prawo).

Rabbi, już metal stopiony.

Salomon.

To dolój

Płynu białego.

(Ruben wychodzi.)

Biada na mnie, biada!

Twarda starcowi do przebycia kolój,
I moja praca zewsząd się rozpada.
Myślałem długo, że się we mnie wciela
Wzrost i pomyślność przyszła Izraela,
Że w mych zamiarach Pan sobie podoba
I wielką chlubę narodu rozwinie;

A Pan mię dotknął w méj własnej rodzinie
Srogiém kalectwem!...

Efraim.

Eli dotknął Joba,
Lecz go miłował w zléj i dobrej doli.

Salomon.

Toż ja nie szemrzę przeciw Jego woli...
Lecz widzę teraz, że czas jest daleki,
W którym się spełnią przeznaczeń koleje,
I długie lud nasz cierpieć musi wieki,
Nim Pan w nim znowu chwałą zajaśnieje.

Efraim.

Jafeta synów blizką jest zatrata,
Zewsząd ich trapi pomsta Niebios sroga;
Na całej ziemi wyklętej od Boga,
Ojciec na syna, brat powstał na brata.
Czarny Lewiatan w Niemczech podniósł głowę,
Zmieszane prawa, obyczaj i wiara,
Wkrótce się sprawdzi słowo Danielowe
I w proch upadnie pałac Baltazara;
Czas na nas blizki...

Salomon.

To cię właśnie myli...
Był czas, gdy i ja tak samo mniemałem,
Gdym widział, z jakim namiętym zapalem
Czciciele krzyża tłumnie się rzucili

Do nowych wyznań otwartych podwoi;
 Wołałem: „Światło zabłyśka wśród nocy,
 Nadszedł czas, który wskazali prorocy:
 Któż się Twój woli, o Panie, ostoi?
 Egipt upada, Faraony bledną,
 A lud się Boży w całość złączy jedną!”
 Lecz czujném okiem, a duszą stroskaną,
 Napróznom szukał pośród nas Mojżesza,
 Którego śladem zjednoczona rzesza
 Miała znów wstąpić w ziemię obiecaną,
 I olbrzymiego cieśli, co dokona
 Odbudowania domu Salomona.
 Naprózno... Wszędzie, pośród nas, wokoło
 Widziałem ludzi z barkami zgiętymi,
 Którzy ku ziemi nachylali czoło,
 Żeby wydobyć garstkę złota z ziemi.
 Widziałem innych zakrwawionych w trudzie,
 Żeby bałwanów złote ulać bryły,
 I takich, którzy wołali: „O, ludzie!
 To bogi co cię z Egiptu zbawiły.”
 I w samą głębi duszy mój, przytomnie
 Głos usłyszałem, co przemawiał do mnie:
 „Jeżeli naród dla siebie wybrałem,
 Stary dziejami a przyszłością młody,
 Co wyższy duchem, urodniejszy ciałem
 Winien królować nad inne narody,
 Niechaj ten naród prawa mego słucha
 Przy świętej drodze obstając wytrwale,
 A piękność ciała i bogactwo ducha
 Niechaj ku mojej pokieruje chwale,

Nie znikczemnieniem chananejskich męży,
Ale czystością własną on zwycięży.”

Efraim.

To Pan przemówił do swojego sługi.

Salomon.

A więc zasoby zgromadziwszy wszelkie,
Które w wędrówce nazbierałem długiej,
Złamany wiekiem, dzieło wszcząłem wielkie:
Szukałem życia i mądrości źródła,
Ale nauka w bezdroże mię wiodła;
Bo nić méj wiedzy słaba i zbutwiała,
W moich się rękach co chwila zrywała;
A mądrość ojców krążąca nademną,
Chmurą mię tylko otaczała ciemną.

Efraim.

Jest napisano: „Rzuć próżne badania,
Mądrość człowiecza to jest ostrze noża,
Co rani tylko; wierz bez dociekania,
Czekaj, a przyjdzie.”

Salomon.

Przyszła kara Boża,
Która ostatnie siły we mnie targa;
Ale z ust moich nie wynijdzie skarga.
Póki się w własnej boleści nie spałę,
Panie! ku Twojej walczyć będę chwale.
Rubenie!....

(Ruben ukazuje się we drzwiach na prawo.)

Sarę przyzwij tutaj.

(Ruben wychodzi.)

Muszę

Wskazać téj błędnej rozwarte otchłanie,
Żeby sprowadzić jej zbłąkaną duszę
Na drogę prawdy i pokoju.

SCENA II.

Ciż sami, Sara, Ruben.

Sara.

Panie,

Stawiam się na twe rozkazy.

Salomon.

Niegodna

Córo Jakóbów, wyrzutku Syonu,
Coś twemu ojcu, blizkiemu już zgonu,
Czarę boleści dała wypić do dna!
Niech grzeszne twoje ucho się otworzy,
By godnie przyjąć słowo łaski Bożej.

Sara.

Słucham cię, panie.

Salomon.

W złości ociemniała,
Tyś nauk Pańskich treści zapomniała.

Nim więc uderzy dzwon straszliwy, który
 Dla grzesznych w kary zadźwięcza godzinie,
 Niech Pańskie światło oświeci cię z góry
 I Pańska mądrość niech na ciebie spłynie.

(Do Rubena oddając mu książkę:)

Synu, bądź dla niéj Bozkich nauk echem,
 Oświeć ją prawdą w mędrców naszych słowie,
 Niech do téj duszy zarażonej grzechem
 Drzwiami pokuty znowu wejdzie zdrowie.
 A Ty, o Panie! udziel mi opieki,
 Żebym jéj wykląć nie musiał na wieki.

(Do Efraima:)

Pójdź.

SCENA III.

Sara, Ruben.

(Sara siada na fotelu, na którym ojciec jéj siedział. — Ruben siada przy niéj, otwiera książkę i zaczyna czytać.)

Ruben.

Midrasch, Rabba, pięćdziesiąta karta,
 A na niéj taka nauka zawarta,
 W której się mędrzec myśl tajoną wciela:
 Pan do Mojżesza w te słowa przemówi:
 „Słuchaj: to powiesz Jakóba domowi,
 I to oznajmisz synom Izraela.”
 Więc dom Jakóba, to znaczy niewiasta,
 Z której szczep przyszłych pokoleń wyrasta

I który ona w Pańską służbę wprzędę;
 A Izraela syny, to są mężę.
 Więc ta niewiasta przez Pana stworzona,
 By przyszłość rodu piastowała w łonie,
 Nie dość, że ujmie przedzę i wrzeczona
 I białą taśmą opasze swe skronie,
 Że zdala od niój chęć postanie płocha,
 Że czuciem żyje a miłością kocha,
 I że do domu, kędy mąż jej mieszka,
 Cnoty i wiary prawa wiedzie ścieżka;
 Nie, nie dość na tém, niechaj się zapiera
 Własnych swych uczuć, niech przez poświęcenie
 Żyje, jak owa Judyth lub Estera

(Sara ociera łzę.)

Saro! ty płaczesz!....

Sara.

To tylko wspomnienie

Boleści.

Ruben

(rzucając książkę o ziemię.)

A ja duszę twoją ranię
 Nowém cierpieniem różo Syonowa,
 I czytam tobie zimne mędrców zdanie,
 Gdy ty pociechy potrzebujesz słowa!

Sara.

Ja nie słuchałam, Rubenie; bo w głębi
 Serca mojego inne słowo żyje,

Które już siły nie zgładzą niczyje
I żadnych mędrców rada nie wyiębi;
W niém jestem stała, mężna, zaufana.

Ruben.

Jakież to słowo jest?

Sara.

Chrystusa Pana.

Ruben

(opuszczając głowę na piersi).

Jeszcze!...

Sara.

Tak, zawsze....

(Powstaje z miejsca, i zbliżywszy się do Rubena, kładzie
mu rękę na ramieniu.)

Posłuchaj mnie, bracie.

Ta prawda, której wszyscy zaprzeczacie,
Choć wasi mędrzy głosili ją sami,
Ona jest przy was, w was samych i z wami.
Zapowiedziane w prorocctwie dalekiem
Słowo się stało, światło wyszło z cieni;
A wy czekacie Boga, zaślepieni,
Co między wami stał się już człowiekiem.

Ruben.

Lecz czegoż uczy to wyznanie nowe,

Żeś ty dla niego jako próżną marę
Rzuciła święte prawo Mojżeszowe?

Sara.

Wierzyć przez miłość i kochać przez wiarę.
Bóg, co bojaźnią między wami gości,
Któremu trwożni stawiacie ołtarze,
Co dla was niszczy, przeraża i karze,
Ten Bóg dla chrześcian jest Bogiem miłości.
On krwawych ofiar dla siebie nie bierze,
Ołtarz ma w sercu, a świątynię w wierze.

Ruben.

Lecz pomnij, Saro, z jakiego to źródła
Ta Chrystusowa wiara się wywiodła?
Wszakże w nas bierze początek jedyny?
Czémże was nowém ów Chrystus bogaci?

Sara.

Nauczył bliźnich miłować jak braci,
Kochać swych wrogów i odpuszczać winy.

Ruben

(potrząsając głową.)

Bóg jeden tylko.

Sara.

Ten, którego imię
Odwieczną będzie przeciw złemu tamą,
Co zwalczył piekła zapory olbrzymie,

Ten między ludźmi miłością żył samą.
 Każda krwi kropla, która na Golgocie
 Koronę jego broczyła cierniową,
 Wydarła piekłu dusz człowieczych krocie,
 I niebu radość przysporzyła nową.
 Bo On nie słowem zbyt prędko zmartwiałem
 Lecz krwią nas własną okupił i ciałem;
 Nie kazał ofiar poświęcać za wiarę,
 Ale sam z siebie uczynił ofiarę.

Ruben.

Lecz powiedz, Saro, powiedz, czyjeż ramię
 Kładło w twe serce tego gmachu cegły?
 Zkądże ty krzyża zaprzysięgłaś znamię?
 Zkądże te myśli duszę twą obległy?

Sara.

Od dawna światła szukając daremno,
 Czulałam pustynię wkoło siebie ciemną;
 Od dawna swoją skrytością jałową
 Mędrców mi waszych nie starczyło słowo;
 Ten odgłos Boży co głązy porusza,
 Nieraz uderzał o mój duch stroskany;
 Pragnęło serce i tęskniła dusza
 Jakaś tęsknotą miłości nieznanéj, —
 Miłości, której nieśmiertelne błyski
 U was zabobon i bojaźń przygasza,
 Co winna dziecku świecić od kołyski,
 A którój wiara nie pojmuje wasza.
 Jéj to me serce stęsknione wołało,

Pragnęłam osiąść to natchnienie Boże,
 Co w sobie ludzkość obejmuje całą
 I kocha Stwórcę w każdym jego tworze, —
 I Bóg, co widział to pragnienie we mnie,
 Bóg miłosierny sercu, co Go woła,
 Zesłał mi z niebios swojego anioła,
 Który rozjaśnił serca mego ciemnie,
 Który do jego przybliżył mnie łona.
 Jam pokochała w nim Boga.

Ruben

(stłumionym głosem.)

Stracona.

Sara.

I gdybyś widział, bracie, jaka zmiana,
 Jaka mi błysła nadzieja i wiara,
 Gdy po raz pierwszy padła na kolana
 Przed krzyżem, godłem Chrystusowém...

SCENA IV.

Ciż sami i Janina

(który wszedł podczas ostatnich słów, postrzega Sarę i staje nieporuszony we drzwiach).

Janina.

Sara!

Sara.

Andrzej!

Janina.

Ty... tutaj... w Jagiellońskim mieście!

Sara.

Ależ wy sami ządże tu jesteście,
Panie? i jakim łaski Niebios szlakiem
Gwiazda was wiodła?

Janina.

Ja jestem Polakiem.

(Oglądając się naokoło:)

Wszak Salomona jest tutaj mieszkanie?
Wszakże tak?

Ruben

(na stronie).

To on!

Sara.

To mój ojciec, Panie!

Janina.

On twoim ojcem! on, te szczątki stare
Kabały!...

Sara

(błagalnym głosem).

Panie!

Ruben.

Mane tekel fare!

Janina.

Wybacz mi, Saro! Nie moim zamiarem
Ranić cię; ale pojąć nie umiałem,
Jak wyrósł duchem i rozkwitnął ciałem
Kwiat taki piękny w tém zwałisku starém.

Sara.

Panie.. mój ojciec....

Ruben.

Niewierny goimie,
Jak śmiesz poniżać w niecnój mowie twojój
Mędrca, którego czią pokryte imię
Potrójna świętość ojców naszych stroi?

Janina.

Saro, od ciebie dowiedzieć się muszę,
Co chce ten Juda Machabeusz nowy?

Ruben.

Byś nie truł jadem twój pogańskiój mowy
Tój, którój mistrz mój polecił mi strażę...

Janina.

Milcz nędzny żydzie, bo na moją duszę...

Sara

(do Rubena.)

Rubenie, odejdz.... ja proszę....

(Ruben waha się.)

Ja każę!

Ruben

(odchodzi powoli oglądając się; we drzwiach zatrzymuje się i mówi stłumionym głosem).

Na Boga ojców, ten niewierny goim
Nie wyjdzie już ztąd żywym!

SCENA V.

Janina, Sara.

Janina.

Któż to taki?

Sara.

Niech was nie dziwią te gniewu oznaki,
Panie, to ojca przybrane jest dziecię,
Które on pragnie mężem widzieć moim.

Janina.

On twoim mężem, mój liliowy kwiecie,
Ten żyd?

Sara.

A czémże wasza Sara była,
Nim ją oświecił promień Bożej wiary?

Janina.

Ty Saro jesteś aniołem, co zsyła

Niebo, by swoje rozkrzewić zamiary;
 Ty jesteś kwiatem, co na każdój ziemi
 Kwitnie wybrany między wybranemi;
 Temu, co z twemi złączy swoje dłonie,
 Będzie mógł każdy pozazdrościć doli...

Sara.

To téż przeciw téj wstrętnój dla mnie woli
 Ojca, wszelkiemi siłami się bronię;
 Różna z Rubena przekonaniem, wiarą,
 Cała nas przepaść niezmierną dzieli....
 Lecz ileż cierpieć musiałam!...

Janina.

Ty, Saro!....

Czyżby ci oni przymus zadać śmieli?

Sara.

Ojciec mój w swojej zatopiony wierze,
 Czczył ją jak odblask woli Boga świętej,
 I tych przepisów, które zakon strzeże,
 Pilnuje silny, stały, nieugięty. .

Janina.

A czyliż poznał już twoje zamiary?
 Czyż wie, że pragniesz chrześcijańskiej wiary?

Sara.

O! gdybyś słyszał te straszliwe słowa,
 Co mi przekleństwem cisnął w oczy twardo,
 Jak się zwróciła odemnie z pogardą

Jego latami ubielona głowa,
 Gdyś go na klęczkach błagała daremno —
 Byłbyś się, panie, użalił nademną.

Janina.

Cierpiałaś?...

Sara.

O tak! lecz cierpienie duszy
 Zsyła mi promień tajemnej radości,
 Że przez tę ziemskość, co się we mnie kruszy,
 Bóg w sercu mojem łaskawiej zagości,
 Że łatwiej przejdę do kościoła łona
 Świętym boleści ogniem oczyszczona....
 I wreszcie kocham... A miłość, to zawsze
 Najwyższe szczęście i męki najkrwawsze...

Janina.

Aniele!

Sara.

Kiedy pod straszliwą męką
 Cierni żywotnych dusza ma upada,
 Kiedy do serca rozpacz wchodzi blada,
 Szarpiąc je krwawą na kawały ręką, —

(Wyjmuje ewangelię z za sukni.)

Wówczas, o! wówczas jak godło wesela,
 Biorę dar, który od ciebie dostałam,
 I odczytuję słowo Zbawiciela,
 I znowu wiarą i miłością pałam.

Janina.

Więc niezachwianie wierzysz?

Sara.

Umrzeć mogę,
Ale na błędu nie zejść już drogę.

Janina.

Słuchaj mnie, Saro! Bóg w swojej dobroci,
Żeby umartwień ulżyć ludziom brzemię,
Zsyła swojego anioła na ziemię
I świętą chwałą czoło mu ozłoci;
On przetrwa wszystkie przeszkody i boje,
Wycierpi wszystkie boleści i rany
I przejdzie czysty, święty, nieskalany,
Znamieniem Bóstwa znacząc przejście swoje.
Ty jesteś, Saro, tym Bożym aniołem,
Przed którym kornie w ziemię biję czołem;
Bo ty się w ziemskim nie kalając błocie,
Natchnieniem mijasz ścieżki błędu kręte,
Bo wszystko, czego dotkniesz się w przelocie,
Jak ty się staje przeczyste i święte.

Sara.

Lecz któż mi świat ten ukazał uroczy?
Kto światłem prawdy rozwidnił mi oczy?

Janina.

Ty sama, Saro: bo tajemną siłą,
Bóg sercu twemu téj udzielił łaski;

Bo w tobie dawno to życie już żyło,
 Bo w tobie dawno świeciły te blaski
 Jak stos ofiarny, co żar kryjąc w łonie,
 Od lada iskry świętym ogniem płonie.
 Jeżeli Pan mnie obrał za narzędzie,
 Żeby w winnicy jego krzewić ziarno,
 To wyrzekł, iż nad ludzką wolę marną
 Plon wydatniejszy i obfitszy będzie...
 Tak.... już mnie żadna nie wstrzymuje tama!

(Rzuca się na kolana.)

Saro! przed tobą padam na kolana,
 Czy chcesz być moją, Saro ukochana?

Salomon

(ukazuje się we drzwiach).

Sara

(sposzregłszy Salomona, cofa się i zakrywa twarz rękami).

Nieba!.....

SCENA VI.

Ciż sami, Salomon.

Salomon.

Co widzę!! Boże Abrahama,
 Na toż mi czoło pochyliłeś znojem
 I żyć kazałeś, żebym w moim domu

Sam stał się świadkiem tak straszego sromu
I sam Sodomę widział w dziecku mojem! —

(Zbliża się i odtrąca Sarę ręką.)

Odstąp niegodna!

(Do Janiny:)

A ty, możny panie,
Czyż waszych niewiast w Krakowie nie stanie,
Byś twoją mową zgubną i zdradziecką
Biednego żyda liche kusił dziecko?
Odpowiedz.

Janina.

Sara nie żydówka. Ona
Do naszój świętój wiary nawrócona.

Salomon.

Ona!... Nie! nigdy! dopóki ja żyję,
Ona do ojców należy kościoła.
Siły mnie uledz nie zmuszą niczyje
I nic jój wydrzeć z méj ręki nie zdoła.
Bo jój kapłani wasi nie ustrzegą
I w waszój wierze nie wynajdzie tarczy
Przeciw przekleństwu ojca zgrzybiałego,
Które jój duszę skażoną obarczy.
Ustąp ztąd, panie, by stropy domowe
Na twoją grzeszną nie runęły głowę.

Janina.

Odchodzę, ale znajdę dosyć siły,
By złamać ślepią ciemnotę w uporze;

Wyszukam środków, co by cię zmusiły
Na łono Boga dziecko zwrócić Boże.
Hydrze przesądów wydrę pastwę z garła.

(Salomon wyprowadza Sarę na prawo. Janina chce wyjść na lewo.
Nagle za nim ukazuje się Ruben z nożem w ręku.)

Ruben.

Giń podły!...

(Upuszczając nóż na ziemię.)

O, nie! onaby umarła!...

A K T I I I.

SCENA I.

Ruben sam.

(Komnata świąteczna w mieszkaniu Salomona. Po ścianach srebrne siedmioramienne świeczniki. Na prawo stół nakryty czarném suk-nem; na stole taca mosiężna, rzeźbiona, na której urna srebrna stoi. Po bokach urny dwa małe zwierciadła stalowe w drewnianych rzeźbio-nych ramach. Na przodzie stołu kilka szkatulek z różnokolorowego drzewa. Przy ścianie na lewo skrzynia z przykazaniami okryta cztero-kolorową zasłoną; przed zasłoną na stole księgi święte, kadzielnice srebrne i dwa świeczniki siedmioramienne. Na przodzie sceny także stół i fotel przed nim. Noc. Lampa zawieszona u sufitu słabo oświeca scenę).

Ruben

(stojąc przed stolikiem, na którym taca z urną, czyta z księgi w pergamin oprawnej).

„Więc kiedy massa zgęstnieje już czarna,
Włóż w nią gałązkę jemioły uschniętej,
Popiół z hyzopu i dwa żółte ziarna
Grochu.”

(W miarę wymawiania tych wyrazów, bierze rzeczony przedmioty ze szkatulek i wrzuca je w urnę.)

Tak, dobrze już teraz... przeklęty
 Goim, bogdaj mu serce na kawały
 Psy poszarpały!... A teraz co żywo
 Ognia... (Zapala płyn w urnie.) Gehenna!... płomień
 zatlał krzywo,

Zła wróżba!... Jak się jój oczy zwracały
 Ciągłe ku niemu!... O hańbo! o wstydzie
 Plemienia Judy!... Płomień w górę idzie
 I biały dymek pod powałę bucha,
 Już krwawe w dole krzyżują się żyły,
 Nadchodzi chwila... Jakaż niemoc ducha!
 Miałem nóż w ręku i zabrakło siły...
 Biedna ma głowa jak gdyby w odmiecie
 Ginie... Żar pryska, czas mówić zakłęcie.

(Mówi wolno i poważnym głosem:)

Przez siłę, która siły stwarza,
 Przez błyski, które w gromach syczą,
 Przez liczbę siedem tajemniczą,
 Co siedem razy się powtarza,
 Przyzywam was, wynijdźcie z nocy cienia,
 Gdzie wasza óma niepewno krąży blada;
 Otwórzcie się otchłanie przeznaczenia,
 Niech oko me przyszłości tajnie zbada!

Zaklinam was na wielkie słowo,
 Które przedarło cieniów łono,
 Na pierwszą zbrodnię Kainową,
 Na pierwszą duszę zatraconą;
 Na wszelkie zło, co ludzkość w zgubę wiodło,
 Na ludów błąd, przed którym słabość klęka,

Niech ujrzę znak, co w płomieniste gołło,
Na gmachu uczt, nieznana ryła ręka.

Już płomień gaśnie, żar stygnie, dym rzednie,
Mgła w gęstej swojej rozdziela się szacie;
Więc ujrzę przyszłych wieków przepowiednie,
W widome oku wcielone postacie.

(Z poza zgasłego płomienia daje się widzieć figurka
woskowa wyobrażająca Sarę.)

Tyżeś to Saro!... jak piękna! jak blada!
Oko mży smutkiem jak tęskna łzawnica,
A światło lampy, co na ciebie pada,
Kirem grobowym pokrywa twe lica.
Tyżeś to Saro! tyżeś to mój kwiecie!
Czemuś tak smutno ręce załamała?
Snadź tęskno tobie na tym łzawym świecie,
Moja gołąbko niewinności biała!
Lecz głos się jakiś z twych piersi wyrywa,
Twe usta wyraz wymówić się siłą:
Moab w twém sercu... Co czynisz Dalilo?...
Tyś opuściła Boga nieszczęśliwa,
Tyś pogardziła ojców naszych wiarą!
Posłaniec śmierci zawrze twoje oczy...
Przebóg!... co widzę?... krew tve łono broczy!
Zkąd ta krew?... Saro!... odpowiadaj!... Saro!...
Niech w piersi twoje życia wejdzie tchnienie:
Mów!... mów!...

(Słuchać głos).

Rubenie!

Ruben.

Co słyszę?

SCENA II.

Ruben i Sara.

Sara

(wehodząc).

Rubenie,

Nie śpisz?...

Ruben.

To ona!... Czyż nad mą rozpaczą
Bóg się zmiłował?... To ona!...

Sara.

Co znaczą

Te dziwne sprzęty?

Ruben

(powracając do przytomności, nakrywa stół czarnym
suknem).

To jest zwykła praca,
Ku której duch nasz stęskniony powraca,
Gdy słońce obieg zwyczajny dokona.
To jest nauka mistrzów, to Kabała.
Lecz zkąd ty czuwasz tak późno?

Sara.

Znużona,

Napróżno-m ulgi w spoczynku szukała,
Sen od mych powiek ciągle stronił z dala.

Ta nowa, straszna w losie moim zmiana,
 Ta cisza nocna wkoło mnie rozlana,
 Ta myśl ognista, co serce przepala
 I ducha w srogiój niepewności trzyma,—
 Wszystko się krwawo ryło przed oczyma:
 Szukałam ciebie.

Ruben.

Czegoż pragniesz?

Sara.

Wieści,

Coby ulżyła lub wzmogła męczarnie;
 Bo nie masz w świecie straszliwszój boleści,
 Jak kiedy ducha niepewność ogarnie.

Ruben.

Ojciec twój, którym sroga rozpacz miota,
 Starców Zakonu zgromadza tu grono,
 Które pod nocy tajemną zasłoną
 Ma radzić..

Sara.

A on?

Ruben.

Ten syn Astarota?

Sara.

Nie wiesz co o nim?

Ruben.

Nie.

Sara.

Wcale?

Ruben.

Kobieto,

Jam go nie zabił; powiedz, nie dośćże to
Jeszcze dla ciebie?

Sara.

Bracie!

Ruben.

Czyż nie dosyć,

Żem tu obecność jego musiał znosić?
Kiedy mną miłość wzgardzona miotła,
Kiedy krew w żyłach zemsty wrzała piekłem,
Żem mu nie rozdarł pazurami ciała,
I z piersi jego serca nie wywlekłem?

Sara.

Bracie!

Ruben.

Więc sądzisz, że za jednym słowem
Zgasną te wary, co się w głowie mącą,
Że można życiem odrodzić się nowem
I krew ostudzić w żyłach gorejącą?
Że można skrzący człowieka istnienie,
Wydrzeć mu z serca drogą szczęścia marę,
I rzec: „Nie mogę cię kochać, Rubenie,
Jam już innemu poprzysięgła wiare.”

A on jedyne marzenia dziecięce,
 Całą swą przyszłość odda w cudze ręce,
 I ból stłumiony nie zawre mu w łonie,
 I duch ogniami zemsty nie zapłonie?!
 O! gdybyś znała jak krwawe widziadła
 To pogardzone serce w sobie mieści!
 Gdybyś poczuła tę łzę, łzę boleści,
 Co z rozpalonych oczu moich spadła,
 Gdym pierś szponami krwawił nadaremno,—
 Z przestraszonyś się cofnęła przedemną.

Sara

(zakrywając sobie twarz rękoma).

Boże!

Ruben

(padając na kolana).

Bo ja cię, duszo mojej duszy,
 Kocham, jak w ludzkiej nie jest kochać sile;
 Bo całą męką piekielnych katuszy,
 Chciałbym ci kupić jedną szczęścia chwilę;
 Boś ty mi skarbem jedynym na świecie...
 Bo patrz...

(Włokąc się za nią i całując kraj jej sukni:)

U nóg twych ja płacę jak dziecko.

Sara

(cofając się przed nim).

Rubenie!... Boże! Efraim!

(Ucieka drzwiami na prawo.)

SCENA III.

Ruben, Efraim.

Efraim

(który wszedł nie widząc Sary).

Noc głucha.

(Spostrzega Rubena klęczącego.)

Co znaczy, bracie, ta pokora ducha?

Ruben

(powstając ponuro).

Marzyłem w Panu.

Efraim.

Szczęśliwy stokrotnie,

Kto się przed Panem uniża samotnie,
 Bo napisano w księgach, „że jedynie
 Wtedy do serca balsam prawdy płynie.”
 Lecz czas nadchodzi, światła zagaszono
 I szmer gwarliwy miejskiej ustał zgrai,
 Wkrótce się mędrców zgromadzi tu grono,
 Pan się ukaże na górze Synai;
 Czas przygotować wszystko...

(Ruben milcząc, bierze lampę ze stołu i zapala świeczniki.

Efraim przez ten czas mówi dalej:)

Niech promieni

Niebieska światłość z tych siedmiu ramieni,

Niechaj nam Bóztwa błyskają nadzieją,
 Jak siedem planet co nad nami tleją,
 Jak siedem tęczy kolorów, co strzegą
 Od wód otchłani rodzinę Noego
 I łaskę Bożą oznajmiają światu,
 Jako dzień siódmy świętego sabbatu.
 A ta przed Pańskim Przybytkiem zasłona,
 Na cztery równe barwy podzielona,
 Których już żadna z niej siła nie zetrze,
 To ziemia, woda, ogień i powietrze
 Złączone w jedném ogniwie bogatém,
 Cztery żywioły, co władają światem
 I nas w przeznaczeń utrzymują kole. —
 No, teraz święte księgi kładź na stole,
 Żeby bezsilną myśl naszą i ciało
 Mądrości Pańskiej słowo zasilalo
 I duch praw naszych kierowało wodzą...
 Wszystko skończone, już mędrcy nadchodzą.

SCENA IV.

Ciż sami, Salomon i starce izraelscy.

(Starce zasiadają na krzesłach w półkole, Salomon i Efraim po obu rogach, Ruben przy stole na przodzie sceny.)

Salomon.

Rubenie, otwórz księgi Ojców kartę
 I opowiadaj słowa w niej zawarte.

(Wszyscy powstają.)

O wielki! co rządysz i światłem i nocą,
 O niebios najwyższa pochodnio!
 Co czuwasz wszechmocnie nad ludzką niemocą,
 Nad ludzką zasługą i zbrodnią,
 Od Ciebie proch ziemski bojaźnią przejęty,
 I życia i światła użycza,
 Wysłuchaj prośb naszych, o Wielki! o Święty!
 I ku nam zwróć Twoje oblicza.

Ruben.

W wielkości i chwale
 Tyś jeden, Tyś sam:
 Zejdź ku nam wspaniale
 I światło daj nam.

Chór starców.

W wielkości i chwale
 Tyś jeden, Tyś sam:
 Zejdź ku nam wspaniale
 I światło daj nam.

Efraim.

Ciemności zaległy początku zaranie,
 I krążył duch Boży nad niemi,
 I słowo zabrzmiało, oddźwiękły otchłanie
 I stało się światło na ziemi.
 Lecz jasność się mroczy, a czystość się plami
 I ziemia siedliskiem jest zbrodni;

Wzrok Jego piorunem, a mowa gromami,
Więc drżycie przed Panem niegodni!

Ruben.

Do Ciebie lud woła,
Do Ciebie brzmi śpiew:
Miecz odwróć aniola
I ukój Twój gniew.

Chór starców.

Do Ciebie lud woła,
Do Ciebie brzmi śpiew:
Miecz odwróć aniola
I ukój Twój gniew.

Salomon.

Tyś innym narodom przysporzył, o Panie!
Wielkości i bogactw w sto razy;
Izrael ma tylko to jedno zadanie,
By Zakon Twój chronić od zmayı.
Niech lud Twój, o Panie, ten Zakon rozszerza,
Niech Tobie należny hołd czyni,
A chmury rozprysną i Arka przymierza
Powróci do ojców świątyni.

Ruben.

Lud Boży przez wrogi
W kraj świata jest gnan:

Wskaż prawe mu drogi,
Tyś wielki, Tyś Pan.

Chór starców.

Lud Boży przez wrogi,
W kraj świata jest gnan:
Wskaż prawe mu drogi,
Tyś wielki, Tyś Pan.

Efraim.

A jeśli Pan swojej uchyli nam łaski
I gniewną odwróci się twarzą,
Niewiasty rozpuszczą z purpury przepaski
I grzeszne swe łona obnażą.
Gdy męże prawości swych ojców odbiegą,
Gdy wiara z oblicza się zetrze,
A lud się do cielca przygarnie złotego,
Niech zginie jak piasek na wietrze.

Ruben.

Od krwawej téj próby
Niech chroni nas cud:
O Pani! od zguby
Uchowaj twój lud.

Chór starców.

Od krwawej téj próby
Niech chroni nas cud:
O Pani! od zguby
Uchowaj twój lud.

Salomon.

Do Ciebie wołamy, Twą chwałę głosimy,
 Boś Ty jest początkiem wszech rzeczy,
 Tyś strącił szatany, Ty starłeś olbrzymy,
 A słabe i wątłe masz w pieczy.
 Nam ścieżki zarosły pokrzywą i chwastem,
 Łzy nasze spadają w otchłanie;
 Niech duch Twój, o Panie, zaświeci nad miastem,
 A Syon w swój chwale powstanie.

Ruben.

W wielkości i chwale
 Tyś jeden, Tyś sam:
 Zejdź ku nam wspaniale
 I światło daj nam.

Chór starców.

W wielkości i chwale
 Tyś jeden, Tyś sam:
 Zejdź ku nam wspaniale
 I światło daj nam.

(Wszyscy siadają napowrót oprócz Salomona.)

Salomon.

Bracia w Syonie! tutaj was wezwałem,
 Żeby mnie wsparło rady waszój słowo;
 Bo miecz anioła hańbą i zakąłem
 Potrząsł nad moją osiwiiałą głową.
 Serce me krwawi, a dusza zraniona,
 Bo własna córka wiary zdarła pęta,

I niby druga Jezabel przeklęta,
 Ammonitczykom otwarła ramiona.
 Pod grzesznym ogniem, co w jój sercu płonie,
 Starozakonna wiara się przygasza;
 Chciejcie mnie wesprzeć, o bracia w Syonie!
 Niech światła rada nauczy mnie wasza.

(Siada.)

Manasse

(powstając).

Niewiasta słaba i wątła istota,
 Jest jako owa młodej palmy trzcina,
 Co lada wietrzyk na strony ją miota
 I lada siła ku ziemi nagina.
 Niech mędrca oko ma pilnie na względzie,
 Jaki kwiat z pączka rozwinął się w wiośnie;
 Bo już zapóźno krzew sprawować będzie,
 Gdy cierpki owoc z latami wyrośnie.
 Pod czyją pieczę chowała się, bracie,
 Niewiasta, którą teraz obwiniacie?

(Siada.)

Salomon.

Mów Efraimie.

Efraim

(powstając).

Cześć Panu nad pany!
 Pod moją pieczę ten kwiat był oddany,

Bym go w czystości dochowywał święcie;
 Lecz Pan, mój rozum utopił w odmęcie.
 Winienem w mojej powłoce bydłécj
 Zostać nieczystym na siedem miesięcy
 I przed świątyni ofiarne przedsenie
 Oddać baranka na całopalenie.

Manasse.

I jakąż zradną Astarota siłą
 Światło twych oczu, bracie, się przyćmiło?

Efraim.

Onego czasu pod nauki godłem
 Moab zapukał do świętych podwoi,
 I słowem zdrady układném a podlém
 Jak wąż się wcisnął do winnicy mojej.
 Więc w rozmyślaniach zatopiony ducha,
 Jam niedowidział, jak niewierny goim
 Wciskał zarazę do niewiasty ucha
 I kwiat jój myśli psował jadem swoim.
 A gdy z ócz moich już spadła zasłona,
 Gdym moc nieczystą chciał wstrzymać w zapędzie,
 Ona słowami jego uwiedziona,
 Całą swą duszą grzęznęła już w błędzie.
 Niechaj przeklęta będzie ta godzina,
 W której me kroki zabłądziły w bagnie!
 Kiedym pozwolił z trzody Pańskiej jagnię
 Wykraść niewiernym!....

Manasse.

Wielka twoja wina
I karę za nią Zakon ci odsłoni;
Lecz przedewszystkiém radzić trzeba o niej,
Bo w Pańskim sadzie gdy zła rośnie trawa
Wyciąć ją trzeba...

(Do Rubena:)

Czytaj święte prawa.

Ruben

(czyta).

Niewiasta, która zagrzęznięła w błędzie
I Molohowi hold nieprawy czyni,
Najprzód wyklętą przez kapłanów będzie,
I.....

SCENA V.

Ciż sami, Aza.

A z a

(wpadając pomieszany).

Nieprzyjaciel zagraża świątyni!

(Wszyscy powstają z miejsc.)

Salomon.

Jakto! co mówisz?

A z a.

Na twoje rozkazy,
Rabbi, ukryty w pomroce głębokiéj,
Niewiernych tajne wyszedziłem kroki,
Strzegąc godności Zakonu od zmazy,

I pod zamkowe dochadzałem straże.
 Dziś w nocy wzmogła się moja obawa,
 Pałac biskupi w niezwykłym jest gwarze,
 Jakaś się zbrojna szykuje wyprawa:
 Zastęp milicyi na straży stawiony,
 Dziesiątnik miejski zawezwał do broni,
 Przed nimi kilku z pochodniami w dłoni,
 A wszyscy w nasze krok zwracają strony.
 Słyszałem, niech ich grom ognisty spali,
 Jak się na ciebie, Rabbi, odgrążali:
 Miěj więc baczenie.

Salomon.

Nadeszła już chwila,
 Musi przeznaczeń wypróżyć się czara;
 Próżno się duch mój odwlec ją wysiła,
 Trzeba raz skończyć.

(Do Azy:)

Niech tu przyjdzie Sara.

(Do starców:)

Bracia! wybaczcie, że serce stroskane
 Ojca, w ostatniej nadziei się nurza;
 Zanim grożąca gromem ryknie burza,
 Niech jeszcze z córką sam na sam zostanę;
 Niechaj ostatnie wysilenie zrobię,
 Nim własną ręką serce wydrę sobie.—
 Rubenie, zostań.

(Starcy odchodzą drzwiami na prawo. Sara w tejże chwili ukazuje się we drzwiach w głębi.)

SCENA VI.

Salomon, Sara, Ruben.

(Ruben siedzi przy stoliku z księgami.)

Salomon

(do Sary).

Przystąp bliżej; tchnienie

Mych piersi słabe, starość głos mój kruszy:
 A chcę, by wnikło do twój grzesznej duszy
 To już ostatnie moje napomnienie.

Sara

(wyciągając ręce ku niemu).

Ojcze! najdroższy ojcze!

Salomon.

Milcz wyrodna!

Ta, w której sercu grzeszny ogień pała,
 Ta, co ojcowskie serce krwią zalała,
 Imienia tego wymówić niegodna.

Sara.

Słucham cię, panie.

Salomon.

W téj ostatniej chwili,
 W której za hańbę na Zakon rozlaną,
 Za pokalane niewinności miano,
 Miecz pomsty Pana nad tobą się chyli,

Jeśli głos zwodny Ammona omamień
 Serca ci jeszcze nie obrócił w kamień;
 Jeśli w twém błędem pokalaném łonie
 Dawniej czystości skra ostatnia płonie,
 Słuchaj słów, w które Pan me usta zbroi,
 Bym ciebie zwrócił z grzesznej drogi twojej.

Sara.

Zawszem, jak dawniej, o panie, gotowa
 W pokorze ducha słuhać twego słowa.

Salomon.

Winiennem... zbłądził mój rozum człowieczy,
 Żem cię od własnej odsunawszy pieczy,
 Twą młodość w obce poruczywszy dłonie
 Kazał w dalekiej mieszkać tobie stronie.
 Wiem, jaką zdradą pod tą obcą strzechą
 Doszło twych uszu rad węzowych echo,
 Przez jakie z piekłem nieczyste sojusze,
 Ów wróg ludzkości, co grzech w sercu nieci,
 Oczarowawszy błędną twoją duszę,
 W swoje szatańskie uwikłał cię sieci.
 Wiem, że swą hydność szatą okrył białą,
 Że przybrał na się aniołowe miano,
 Wskazał ci drogę kwiatami uslaną
 I kazał po niej postępować śmiało;—
 A ty słowami jego uwiedziona,
 Sama się w piekła rzuciłaś ramiona.
 Ale czas jeszcze: w twém sercu skalaném
 Niechaj zamilkną grzesznych pokus chuci,

Wyrzeknij słowo, ukorz się przed Panem,
A dawna czystość do ciebie powróci.

Sara.

Bozkie natchnienie sercem mojem wiodło,
I ono prawdy wskazało mi zorze;
Kto raz pod Krzyża najświętsze wszedł godło,
Na drogę błędu powracać nie może.

Salomon.

Więc wiara, którą na chwałę Syonu
Bóg Mojżeszowi wskazał na Horebie,
Wiara proroków i ojców Zakonu,
Ta święta wiara błędem jest dla ciebie?
Więc to błąd z wieków powstając zarania,
Nieprzełamany, niewzruszony w sile,
Wycierpiał straszne klęski i wygnania,
I przetrwał srogich prześladowań tyle?
Więc to błąd wielki, ów Bóg Izraela,
Który wstrząsł wrogów Zakonu odwagą,
Który uwolnił z lwiej paszczy Daniela,
A grzeszne miasta ognia skarał plagą?
W tej wierze, w której ojców drzemią kości,
Która początków Zakonu najbliższa,
Co siły zdwaja, co ducha wywyższa,
Czegoż ci brakło? odpowiedz?...

Sara.

Miłości...

Salomon.

U nas miłością bojaźń pomsty Boga.

Ruben

(czyta).

„Że w pyle ciałem ugrzęźli skalaném,
Przeto miłości zamknięta im droga,
Muszą się korzyć, muszą drzeć przed Panem.”

Salomon.

Słuchaj, to słowo oznajmia ci święte,
Byś porzuciła ścieżki błędu kręte.

(Milczenie.)

Więc Molohowi oddana w ofierze,
Wierzysz w te błędy?

(Sara milczy.)

Odpowiadaj!

Sara.

Wierzę.

Salomon.

Saro! w Jeftego zbrojny jestem ramię,
Miecz pomsty hańbę z domu mego zmiecie.

Ruben

(czyta).

Anioł nóż wstrzymał i rzekł: „Abrahamie,
Nie ściągaj ręki ojcowskiej na dziecko,
Bóg tego nie chce.”

Salomon

(podnosząc ręce do góry).

Panie! Panie! Panie!

Chciój ulżyć krwawej serca mego ranie!

(Odwracając się do córki:)

Sarol... jam stary... pośród obcej tłuszczy
 Pomarli bliżcy krwią, duchem i ciałem,
 Na ludnym świecie sam jeden zostałem,
 Jak owa palma samotna na puszczy,
 I jako lampa, co płonie daremnie,
 Ostatek życia dogorywa we mnie.
 Tyś dla mnie była węzły jedynemi,
 Co mnie wiązały jeszcze do téj ziemi;
 Bo wszystkie we mnie gasnące już siły
 Ostatnim jeszcze wzmogły się zapalem,
 W jedną ostatnią miłość się złączyły
 Ku tobie...

Sara

(składając ręce).

Ojczel!

Salomon.

O, ja cię kochałem!

Nad twą kołyską, z nachyloną głową,
 Śledziłem słabe serca twego drżenia;
 A kiedyś pierwsze wyjąknęła słowo,
 Uczyłem ciebie mojego imienia.
 Kiedyś wzrastała piękna i kwitnąca,
 Gdy Pan wdziękami ozdabiał twe ciało,

Jako kwiat, co się wciąż zwraca do słońca,
 Serce się moje ku tobie zwracało.
 Jam był przy tobie szczęśliwy i młody,
 Boś ty mi była dumą i marzeniem,
 Boś ty mi była ostatnim promieniem,
 Który ogrzewał serca mego lody.

Sara

(kłękając).

Ojczel!

Salomon.

I teraz... kiedy gwiazdę losu
 Mego, gdy córkę obcy mi zabrali,
 Czy słyszysz jeszcze drżenie mego głosu?
 Czy widzisz tę łzę, co w oczach się pali?
 Czy czujesz duszę, która rozboleła,
 Do ciebie jeszcze uleciećby chciała?

(Wyciągając do niej ręce:)

Niewdzięczne dziecko, wróć w ojca ramiona,
 Niechaj głos serca twój upór pokona,
 Niechaj nie zamrę tu duchem i ciałem,
 Bez ciebie jak głaz na polu zmartwiałem,
 Niech jeszcze miłość mnie twoja otoczy;
 A gdy Pan moje godziny odmierzy,
 Niechaj twój oddech czoło mi odświeży,
 Niechaj twa ręka zawrze moje oczy.
 Córko! krwi moja! wróć na prawą drogę,
 Porzuć to błędne wyznanie!

Sara

(spuszczając głowę na piersi).

Nie mogę.

(Słychać trzask drzwi wyłamywanych.)

Salomon

(powstaje).

Raz już ostatni... nie chcesz?

Sara.

Nie.

A z a

(wpadając).

To oni!

Salomon

(porywa nóż leżący na stole, czarném sukniem przykrytym
i przebija Sarę).

Więc giń!...

Ruben

(rzucając się ku niemu).

Morderco!!

SCENA VII i ostatnia.

Ciż sami, Janina i milicya marszałkowska.

Janina

(wpadając na czele żołnierzy).

Sara!!... gdzie jest Sara?

Salomon

(pokazując mu trupa).

Tutaj!

Janina

(Przerażony).

Za późno!

Salomon.

Spełniona ofiara;

Bóg nie powstrzymał Abrahama dłoni.

Janina.

Starcze! nie bluźnij Imieniowi Pana,
 Bóg mord potępia, a karze mordercę;
 Ta krew niewinna przez ciebie wylana,
 Kropla po kropli spadnie na twe serce.

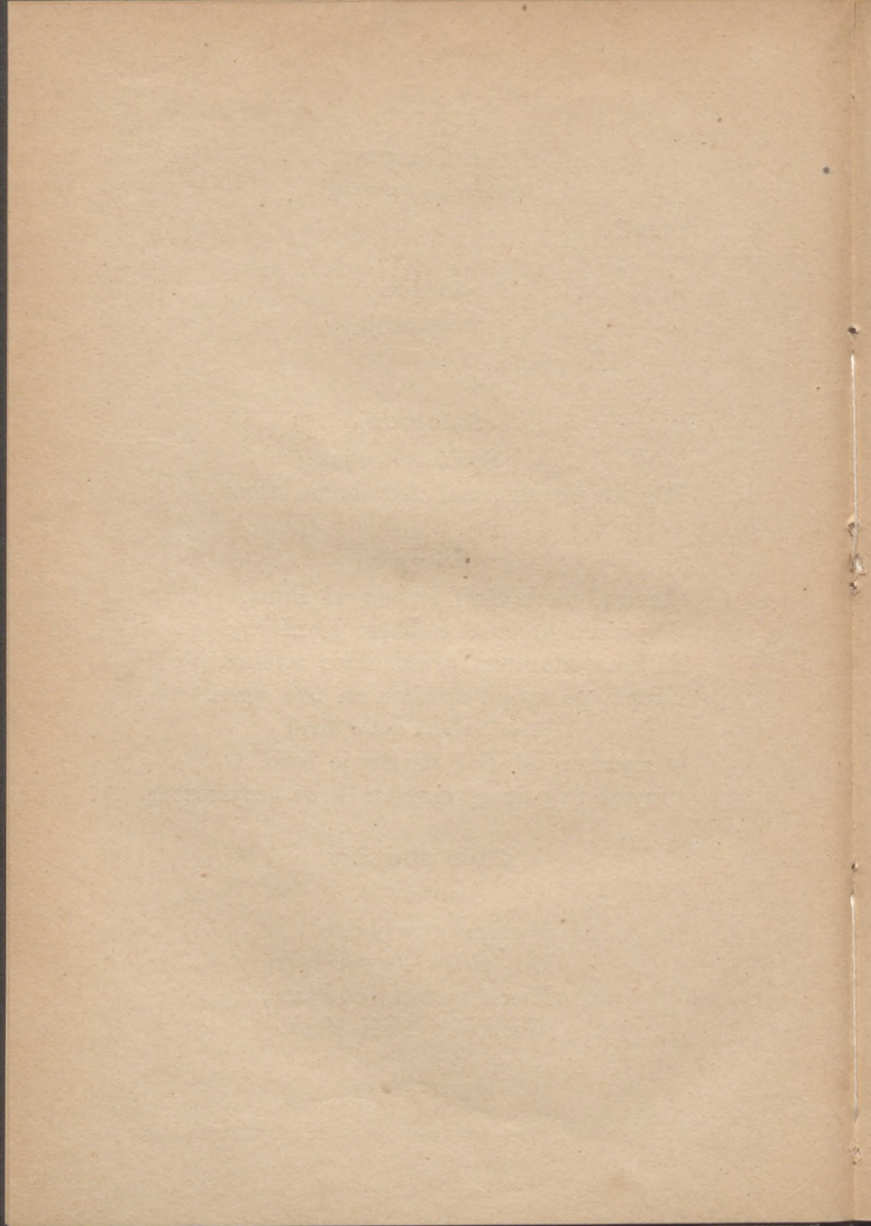
(Kłękając przy trupie Sary:)

O męczennico! Bóg na Swoje łono
 Przyjął twą duszę chrztem krwi oczyszczoną.

Chór starców

(z za kulis).

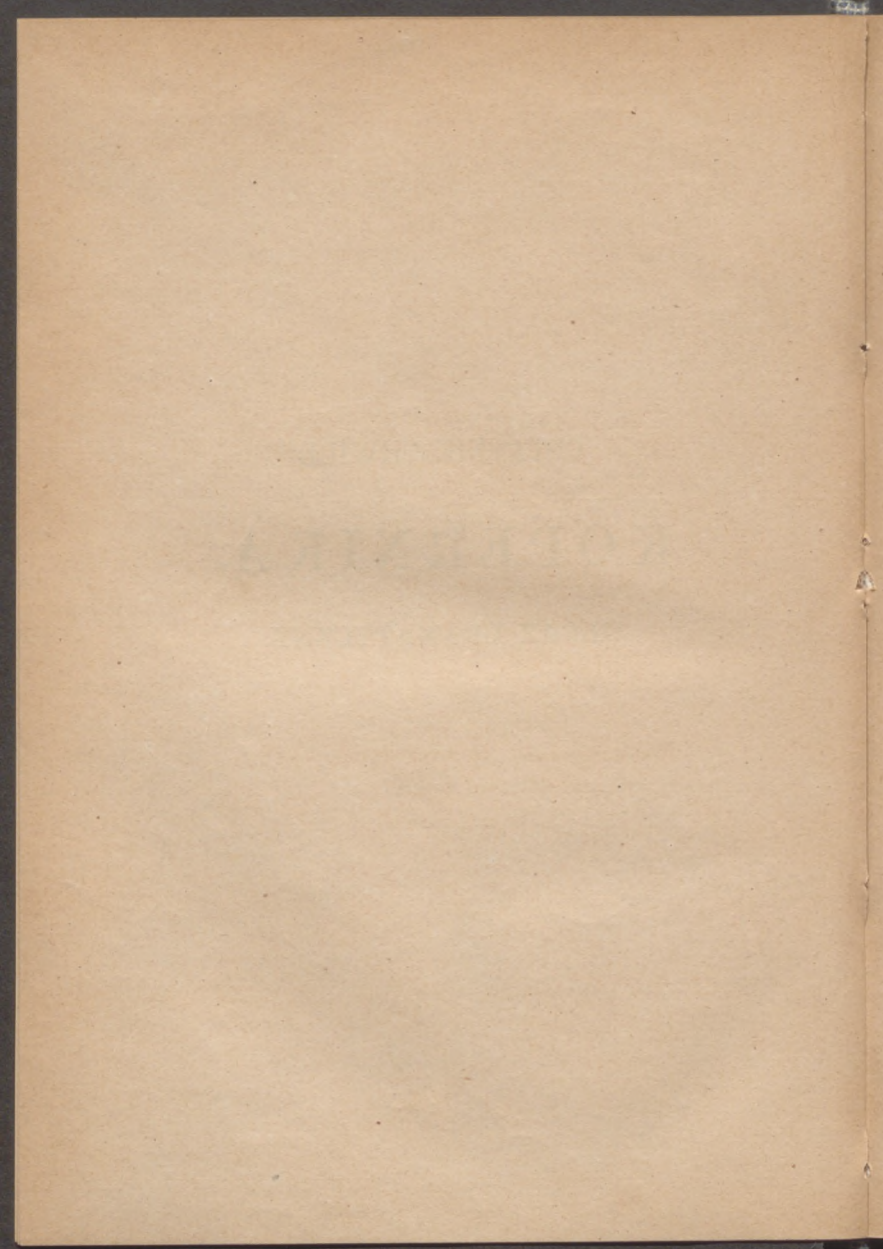
Wysłuchaj wołanie
 Do źródła Twych łask;
 Niech ujrzym, o Panie,
 Wielkości Twój blask!



OSTATNIE CHWILE

KOPERNIKA.

OBRAZ DRAMATYCZNY.



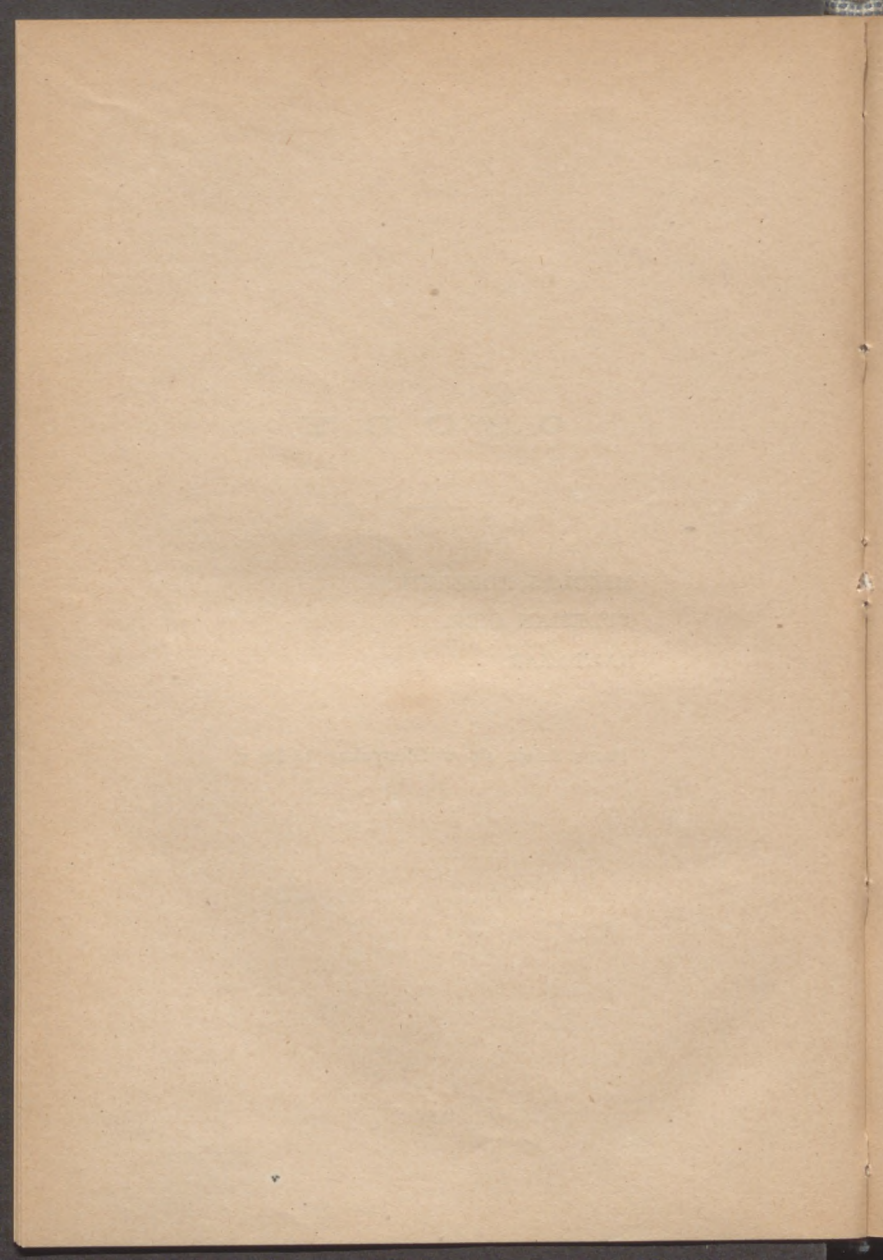
O S O B Y.

MIKOŁAJ KOPERNIK.

TYDEMAN GIZE.

BALTAZAR.

Rzecz dzieje się w Olsztynku, 1545 r.



SCENA I.

(Teatr wystawia izbę domku Kopernika. W głębi drzwi wchodowe. Z lewej strony kilka wschodów i drzwi w kulisie prowadzące do wieżyczki stanowiącej obserwatorium mistrza; z prawej okno. Przy ścianie w głębi z prawej strony łoże, z lewej półki, na których pełno słoików i flaszek z różnego gatunku miksturami. Na przodzie sceny stół, a na nim rozrzucone rękopisma, kilka książek w starożytny pergamin oprawnych, trygonał drewniany, kałamarze z różnokolorowemi atramentami, pendzelki i pióra. Nad łóżkiem obrazy świętych. Przy stole fotel starożytny. Kilka krzeseł. Noc. Staroświecka lampa postawiona na stole oświeca scenę, ostatnie kąty izby w półcieniu zostawiając.)

Baltazar (sam).

(Za otwarciem kurtyny Baltazar krząta się, układając manuskrypta i książki na wielkim stole).

Bieda z tą jazdą, Frauenburg nie blisko,
A noc tak ciemna!...

(Podchodzi do okna.)

Aż strach jak chmurami

Zasute niebo.

(Wraca na przód sceny.)

Pocziwe panisko!...

Że też nie mogli ci mieszczanie sami
Wody u siebie naprawić!

(Znów idzie do okna.)

Ni gwiazdy

Na ciemném niebie.

(Znów wraca.)

I sam mistrz chybaby

Z wieży swój dzisiaj nie wskórał.... a słaby
Był dzisiaj rano..... potrzebaż téj jazdy?....
Bo też za dobry, mądrości tam dużo,
A serce miękkie, a tu lud fałszywy:
Póki potrzebny, to mu chyłkiem służą,
A potem o nim wygadują dziwy,
Że aż strach słuchać.... ba, nawet o czary
Go posądzają.

(Słychać pukanie we drzwi.)

Kto tam?

Głos (za drzwiami).

Otwórz stary,

To ja, Tydeman Gize.

(Baltazar otwiera, wchodzi Gize w płaszcz owinięty i zrzuca go przy
wejściu.)

SCENA II.

Baltazar, Gize.

Gize (wchodząc).

Aż do kości

Przeziąblem.

(Do Baltazara siadając.)

Niechaj będzie pochwalony!

Baltazar.

Na wieki wieków!.... Waszój wielebności
Dawno już nasze nie widziały strony.

Gize.

Sprowadza mnie tu sprawa twego pana.
Gdzie on?

Baltazar.

Jegomość wyjechał dziś z rana
Do Frauenburga.

Gize.

Po cóż?

Baltazar.

A.... zbyt czuły,
Jak to zwyczajnie, bo nie było po co.
Że wodociągi w mieście się popsuły,
Teraz w złą drogę wracać musi nocą.
Strzeż Panie Boże od przygody jakiej!....
I nie domaga od dni kilku!.... ano
Zawsze przy pracy, wieczorem czy rano
Cyfry rachuje, kreśli jakieś znaki,
Przewraca w księgach, a ciągle ponury!....

Gize.

Czy był tu jaki posłaniec?

Baltazar.

Już wczora

Dwóch ich aż było: jeden od przeora
Otto z Malborga, drugi o te rury
Od wodociągów, bo tam im bez lika
Luda przygniotło, a.....

Gize.

A od Retyka

Nic? z Norymbergi?

Baltazar.

Nie było ni słowa.

Może już temu jest ze dwie niedziele,
Jakiś duchowny przyjechał z Krakowa
I z jegomością rozprawiali wiele,
I nie wiem czy się czém obraził może,
Ale się zerwał z fochami i krzykiem,
I jegomości nazwał heretykiem,
I prawił rzeczy, że aż żal się Boże
Było mi słuchać. Groził nam papieżem,
Że to obraza i Boga i ludzi,
Że to gniew Niebios na siebie obudzi,
I że my tutaj w nic a nic nie wierzém;
Że jak mistrz wielki ze swoim rycerstwem

Przeszedł niedawno na nowotną wiarę,
 I my też wszyscy przesiąkli kacerstwem,
 I tylko dyabłu składamy ofiarę,
 W ludy — pogaństwa rzucając żarzewie.
 Wreszcie odjechał w najstraszniejszym gniewie.
 Nie wiem, jak nawet i przypuścić można,
 By jegomości myśl przyszła bezbożna.....
 Jego staraniu i uczciwój pieczy
 Zawsze niewdzięczność tu była zapłatą;
 Niedosć, że wszystkich naucza i leczy,
 Jeszcze go zowią heretykiem za to,
 Bo któż uniknąć ludzkiej może złości? —
 Zawsze mu mówię: Proszę jegomości,
 Na co to wszystko? lepiej siedzieć cicho,
 Niżli tą pracą trudzić się mozolną;
 Gdy w książkach słońca drukować niewolno,
 To niech tam wszystkie książki porwie lichu!
 Ludzkie języki nigdy nie oniemiają,
 A z niemi trudno trafić jest do końca.
 Niech gwiazdy, jak chcą, krążą tam nad ziemią,
 Co nam się wtrącać do gwiazd i do słońca?
 Niech jak bądź o nie swarzą się uczeni,
 To próżno nad tém tracić będą siły.
 Co Bóg naznaczył, człowiek nie odmieni,
 One jak chodzą, tak będą chodziły.
 Ale to wszystko groch tylko na ścianę.
 O! moje biedne panisko kochane,
 A taki słaby, że już ledwie z biedą
 Wdrapać się może na wieżyczkę.....

Gize

(który przez ten cały czas siedział zamyślony, odzywa się jakby sam do siebie).

Credo.

Głos (za drzwiami).

Baltazar!

Baltazar

(biegnąc do drzwi).

Kto tam? czy jegomość wraca?

Głos.

Baltazar!

Baltazar

(drzwi otwierając).

Jestem.

(Wchodzi Kopernik.)

SCENA III.

Baltazar, Gize, Kopernik.

Kopernik

(wchodzi, nie zważając na Gizego, i upada na fotel koło stołu).

Wola Twoja, Panie!

(Po chwili:)

Światowa mądrość — marność; ludzka praca —

Marność; bo lada wiatr, co dmuchnie na nie,
W proch je rozsypie.

Baltazar

(z niespokojnością).

Co to jegomości?

Kopernik.

Nic, nic..... idź konia do stajni odprowadź.

(Baltazar wychodzi.)

Kopernik

(mówi dalej).

Kwiat mojej myśli, cel mojej miłości,
Tak nędznie zniszczyć, spalić, zamordować!
Czyż można męki znaleźć było krwawsze?...
Oni bez serca!...

Gize

(który dotychczas siedział niepostrzeżony przez Kopernika, odzywa się
wolno i ponuro).

Ludzie ludźmi zawsze.

Kopernik

(powstając).

Kto tu?

(Postrzega Gizego.)

A..... to wy!....

Gize.

Tak, to ja; z daleka
Przybywam tutaj, i wita mnie słowo
Smutku i żalu.....

Kopernik.

Bo życie człowieka,
Smutku i żalu jest tylko osnową.

Gize.

Jeżeli cierpisz, moja przyjaźń bratnia
Może ci ulgę przyniesie. Co tobie?

Kopernik.

To nic, rzecz zwykła; na mych ułud grobie
Jeszcze ułuda zginęła ostatnia.
Wierzyłem w wdzięczność.... mara jak sen znikła;
Czemum nie przeczuł?... to rzecz ludziom zwykła.

Gize.

Czyżby ci jakie złe wyrządzić miano?...

Kopernik.

O, nie! to był żart..... ale żart, co boli.
Dziś chcąc przyjść w pomoc cierpiącej niedoli,
Do Frauenburga wyjechałem rano;
Bo w wodociągach rur górnych wiązadła
Pryśły pod wody niewstrzymaną siłą,
I robotników część na miejscu padła,

A część ranionych: trzeba ich więc było
Ratować. Kiedy powinność spełniwszy
Chrześcianina, po dobrym uczynku
Wolniejszy duchem i sercem szczęśliwszy
Wracam do domu przez miasto, na rynku
Widzę drewnianą budę, a przy budzie
Wokoło gawieź licznie zgromadzoną;
Jakieś wędrowne komedyantów grono
Szarlatańskie tam sprawiało zabawy.
Myślę: „Błazeństwo..... niech się bawią ludzie,
Toć całe szczęście ich...” Wtém pośród wrzawy
Słyszę me imię wymówione z śmiechem,
Co wkoło gwarném rozszerzył się echem.
Podchodzę dalej i widzę..... mój Boże!
Któż może ludziom w złościwości sprostać?....
Spostrzegam błazna w niemieckim ubiorze,
Co moje ruchy udaje i postać.....
I rozpowiada patrzącój gawieździ,
Co na ten widok dusiła się z śmiechem,
Jako w mém ciele zły duch jakiś siedzi,
Który mnie ciągle namawia do grzechu,
Bym przeczył Biblii, i pakt zawarł z dyabły,
Głosząc śród ludzi me grzeszne systema,
Co na świat nieszczęść ściągnąć miało brzemię.
Zadrzałem, nogi podemną osłabły,
Schwyciłem głowę rękami obiema
I bez sił, bez tchu upadłem na ziemię.
Ktoś mię z nich poznał, i wówczas przytomni
Wszyscy z ratunkiem do mnie pośpieszyli;
Lecz już za późno, bo téj smutnej chwili

Zranione serce nigdy nie zapomni....
 Ten lud, co jedným słowem świętokradzkim
 Męki zadaje z srogością zwierzęcą,
 Lud, który tymi, co mu życie święcą,
 Bawi się jakby igraszką, jak cackiem, —
 Lud, co odpłaca mękami boleści
 Za dobrodziejstwa od braci doznane, —
 Lud, który po to całuje i pieści,
 By potem sroższą w sercu krwawić ranę: —
 Ten lud z swém sercem w pół dobrém, w pół dzikiem,
 Poznał mnie wtenczas i witał okrzykiem.

Gize.

O! lud, masz słusność, czyż on kiedy ziści
 Myśli, któremi my za prawdą gonim?
 Ślepy w miłości, ślepy w nienawiści,
 Ślepy, choć tyle wieków przeszło po nim ...
 Nieraz sam w nowe pomysły bogaty,
 Dumalem w sobie schylony nad pracą:
 Po co się trudzić? myśli łamać na co
 I duchem ziemskim nowe stwarzać światy,
 Gdy myśl ożywcza, co niegdyś widomie
 Kilku promieńmi oświecała swemi,
 Teraz rozlana po całym ogromie
 Z obwisłym skrzydłem przyległa ku ziemi?
 Czyż czarna zawisć swém technieniem judaszém
 Czystych zamiarów serca nie zeszepeci?
 I czyż hołd przyszłej wdzięczności stuleci
 Trawę na grobie rozzieleni naszym?

Kopernik

(jakby mówiąc sam do siebie).

Tak to... ten ogół geniuszu ciekawy,
 Tak go rozróżnia i tak go ocenia.
 Dla nich człek wyższy, to przedmiot zabawy,
 To jest machinka do znaków kreślenia.
 A gdy mechanizm stanie bez przyczyny,
 Nie pojmie nigdy to zdziżaćle plemię,
 Że drgało serce w tém naczyniu z gliny,
 Co się rozbiło o ich twardą ziemię.
 Tak... to jest wina nie miasta, nie kraju,
 Ale ludzkości całej...

Gize.

Mikołaju!

Dla ciebie jeszcze śmierć to zmartwychwstanie,
 Bo ciało umrze, ale myśl zostanie.

(Podchwytyjąc się)

Chociaż . . .

Kopernik.

Tak jest... myśl... ale czyliż ona
 Może szeroko rozpuścić swe wodze?
 Czyliż zapory przesądów pokona,
 Które duch ziemski stawia jój na drodze?
 Myśl, odblask Bóztwa, marna ludziom praca,
 Stwórca ją natchnął, niech do Stwórcy wraca.
 Gdy ona — córka natchnienia i żalu,
 W skrytości ducha dzieło swe rozpocznie,

Jeśli nie widna w głazie lub metalu,
 Nie rzeczywistni się ludziom naocznie,
 Gdy się nie stanie tworem, kształtem, rzeczą,
 To świat ją zelży, a ludzie jój przeczą.
 Sądzisz, iż nie wiem, że my z prawdy swemi
 Długo się jeszcze tutaj nie rozkrzewiem?
 Że nas duch ziemski przykuwa ku ziemi
 I milczeć każe, czyż sądzisz, że nie wiem?
 Lecz niechaj całą zaślepieńców zgrają
 Rzucają mi wyrok odszczepieństwa srogi,
 Oni gwiazd Bożych w biegu nie wstrzymają
 I ziemi nowój nie naznaczą drogi,
 Bo Bóg ją wskazał... Przyjdzie chwila może,
 Iż wyjrzy prawda... zbliż te czasy, Boże!...
 Cześć tym, co myśli pomnik wystawili,
 Co zbudowali świątynię nauki!
 Tak!...

(Pokazując na książkę drukowaną:)

Oto prawda, przez którą prawnuki
 Nasze przewidzą.

Gize

(na stronie).

Jak mu donieść?

(Głośno:)

Czyli

Nie masz u siebie, bom tu przybył po to,
 Jakię przed drukiem kopii twego dzieła?
 Wiem, że w Krakowie dysputa się wszczęła
 O nie, i chciałbym przejrzeć je...

Kopernik.

Z ochotą

Życzeniu twemu uczyniłbym zadość,
 Ale jedynie bogactwem mém całym
 To pismo, które do druku posłałem
 Do Norymbergi.

Gize.

Wielkąbym miał radość,
 Gdyby skończoną już była ta praca.
 Może się trwożę bojaźnią daremną.
 Onegdaj Raubach, który ztamtąd wraca,
 Jechał przez Malborg i widział się ze mną.

Kopernik.

I cóż ci mówił?

Gize.

Że lud podburzony
 Przeciwno tobie szął jakiś ogarnia;
 Z robotą kryć się muszą, a drukarnia
 Dzień w dzień na wszystkie oblegana strony.

Kopernik.

Już do złych wieści serce me przywyka;
 Bóg miłosierny.

Baltazar

(wchodzi, trzymając w ręku zwitek papierowy, owinięty sznurkiem i lakiem przypiętowany).

Pismo od Retyka.

Kopernik

(powstając).

Daj.

(Baltazar oddaje mu list i wychodzi.)

Kopernik

(czyta przez chwilę, potem upuszcza papier z rąk i upada bezwładny, wydając krzyk).

Wielki Boże!...

Gize

(powstaje z miejsca i biegnie na ratunek).

Nieba!... on się chyli..

Upada...

(Przybiegając do niego i podnosząc go:)

Co ci?

Kopernik

(przychodząc z wolna do siebie, pokazuje mu list leżący na ziemi).

Przeczytaj.

Gize

(czyta głośno).

W miłosierdziu już tylko Bożkiem ocalenie skarbu,

nad którym mi czuwanie polecieś, mistrzu! Wrogowie i prześladowcy twoi dowiedzieli się o drukowaniu tajemnym twojego dzieła. Lud podburzony przez nich powstał tłumnie, miotając przeciw tobie jako heretykowi i pogwałcicielowi słowa Bożego przekleństwa i obelgi. Drukarnia zewsząd otoczona. Pracujemy zamknięci z największą usilnością, ale już i do nas przedarła się zdrada. Jeden z zecerów, dawszy się uwieść poduszczeniom twoich prześladowców, wydał im rękopism dzieła twojego. Na szczęście ostatnia forma już złożona idzie na prasę. Jeżeli zdołamy wytrzymać oblężenie ludu, dzieło ocalone, i w tę chwilę wysłę do ciebie posłańca z pierwszym egzemplarzem, za parę godzin może; jeżeli nie... Boże zmiłuj się nad nami... Krzyki ludu dokończyć mi nie dają... Stos jakiś wystawiony na placu przed drukarnią... Wrzaski ludu coraz głośniejsze... rzucają na stos jakieś papiery... to twój manuskrypt... Boże miłosierny!... Spalili go!...

Gize

(przeczytawszy opuszcza ręce).

Kopernik

(powtarza stłumionym głosem ostatni wyraz listu).

Spalili!...

(Zsuwa się powoli z krzesła i klęka podnosząc ręce w górę.)

Boże! coś Syna zesłał na męczarnie,
Chciój wesprzeć sługę Twojego przy grobie,

Bym za mój żywot zatracony marnie,
Nie wyklął ludzi i nie bluźnił Tobie.

(Powstając powtarza z rozpaczą:)

Spalili!....

Gize.

Wszakże robi nam nadzieję.

Kopernik

(nie słysząc wyrazów Gizego).

Spalili... Boże!... mój rozum się chwieje...
Czyliż zmaconych pojęć nie rozjaśnię?
Czyliż nie zdołam u Nieba wyprosić
Kilku chwil życia, i sił znaleźć dosyć,
Żeby na papier przelać myśl, co gaśnie!

(Chwiejąc zbliża się do stolika z papierami.)

Dajcie... chcę pisać... Bóg mnie natchnie siłą,

(uderzając ręką o czoło:)

Wszak tu myśl żyje...

(Porywa do ręki papier i pióro, i opuszcza je padając na krzesło.)

Wszystko się skończyło...

Tak... razem z ciałem i myśl się zagrzebie.

Gize.

Bóg miłosierny zachowa nam ciebie,
On ci sił jeszcze i wytrwania doda,
Żeby na zgliszczach myśl wyrosła młoda.

Kopernik

(mówiąc z coraz wzrastającym obłąkaniem).

A jednak, kiedy téj ostatniej nocy
 Z bijącym sercem, z nachyloném ciałem,
 W ducha się mego korzyłem niemocy,
 I gwiazd przestrzeni o prawdę badałem;
 Kiedy przed Stwórcy nieskończoną siłą
 Myśl się ma dumna chyliła w pokorze,—
 To do mnie głosów bezbrzeże mówiło:
 „Prochu!... tyś odgadł Stwórcę w Jego tworze.”
 A wszystkie światy iskrzące wokóło
 Zdały się chwałą opromieniać czoło,
 Wznosząc do siebie słabe me jestestwo.

(Po chwili:)

Z prochu wyszedłeś i wracasz w nicestwo.

Gize.

Bóg miłosierny...

Kopernik.

I ufałem w Bogu...
 Czyste, tak, czyste były moje chęci...
 Chciałem już stojąc u wieczności progu,
 Pracę mą wieków przekazać pamięci;
 Chciałem, oparty na rozumu sile
 Dźwignąć myśl ludzką w świętej prawdy hasło:
 I jedno mgnienie zniszczyło lat tyle,
 I w chwili jednej całe życie zgasło.

Sam, bez pomocy, bez rady, opieki,
 Doszedłem prawdy dumaniem i znojem,
 I przejdą ludzie, pokolenia, wieki,
 A słowo prawdy zamrze z ciałem mojem.
 I czyliż kiedy z téj opony ciemnej
 Wydrą się znowu nowe światła zorze?
 Bo po co, po co nędzny prochu ziemny
 Wdzierać się było w tajemnice Boże
 I świat ogarniać myślami twojemi?
 Piąłeś się w górę, Bóg cię zgiął ku ziemi,
 Plony twój myśli zniknęły jak mary,
 Nawet przykładem nie zostaniesz kary.
 Tak... zapomnienie!...

(Powstając i oglądając się wokoło:)

Jak tu wkoło ciemno!...

(Porywa Gizego za rękę i robi z nim kilka kroków w stronę wieżyczki.)

Tam... tam jest światło... tam. Gize, chodź ze mną.
 Niechaj gwiazd jeszcze olśnią nas promienie,
 Niech jeszcze wzrok nasz przemierzy przestrzenie.

(Upada bez sił na wschodach i mówi z coraz większym obłąkaniem:)

Czy widzisz? światy, światy ponad nami!
 Każdy ma inną naznaczoną drogę.

(Ujmując go za rękę:)

Słuchaj... wszak prawda... my tu tylko sami ...
 Wszystko... tak... wszystko wyjawić ci mogę...
 Bo ja je słyszę... bo przez nocną ciszę
 Głos ich przemawia do mnie... ja je słyszę...

Ten pyłek nędzny, co wy ziemią zwiecie,
 Kędy człek robak puszy się przed Panem,
 To atom lichy w niezmiernym świecie,
 Co błyszczy tylko światłem pożyczaném.
 Każdy z tych światów, co krażą nad nami,
 Miliony takich tworów opromienia...
 Czémże wy teraz, coście siebie sami
 Śmieli mianować panami stworzenia?
 Tutaj... tu... przed tym wszechmocności progiem,
 Niech wasze harde w proch się zegną dusze...
 Ukorzcie czoła schyleni przed Bogiem!...

(Przychodząc do siebie, z krzykiem rozpaczny:)

Ja to odgadłem!... i umierać muszę...
 Jak głaz rzucony na pole jałowe
 Myśl ma zmarnieje.

Baltazar

(wpada z dużém zawinięciem).

Panie!... pismo nowe...

Kopernik

(jakby nagle odcuony powstaje, chwyta gorączkowo i rozwija pierwszy
 drukowany egzemplarz swojego dzieła).

Druk... druk... mój Boże!... wszakże się nie mylę,
 To moje dzieło... Retyk je przysyła...

(Kłękając:)

Dzięki Ci, Panie, za tę jedną chwilę!..
Żyję...

(Sklania się i upada na ziemię.)

Gize

(zbliża się powoli ku niemu i bierze go za rękę).

Już umarł... radość go zabiła.

(Zasłona spada.)

MICHAŁ SĘDZIWOJ

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

MICHAEL ARTHUR WOLFE

✻

O S O B Y:

MICHAŁ SĘDZIWOJ.

SĘDZIMIR, stryj jego.

SKOŁUBA, służący Sędzimira.

JAN, pacholek Sędziwoja.

SETON, zwany Kosmopolitą, alchemik.

ZACHARYASZ von MULLENSTEIN.

HRABIA ULRYCH.

Dr. ZWINGER.

MARDOCHEUŚZ von DELLE, poeta.

WALTER, rzeźbiarz.

HAGEN, kat.

KARL, pomocnik jego.

MORDKO, żyd karczmarz.

JADWIGA, córka Sędzimira.

ANNA.

Wielki sędzia.

Herold pierwszy.— Herold drugi.

Gracz pierwszy.— Gracz drugi.— Gracz trzeci.

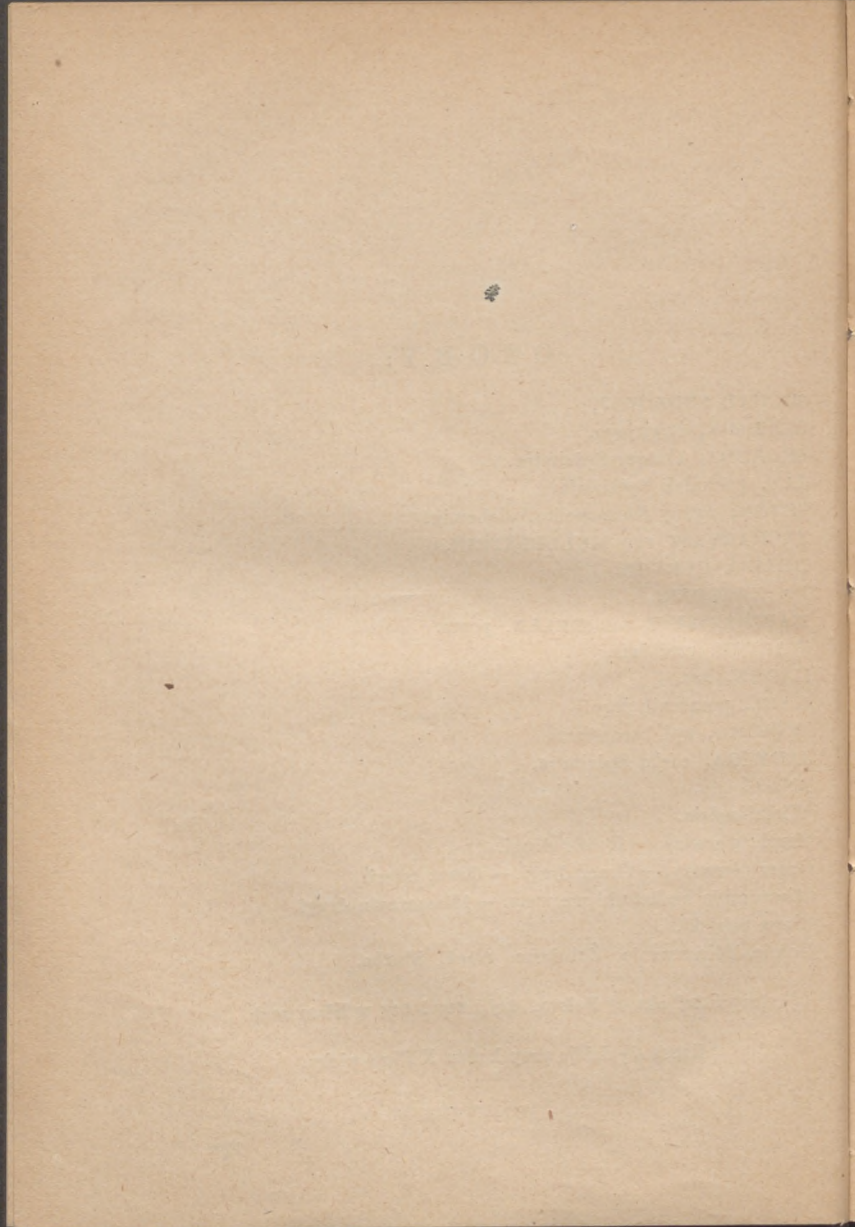
Mieszczanin krakowski pierwszy.— Mieszczanin drugi.

Sluga miejski.

Goście, Mieszczanie, Żołnierze, Straż, Służba.

1szy i 3ci akt w Polsce, 2gi, 4ty i 5ty w Niemczech.

Rzecz się dzieje przy końcu XVIgo wieku.



A K T I.

Dolna komnata w domu Sędzimira. Na prawo na pierwszym planie komin gotycki. Na drugim planie schody, po których się idzie do mieszkania Sędziwoja. W głębi drzwi wielkie żelazne z małym okratowanym okienkiem, prowadzące na ulicę. Po prawej stronie od drzwi okno, również na ulicę wychodzące. Po lewej stronie dwoje drzwi. Na ścianach wiszą rynsztunki wojenne. Na przodzie sceny stół wielki z ułożonemi na nim częściami uzbrojenia. Kilka krzeseł. Kaganiec zawieszony u sklepienia. Wieczór.

SCENA I.

Skołuba, Jan.

Jan (siedzi przy stole i czyści zbroje).

Skołuba (przez okno w głębi wygląda na ulicę. Z daleka słychać strzały armatnie).

Skołuba (przy oknie, rachując strzały).

Raz... dwa... trzy... ot co! wyleźli już z jamy Niemcy.

(Śmiejąc się.)

Biedota!... skąpie się po szyję.

(Przysłuchuje się znów strzałom)

To są haubice od Floryańskiej bramy...

(Strzały głośniejsze.)

A tu harmata od Wawelu bije.

Oj, nie próżnuje starosta Mikołaj,
Znać, że to ptaszek hetmańskiego chowu,
Chwat całą gębą, raz tylko zawołaj,
Już gotów...

(Strzały głośniejsze.)

Ot co!

(Zaciera ręce.)

Jan (upuszcza na ziemię broję, którą czyścił).

Skołuba (odwracając się do niego).

A waść co tam znowu?

Jan (podnosząc z ziemi broję).

A bodajże cię z taką sprzączką podlą!

Skołuba.

Kie lichy?

J a n.

Ot masz! znowu się rozwiodło.

Skołuba.

Furda!...

Jan (targając broję z gniewem).

Dalipan, z kretesem ukrećę.

Skołuba (odbierając od niego broję).

A niechajże cię święci Pańscy strzegą!

Tfu! co to znowu za niezdarne ręce!

Chłop jak dąb, panie, a tak do niczego.

Jan (powstając).

Bo też pal cię sześć i z taką robotą!
Czy ja się na tém rozumiem?

Skołuba.

A co to,
Gorsze od waszych słoików i maści?
Alboż to strasznie zmuDNA praca taka?
Na cóż u licha Pan Bóg stworzył waści?

J a n.

Nie na płatnerza, ani na wojaka.

Skołuba.

O, daj go katu! zaszczyt mocno wielki,
Wciąż prażyć w ogniu rynki i tygielki;
I dymać miechem od nocy do rana,
Bo to jest cała robota aspana.

Jan (powstając z powagą).

To wielkie dzieło! to są święte cele...
My obaj z panem świata dobroczyńce...

Skołuba.

E... co tam światu po tém waszém dziele,
Które mu kiedyś usmażycie w rynce!
Ot! jakieś dō nas licho się przypięło...
Dalipan! wyście na mózgu niezdrowi!...
Bo co to!... służyć poczciwie krajowi,
I bić w pień Szwabów, to jest wielkie dzieło.

J a n.

I na co zda się co wy tu gadacie?
Mój pan...

Skotuba.

O!... twój pan... to się tak niegodzi,
Bo, Panie odpuść, ten twój pan, mój bracie,
Sam grzesząc, innych na pokusę wodzi,
Jeśli do tego owe cele służą...

(Uderzając się po ustach.)

At!... bo i ja też gadam nadto dużo.

J a n.

Cóż tak straszniego?

Skotuba.

Wiele! bardzo wiele!

To chryja, panie, to jest cała chryja! *
Nie dość, że szlachcic zdrów jak lew — na ciebie,
Siedzi na karku u swojego stryja,
Od dwóch lat blisko...

J a n.

I cóż z tego? Przecież

Ma swoją własną fortunę; wszak wiecie,
Że mu zostawił ojciec dom w Krakowie
I kawał grosza; więc to nie jałmużna.

Skotuba.

Czy tak się jego sprawiali przodkowie?
A cóż to? szlachta krajowi nie dłużna

Krwi swój i życia w publicznej usłudze?
 Nie żeby kąty wciąż wycierać cudze,
 I pozbierawszy słoiki i flaszki,
 Jakieś niemieckie wyprawiać igraszki!

J a n.

Ot ba! wy także bardzo się nie trzęście
 W tym waszym wielkim ferworze junackim,
 Niewielka sztuka kto ma silne pięście,
 Że będzie umiał wywijać tém cackiem.

(Podnosi berdysz.)

Gdyby już każdy był do tego zmuszan,
 Toby świat z samych składał się żołdaków.

Skołuba.

Ot dzisiaj! Niemiec podstąpił pod Kraków,
 Kto w Boga wierzy idzie bić Rakuszan,
 I mój pan, choć to już mu między starce,
 Poszedł z młodymi krwawe zwodzić harce
 I Rakuszanom łby szlifować szablą.
 A wasz naumysł zamknął się w komnacie,
 By tam prowadzić swą praktykę dyablą.

J a n.

At! czy wy sami wiecie co gadacie?
 Dzisiaj dzień wielki.

(Przyprowadza go do okna, i z tajemniczą miną pokazuje mu gwiazdy.)

Dobrym wróżbom gwoli

Wenus z Jowiszem przystały do siebie.

Skołuba (kiwając głową).

Oj! gdyby jeno on szukał na niebie
Takich połączeń; ale to mnie boli,
Że nasza panna...

SCENA II.

Ciż sami, Jadwiga.

Jadwiga (wchodząc pierwszemi drzwiami z lewej strony.)

Żadnych wieści jeszcze?

Skołuba.

Żadnych.

Jadwiga.

Gęściejsze coraz słychać strzały.

Skołuba.

No... nie próżnują tam dla Bożej chwały!...
Jużcić się Niemiec w srogie dostał kleszcze,
Iście zuch będzie jeżeli im sprosta...
Z przodu pan hetman, z boku pan starosta,
A tył olkuskie podobno mu mącą
Górniki.

(Strzały głośniejsze.)

Jadwiga.

Znowu!

Skołuba (otwiera okno i przysłuchuje się).

Dyable tam gorąco.

Jadwiga.

Mój biedny ojciec!

Skotuba (odchodząc od okna, które zostawia otwarte).

Nasz pan!

(Żegna się.)

Niechajże go

Anieli święci od krzywdy ustrzegą.

Dziwnemi czasy dziś nas Pan Bóg darzy,

Muszą za młodych karku stawiać starzy.

(Spogląda znacząco na Jana.)

Ot co!

J a n.

Słowo wiatr!

Jadwiga (spostrzegając Jana).

Gdzie pan wasz?

Jan (pokazując na schody).

Na górze.

Skotuba (półgłosem).

Gdy psy na polu, lis się kryje w dziurze,

Bo mu strach.

(Słuchać na ulicy hałas.)

Skotuba (odwracając się).

A tam ki czort?

(Słuchać pomieszane głosy.)

Skotuba (idąc do okna).

Jakaś sroga

Bójka.

Jadwiga.

O Boże!

SCENA III.

Ciż sami, Zacharyasz (wpada przez otwarte okno,
które zaraz przymyka za sobą).

Zacharyasz.

Ratujcie, kto w Boga

Wierzy!

Skołuba (nastrajając minę buńczuczną).

Zkąd waszmość? A kto to tak wchodzi
Do domostw oknem po nocy jak złodziej?

Zacharyasz (oglądając się naokoło).

A przecież się im wyrwałem szczęśliwie.
(Spostrzegając Jadwigę)

Kobiéta! jestem już bezpieczny!

Skołuba (który go przez ten cały czas oglądał
od stop do głowy).

Żywie

Bóg! jakiś Niemiec!

Zacharyasz (do Jadwigi składając ręce).

O! zmiłuj się pani,

Przytułku!

Jadwiga.

Któż wy?

Skotuba.

Tfu!... do paralusza!

Zacharyasz.

Jestem z orszaku prolegataryusza
 Von Herbersteina; byliśmy wysłani
 Przez arcyksięcia, by nakłaniać Kraków,
 Żeby otworzył wolno swoje bramy
 Naszemu panu, i wzbroniony mamy
 Odwrót...

Skotuba.

Wasz księżę więzi tam Polaków:
 Wet za wet.

Zacharyasz.

Byłem u pana Morsztyna...
 A znam go z Hagi, kędy przez rok cały
 Bawił, gdy pierwsze ozwały się strzały.
 Słuchamy... alarm coraz bardziej wzrasta,
 Mówią, że wojsko szturmuje do miasta...

Skotuba.

A to wasz księżę tak sobie poczyna.

Zacharyasz.

Wyszedłem tedy, a już było ciemno
 Zupełnie; szukam drogi w tym odmiecie
 Ulic jak mogę; a wtém na zakręcie
 Jakowiś ludzie zdybują się ze mną.

Szli tłumno, zbrojnie, jakoby na wały
 Dążąc; u kilku pochodnie migały
 W rękach; u wszystkich szable i czekany.
 Jam się ostrożnie przysunął do ściany,
 By ich przepuścić, gdy jacyś dwaj drabi
 Przechodząc, w twarz mi podsuną pochodnię,
 I krzykną „Niemiec!”—A za nimi zgodnie
 Tłum cały wrzasnął: „Co, Niemiec?! Bij, zabij
 Niemca!” a inni wołali: „Do Wisły!”
 I wszystkie miecze nad głową mi błysły,
 I wszystkie twarze śmiercią mi groziły!
 Ruszyłem w nogi, strach dodał mi siły,
 A oni za mną! wciąż wszyscy wołając:
 „Bij, zabij!” Okno otworem tu stało,
 Wskoczyłem, szczęśliw, że uchodzę cało.

Skotuba.

Tfu! każdy Niemiec ucieka jak zając!
 Ot co!

Zacharyasz.

A teraz chciejcie mnie ratować,
 Bo wkrótce tutaj całą przyjdą zgrają.
 (Pukanie do drzwi.)
 A co?... słyszycie? już do drzwi pukają!
 Na miłość Bożką!...

Jadwiga (do Skołuby, który idzie do drzwi).
Czekajcie.

(Do Jana:)

Zaprowadź

Tego waszmościa do białej komnaty.

Jan (do Zacharyasza).

Chodźcie!

(Wychodzi drugimi drzwiami na lewo. Zacharyasz za nim.)

Jadwiga (do Skołuby).

A teraz otwórzcie.

Skołuba (idąc drzwi otworzyć).

Za katy,

Zła sprawa!

SCENA IV.

Jadwiga, Skołuba, dwaj mieszczanie (uzbrojeni wchodzą drzwiami w głębi, po za którymi w półcieniu widać kilku zbrojnych).

Mieszczanin pierwszy (wchodząc).

Niechaj będzie pochwalony!

Jadwiga.

Na wieki wieków. Z czémże tu przybyli
Waszmoście?

Mieszczanin pierwszy.

Oto, chcemy wiedzieć, czyli
Nie znalazł sobie w tym domu ochrony

Pewny szpieg Niemiec, cośmy go złapali
 Jako się skradał, tu w podłe, nie dalej
 Nad pięćset kroków.

Jadwiga.

Zkąd waszmoście wiecie,
 Że to szpieg?

Mieszczanin drugi.

Ano, to widoczna przecię,
 Że Niemiec, sam go poznałem z ubrania.

Jadwiga.

Lecz tu w Krakowie Niemców są tysiące.

Mieszczanin pierwszy.

Ba! toć to wszystko strasznie się bojące,
 I żaden teraz w mieście się nie ślania
 Tak późno, siedzą po domach uparto...

Jadwiga.

I jakież go los od waszmościów czeka?

Mieszczanin pierwszy.

Ano... utopić lub powiesić warto.

Jadwiga.

O! nie, ja na śmierć nie wydam człowieka.

Mieszczanin pierwszy.

Więc on jest tutaj?

Jadwiga.

Jest tu i zostanie.

Mieszczanin pierwszy.

To już my sobie poradzimy sami.

(Odwracając się do stojących na ulicy:)

Panowie bracia! proszę tu za nami:

Jest Niemiec!

Głosy różne.

Hura!

SCENA V.

Ciż sami, Sędzimir wchodzi rozpychając stojących u drzwi, za nim kilku pancernych.

Sędzimir (porywając za piersi pierwszego mieszczanina).

Hola, mój mosanie!

Chwat widzę z waścia, żeby iść w załębki

Z niewiastą. Zkąd ta fanaberya? Ano,

Czy to na burdy i miejskie zaczepki,

Z woli hetmańskiej waściom broń rozdano?

(Mieszczanie rozstępują się z uszanowaniem i odkrywają głowy.)

Mieszczanin pierwszy.

Tośmy się właśnie wybrali na wroga

Razem.

Sędzimir.

A co to? Czy to tędy droga?

Mieszczanin pierwszy.

Jużcić nie tędy, lecz tam na zaułku
 Jakiegoś szpiega Niemca my zdybali,
 A że on tutaj zbiegł szukać przytułku,
 Więc i my za nim w też tropy...

Sędzimir (odwracając się do Skołuby).

Azali

Ten prawdę mówi?

Skołuba (zakłopotany spoglądając na Jadwigę).

Jużci prawda.

Jadwiga.

Ano,

To nie szpieg.

Mieszczanin pierwszy.

Ba i bardzo!

Sędzimir.

Jakie miano

Jemu?

Skołuba.

A kto go tam wie jak się zowie!
 Tchórz Niemiec; tak mu na ramieniu dusza
 Siedziała.

Jadwiga.

On jest z prolegataryusza
 Orszaku, widać niedawno w Krakowie.

Skotuba.

Dyabła tam! mówi po polsku bez mała
Jakby tutejszy...

Sędzimir (do Jadwigi).

Gdzieżeś go kazała

Wprowadzić?

Jadwiga (pokazując drugie drzwi na lewo).

Ot tam.

Sędzimir (odwracając się do mieszczanina pierwszego).

Ano, mój mosanie,

Już mnie ostawcie w tej sprawie staranie.

Ja tego Niemca sam wybadam ściśle,

I co mam dalej z nim robić obmyśle.

A teraz miasto wyprawiać napaście

I chcieć wyrządzać sprawiedliwość sami,

Wolój wędrujcie na okopy waście,

Tam sobie Niemców znajdziecie kopami.

(Żegnając ich ręką:)

Z Bogiem!

(Mieszczanie kłaniają się i wychodzą.)

SCENA VI.

Sędzimir, Jadwiga, Skotuba.

Jadwiga (całując Sędzimira).

Niech Niebo będzie pochwalone,

Że cię nam, ojeze, w dobrém zdrowiu wraca.

Sędzimir (zdejmując misiurkę i odpasując pałasz, które oddaje Skołubie).

Jużcić rzetelna z Niemcem była praca...
 Szło na okopy lichy jak szalone.
 Ale pan hetman to wojak nielada...
 Dopuścił blisko... dopieroż za katy,
 Jak raz i drugi gwizdnęły harmaty,
 Spojrzym... hultajstwo jako mrowie pada.
 Więc przystanęli, i znów całą zgrają
 Do bram obcesem, a bramy trzymają.
 Wtém z za obozu ozwały się krzyki,
 Więc pościągane donoszą nam strażę,
 Że to od drogi olkuskie górniki
 Wzięły tył Niemcom i palą furażę.
 Dopieroż, jak im tchórz wlezie za kołnierz,
 Jak poczną zmykać...

Skołuba.

Tfu! niemiecki żołnierz
 Tchórzem podszyty, to rzecz dawno znana.

Sędzimir (ogładając się).

Teraz trza tego wybadać jespana,
 Kto zacz on? pewno ta sprawa niewarta
 I funta kłaków; a bo też do czarta
 I to mieszczaństwo, żeby to tak w pole,
 Jako do burdy...

Skołuba.

Tutaj go przyzowę.

Sędzimir.

Nie, już to ja sam iść do niego wolę.
 Waść zabierz oto przyrzady zbrojowe,
 Może znów wezwą... jak tam wola Boża
 Urządzić zechce...

(Do Jadwigi:)

A waśćka do łoża,
 Bo już czas wielki, czuwać nie ma na co.

(Wychodzi, a za nim Skołuba, wynosząc jego uzbrojenie).

SCENA VII.

Jadwiga (sama).

Wciąż tam... zamknięty... schylony nad pracą...
 Lica od nocy bezsennych mu bledną,
 Król Szwed, król Niemiec, to dla niego jedno...
 Czyliż ten wieczny ogień, co tam płonie,
 Wszystkie uczucia wysuszył mu w łonie?

(Waha się przez chwilę i powoli przybliżyła się do schodów)

Jakżebym chciała co dopatrzeć!

(Cofa się przestraszona.)

Boże!...

SCENA VIII.

Sędziwoj, Jadwiga.

Sędziwoj (wchodzi z lampą w ręku).

Kto tam? A... to ty!... O tak późnej porze
 Czuwasz?

Jadwiga.

Jam tutaj na ojca czekała.

Sędziwoj.

Jakto? nie ma go?

Jadwiga.

Owszem, Bogu chwała,

Już przyszedł.

Sędziwoj.

Gdzież był?

Jadwiga (patrząc na niego ze zdziwieniem).

Jakto? czy nie wiecie?

Sędziwoj.

Co?

Jadwiga.

Czy podobna?

Sędziwoj.

Co? O niczém w świecie

Nie wiem.

Jadwiga.

Przez cały dzień i wieczór cały

Toż słyhać było...

Sędziwoj.

Co?

Jadwiga.

Strzały.

Sędziwoj.

A... strzały...

(Przypominając sobie:)

Tak... coś słyszałem...

(Po chwili:)

Lecz któż strzelał w mieście?

Jadwiga.

Ha... toż wy dziwni zaprawdę jesteście!
 Czyż wam książkami tak zajęta głowa,
 Czyż was nauka tak do siebie wiąże,
 Że nic nie wiecie, jako arcyksiążę
 Dziś szturm przypuszczał do murów Krakowa?

Sędziwoj.

Kto? Maksymilian?

Jadwiga.

Taki ruch był wszędzie,
 I sam na wałach hetman trzymał warty...

Sędziwoj.

I Niemiec zdobył miasto?

Jadwiga.

Nie... odparty.

Sędziwoj.

Tak... ano, dobrze... to Szwed królem będzie.

Jadwiga.

A czyliż was to jak mnie nie przestrasza,
 Że jeszcze Niemcy stoją całą zgrają
 Pod miastem?

Sędziwoj.

To rzecz hetmana nie nasza,
 Niech tam się z sobą jak chcą rozprawiają.

Jadwiga.

A więc w was taka żądza nauk pała,
 I tak już serce w was zobojętniało,
 Że prócz was samych, resztę świata całą
 Cenicie jakby cale nie istniała
 Dla was?

Sędziwoj.

O, nie... nie... mnie ta myśl nie ludzi,
 Jadwigo, sama wiesz o tém najlepij,
 Świadkiem Bóg, który me nadzieje krzepi,
 Że kocham ludzi i żyję dla ludzi.
 Jam dla nich życia już poświęcił wiele,
 I dla ich dobra resztę dni poświęcę;
 Lecz cóż mi znaczą te uboczne cele,
 Do których pragniesz, bym podawał ręce?
 I powiedz... w czém my tu zyskamy sami,
 W czém zyska ludzkość, powiedz mi niewiasto,
 Że król, co będzie panował nad nami,
 Ma brodę krągłą lub brodę śpiczastą?...

Że ma stal szwedzką, lub niemieckie złoto?...
Bo prawdę mówiąc, sprawa idzie o to.

Jadwiga.

Czuję, że prawdy nie macie po sobie...
Lecz nie kobieca rzecz przeczyć mędrcomi
W tak ważnej sprawie; być może, w tej dobie,
Bój ten o losie ojczyzny stanowi...
Ale ja w przyszłość nie wgłębiam się ciemną,
Gdziebym szukała drogi nadaremno;
Wolej o sobie powiedzcie mi słowo.

Sędziwoj.

I cóż chcesz wiedzieć?

Jadwiga.

Czyliż dzieło owo

Już ukończone?

Sędziwoj.

Czyż promienie słońca
Mogą mieć kres swój? Ono się poczęło
I nie ustanie... To ludzkości dzieło,
Które z nią razem z otchłani wybiegło...
Jemu nie wskazać początku ni końca,
Jeno cierpliwie cegłę kłaść za cegłą,
A chwila, w której gmach wspaniały stanie,
I noga ludzka stąpi poza progiem,
Ta chwila zbliży nieba i otchłanie,
Człeka równając wszechmocnością z Bogiem.

Jadwiga.

Jeżeli taką jest nauka wasza,
To mi nie dziwno teraz, iż przestrasza
Mnie ona biedną; nam bowiem do Boga
Jest nie mądrości, lecz miłości droga.

Sędziwoj.

W téj, com ci wskazał, przyszłości proroczéj,
Co mądrość ludzką wszelaką jednoczy,
Będzie ognisko prawdziwéj i trwałej
Miłości, która świat ogarnie cały.

Jadwiga.

A wy?... powiedzcie... nikogoż w tym świecie
Więcej od innych dziś nie miłujecie?

Sędziwoj (biorąc ją za rękę).

Jadwigo!

Jadwiga.

Dawno myśl zbolalą straszę
Troską zwątpienia, którój czas nie zmniejsza,
Że już oziębło dla mnie serce wasze...
Że już przygasła w niém miłość dawniejsza.

Sędziwoj.

Wszak wiesz, Jadwigo, że jedynie z woli
Twojego ojca wszystko zawieszono,
Że dziśbym ciebie jeszcze wziął za żonę,
Gdyby dozwolił...

SCENA IX.

Ciż sami, Sędzimir, który podczas ostatnich słów
Sędziwoja ukazał się we drzwiach.

Sędzimir.

I dziś nie dozwoli,
I dziś tém bardziej. Kto pocziwą sławą
Gardzi, kto w domu kryje się przed wrogiem,
Ten już utracił przed ludźmi i Bogiem
Wszelkie do ręki córki mojej prawo.

(Do Jadwigi:)

Odejdź!

(Jadwiga waha się.)

Ja tak chcę.

(Jadwiga wychodzi).

SCENA X.

Sędziwoj, Sędzimir.

Sędziwoj.

Cóż znaczy ta mowa?

Sędzimir.

Znaczy, żem wyrzekł co się dawno chowa
Tu w głębi serca; żadną bowiem ceną
Nie zerwać człeku z tém, co czcil za młodu,
Bo waść nie szlachcic, nie Polak, a jeno
Jakiś przybłęda bez kraju i rodu.

Sędziwoj (postępując parę kroków z gniewem).

Waszmość pan...

(Po chwili uspokajając się)

Stryj mój widzę zapomina,

Żem jest jedynym jego brata synem.

Że jakakolwiek może być przyczyna

Gniewu...

Sędzimir.

A gdyby splamił się tym czynem
Mój brat, brat własny (niech go święci strzegą
Pańscy), toż samobym wyrzekł do niego.

Sędziwoj.

Lecz ja tych gniewów racyi nie znachodzę.

Sędzimir.

Jeszcze swój winy nie uznajesz wasze?...

Kiedy wróg zbrojno obległ miasto nasze,

Kiedy się wszystko pod hetmana wodze

Garnie, by bronić ojczyzny w potrzebie,

Gdy tylko siłą siła się odeprze,

Waść się spokojnie zamykasz u siebie,

By w swoje miechy dmuchać tam w najlepsze;

Niby ci nie dość téj roboty co dnia?...

I powiedz wasze, toż to nie jest zbrodnia?

Sędzimir.

I cóż?

Sędzimir.

Toż wasze dowodzisz tym czynem,
 Że w nim jest dusza praojców niegodna;
 Toż chyba wyschła już w sercu waścinném
 Ostatnia kropla krwi szlacheckiej do dna;
 Toż te praktyki, którym się oddawa
 Wasze, tak już w nim osłabiły ducha,
 Że sprawa kraju, że najświętsza sprawa
 Poczciwój iskry już w nim nie rozdmucha!

Sędziwoj.

Inne jest moje w tym względzie mniemanie,
 Insza ważniejsza potrzeba mnie woła.
 Jeszcze się w kraju dość mężów zostanie,
 Którzy odważnie wrogom stawiają czoła...
 Lecz nie mnie z nimi, bo prawicy mojej
 Miecz krwią zbroczony ludzką nie przystoi,
 Ani mnie pozór próżnej chwały ludzi...
 Mnie uszczęśliwiać, nie mordować ludzi.

Sędzimir.

Szlachcic stworzony do zbroi a miecza
 Jeno...

Sędziwoj.

A i któż przekonał nas o tém?
 Któż was upewnił, że dusza człowiecza
 Niezdolna wyższym podnieść się polotem?
 Gdzież wam to słowo objawiono Boże,
 Że mieczem tylko świat zbawion być może?

Sędzimir.

Jedną mój mości znam jeno uczciwą
 Sprawę. Gdy w boju kto junak nietęgi,
 Niech sobie smaczne zapijając piwo,
 Siedzi za piecem i wertuje księgi;
 Ale w rodzonej naszej polskiej mowie,
 Choćby był w książkach uczonym najbardziej,
 Taki się prawym szlachcicem nie zowie,
 To tchórz mosanie i każdy nim gardzi.
 Lecz który w boju uzbrojon bułatem,
 Nadstawia karku w bezpieczeństwie naszym,
 Tego my śmiało możem nazwać bratem,
 Ten będzie Piotrem, a tamten Judaszem.

Sędziwoj (wzruszając ramionami)

Sinite illos coeci sunt...

Sędzimir.

A przeto,

Kiedy w swém zdaniu waść tak utwierdzony;
 Ponieważ sędzę, że nie taką metą
 Należy starać się o rękę żony
 Uczciwój,— tedy mimo to kochanie
 Całe, waść córki mojej nie dostanie!
 Oto co miałem oświadczyć dziś waści.

(Odwraca się, i otwierając drzwi od pokoju, do którego wprowadzono Zacharyasza, mówi do niego:)

A wy już odejść swobodni jesteście,
 Nie ma powodu lękać się napaści:

Wrogi odparte i spokojnie w mieście.

Bóg z wami.

(Żegna lekkim skinieniem głowy Zacharyasza wychodzącego z pokoju, i odchodzi).

SCENA XI.

Sędziwoj, Zacharyasz.

Zacharyasz (wychodząc z pokoju).

Dziękil!

(Spostrzegając Sędziwoja:)

A czy to być może?

To ty!?

Sędziwoj.

Zacharyasz!

Zacharyasz.

Michał!

Sędziwoj.

Miły Boże,

Dziwne zrządzenie... dawnożeś w Krakowie?

Zacharyasz.

Przybyłem tutaj mniej więcej w połowie Września, z poselstwem naszym, i po całym Mieście wciąż ciebie napróżno szukałem.

Sędziwoj.

Mieszkam w ustroniu i mało z kim żyję.

Zacharyasz.

Kiedyśmy pisać do siebie przestali,
 Sądziłem, żeś już pracę porzuciwszy,
 W życiu domowém utonął po szyję,
 Że spokojniejszy, a zatém szczęśliwszy,
 Masz piękną żonę, dzieci i tam dalej.

Sędziwoj.

Kto na tój drodze raz postąpił nogą,
 Tego już od niój odciągnąć nie mogą
 Ziemskie pobudki; on nie znajdzie tarczy
 Przeciwno żądzy, co życie pochłania,
 Tylko pić musi dopóki sił starczy
 Z czary upojeń... i rozczarowania.

(Po chwili:)

Czyliż nowości jakie w waszym świecie
 Zaszły?

Zacharyasz (z zadziwieniem).

Więc nie wiesz?

Sędziwoj.

Mówiłem ci przecię,
 Że żyję tutaj w pracy i milczeniu.
 Gdzież teraz Seton?

Zacharyasz.

Seton?

Sędziwoj.

Tak.

Zacharyasz.

W więzieniu.

Sędziwoj.

Jakto?

Zacharyasz.

Tak... błędną wieścią cię nie trwożę,
Tak, spadła na nas klęska niespodziana,
Seton w więzieniu księcia Krystyana,
Czeka go męka, tortury, śmierć może.

Sędziwoj.

Jakto! i sądzisz to możliwém?

Zacharyasz.

Sądzę,

Że kurfirst saski chciwy na pieniądze,
Tuszając, iż mędrca wszechwiedzę ogarnie,
Zechce to na nim wymódcz przez męczarnie —
Z tém się odgraża. Ale znasz Setona:
On raczój w mękach najstraszniejszych skona,
On raczój złoży tajemnicę w grobie,
Niżby ją miał dać gwałtem wydrzeć sobie.

Sędziwoj (zamyślony).

Tak... tak... byle go wydobyć czempredzój
Z więzów.

Zacharyasz.

Dwóch rzeczy ta sprawa wymaga:
Odwagi...

Sędziwoj.

Mam jój dosyć.

Zacharyasz.

I pieniędzy...

Sędziwoj.

I te się znajdują.

Zacharyasz.

Pieniądz i odwaga

Wszystko przełamają.

Sędziwoj.

Bóg siły ukrzepi

Ku dobrej sprawie.

Zacharyasz.

Byle trwać niezłomnie

W zamiarze... trzeba naradzić się lepij.

(Oglądając się:)

Tutaj nie można.

Sędziwoj.

Masz słuszność, pójdź do mnie.

(Słychać za oknem głos sługi miejskiego wołający:)

Już północ! gasić światło!

Sędziwoj.

Tu mieszkanie

Moje.

(Pokazuje na schody i biorąc lampę w rękę mówi
jakby sam do siebie:)

Tak... cudny promień rzucon na tło
Przyszłości... kto wie?.. *

(Do Zacharyasza:)

Niechaj się więc stanie

Po Bogu.

(Idzie powoli ku schodom.)

Zacharyasz (idąc za nim).

Amen!

(Słysząc głos sługi miejskiego oddalony już o kilka domów:)

Północ! gasić światło!

A K T II.

(Sala Sądowa w Dreznie. W głębi przygotowane śniadania dla sędziów. Na przodzie sceny narzędzia do tortur i wielka ława drewniana dla rozciągnięcia na niej delikwenta. Na prawo drzwi do więzienia Setona, w głębi drzwi, na lewo również drzwi).

S C E N A I.

Hagen, Karl.

(Hagen naprawia obcęgi żelazne, Karl wiąże sznury do desek mających ścisnąć ręce torturowanych.)

Hagen (śpiewa).

Wolfram uczciwy był parobek,
Wesół i zdrów,
I z owiec dobry miał zarobek
I lepszy z krów.

(Przyrządziwszy obcęgi, przygląda się im z zadowoleniem.)

No, teraz sędzę, że już się nie złamię
Tak łatwo.

(Do Karla:)

Wszak znasz piosnkę o Wolframie?

Karl (nie odrywając oczu od roboty).

Nie.

Hagen (machnąwszy ręką pogardliwie).

Boś ty, bratku, do niczego zgoła;
To śliczna piosnka i bardzo wesoła.
Posłuchaj dalej.

(Śpiewa:)

Lecz w życiu błędne są manowce
I wzdłuż i wszerz:
I Wolframowi zdechły owce,
I krowy też.

Widzisz jak to pięknie.

Karl.

E, bo wam także śpiewać jest ochota...
Mnie ledwo serce ze złości nie pęknie,
Gdy sobie wspomnę jaka to robota!

Hagen.

Drażliwyś, bratku, paniczyk nie żartem,
Wszystko ci staje w najgorszej postaci.
Człowiek jest sługą tego, co mu płaci:
Choćby czart płacił, bratku, trzymaj z czartem.
Nie wszyscy ludzie są równo szczęśliwi,
A dobra każda robota co żywi.
Miał też i Wolfram stałości za mało
I ot posłuchaj co to się z nim stało.

(Śpiewa:)

I stały piękne ule z miodem
 Śród pańskich pól,
 I biedny Wolfram zmorzony głodem
 Zrabował ul.

Ot! skradł nieborak, co to może nędza!

Karl.

Wy, bo już dawno macie tu siedlisko,
 Ale ja, com się sposobił na księdza,
 Co umiem czytać, a nawet nazwisko
 Moje podpiszę!....

Hagen.

Ależ, bratku! pono
 Z téj księżej szkoły ciebie wypędzono?....

Karl (spuszczając głowę).

Niesprawiedliwość.

Hagen.

O... każdy tak gada.
 A trza przecierpieć... to już trudna rada,
 Bo ludzie zwykli żalić się na Boga
 I sędziów, że ich niesłusznie skazali...

(Śpiewa:)

A skoro człowiek raz się zbisi,
 Wciąż będzie złym.
 Na szubienicy Wolfram wisi,
 Wiatr buja nim!

Ot widzisz, Wolfram pewno się nie żali
 Teraz na sędziów, bo wisi psia noga.
 Tak bo też odbyć się najlepiej, byle
 Bez długich męczarni.

S C E N A II.

Ciż sami, Anna.

Anna (uchylając powoli drzwi z lewej strony).

Można wejść na chwilę?

Hagen.

Można... a co to?

(Anna wchodzi, zamykając drzwi za sobą, i ogląda się z przerażeniem
 na około.)

Hagen (spoglądając na nią).

Jakieś kobiecisko

Niczego.

Anna.

Jabym się dowiedzieć chciała

O pewnym więźniu, któremu nazwisko
 Seton.

(Karl podnosi głowę od roboty, spogląda chwilę na Annę i spuszcza
 napowrót oczy.)

Hagen.

A, moja ty gołąbko biała,

Nie wiesz o kogo się pytasz... bo powiem
Ci szczerą prawdę, tyś lepszego warta.
Nie zbliżaj się z nim, ten Seton albowiem,
Jeśli nie sam czart, to pewno brat czarta.

Anna.

Chciałabym wiedzieć, czy już osądzony,
Czy wyrok zapadł, i jaki on będzie?

Hagen.

Dziś się tu jeszcze mają zebrać sędzie,
I jeśli środków nie znajdzie obrony
Lepszych niż dotąd, to być bardzo może,
Że sam mu stryczek na szyję założę.

(Robi znaczący gest na szyi.)

Anna (zakrywając twarz rękoma).

Boże!

Hagen.

Nie ma co tak się martwić o to,
Sprawią mu piękną szubienicę złotą *),
Ja do niej stryczek jedwabny zawiążę,
I będzie wisiał jak udzielny książę
Jaki. Tak sobie gładko w górę hopnie,
Aż miło.

*) Alchemików wieszano na złoconych szubienicach.

Anna.

Boże! jakże to okropnie!

Hagen.

Cóż znów, panienka już płakać zaczyna?
Taką śmierć wszyscyby chętnie wybrali:
Ot, mnie samemu idzie na nią ślina
Do ust.

Anna.

I będą go sądzić w téj sali?

Hagen.

A tak, sąd tutaj wyrokować będzie.

Anna.

A co to znaczy?

Hagen.

Co?

Anna (pokazując na narzędzia torturowe).

To?

Hagen.

Tu na ziemi?

Anna.

Tak.

Hagen.

To wszystko jest moje narzędzie.

(Biorąc do ręki obcęgi:)

Ot, te obcęgi z końcami ostremi,
To warto, byś je panna obejrzała...
One paznogcie wrywają z ciała.
O! w tém narzędziu jest dokładność rzadka.

(Biorąc jęj rękę i robiąc gest obcęgami:)

Tak się zahacza, i idzie jak z płatka.

(Bierze inne narzędzia po kolei.)

A w tych deszczułkach to się palce ściska
U nóg: jak dobrze przykręci się szrubą,
To krew z każdego na raz palca tryska;
A ta żelazna laska z skówką grubą,
To do trzaskania stawów...

Anna.

Wielki Boże!

I tak się srogo człowiek pastwić może
Nad swoim bliźnim!

Hagen.

Kara cnotę żyzni;
Jak bliźni zbrodniarz, to już nie jest bliźni.

(Anna upada bezsilna na ławę.)

Hagen (do Karla).

Jak widzę, ona na dobre zasiada!

(Podchodzi do Anny i bierze ją za rękę.)

No, moja panno, o cóż idzie tobie?
 Wkrótce się tutaj sędziów zbierze rada,
 Trza będzie odejść... no powiedz... już zrobię
 Co tylko będę mógł... a to z nią nowy
 Kłopot!... Czy słyszysz?... przyjdą tu sędziowie...
 Panno!... ogłuchła chyba... nie odpowie...

Anna.

Chciałabym z więźniem mieć chwilę rozmowy.

Hagen.

Z jakim?

Anna.

Z Setonem.

Hagen.

O! nie... żadną miarą

Nie można.

Anna.

Chwilę.

Hagen.

To surową karą

Grozi, najostrzej nam to zabroniono;

Nie!... nie...

Anna.

Na chwilę mnie tylko zaprowadź

Do niego.

Hagen.

Po co?

Anna.

Jestem jego żoną!

Hagen.

Cóż na to zrobię? nie można żartować
Z hrabią Ulrychem, a on właśnie po to
Nas tu postawił.

Anna (dobywając z za pasa kaletkę i oddając ją w ręce Hagenowi).

Chciéj przyjąć odemnie

Ten dar.

Hagen.

Co? złoto!

Karl (podnosząc głowę od roboty).

A doprawdy złoto!

(Potrząsa głową.)

Tak... jego żona.

Hagen.

To wszystko daremnie;
Nie zrobię tego, bo mógłbym u licha
Popaść w nieszczęście. Od hrabi Ulrycha
Wszystko zależy: otoż i on właśnie
Tutaj nadchodzi.

S C E N A III.

Ciż sami, hrabia Ulrych, Sędziwoj, straż.

Hrabia Ulrych (wchodząc, do Sędziwoja).

A że to nie baśnie
 Żadne, na dowód tylko panu powiem,
 Że Lohndorf, który sklep złotniczy trzyma
 W Hadze, sam mieszał ten proszek z ołowiem,
 I patrzył na to własnymi oczyma.
 A majster Lohndorf, to sztuka ostrożna,
 I jego łatwo oszukać nie można.

Sędziwoj.

Tak... ale zaraz od tego do wniosku,
 Że jest adeptą...

Hrabia Ulrych.

Wyjął słoik mały,
 Miał w nim dwa proszki: brunatny i biały.
 Więc brunatnego ugniótł szczyptę w wosku
 I rzucił w tygiel pół... drugą połowę
 Składając na bok... i wnet całe dzieło
 Zwolna się burzyć i pienie zaczęło,
 Mieniając się w piękne barwy purpurowe...
 A majster Lohndorf stał nad tą robotą
 Zważając pilnie. Gdy bryłki stężały,
 Wziął tygiel w rękę, strącił osad biały,
 I odkrył złoto...

Sędziwoj (z udaném niedowierzaniem).

Czy być może?

Hrabia Ulrych.

Złoto

Najczystsze; Lohndorf na swą matkę w grobie
Mi się przysięgał. Nie chcąc bowiem mylnie
Przyświadczać, sam już nie dowierzał sobie,
Brał je pod próbę rozważnie i pilnie
I różnych kwasów użył z niém niemało,
A ono wszystkie próby wytrzymało.

Sędziwoj.

I pan widziałeś to złoto?

Hrabia Ulrych.

Widziałem

I ze zdziwieniem przyznaję niemałym,
Była to bryłka okrągła i gładka.
Sam Lohndorf tutaj przyzwany na świadka,
Przyniósł i złożył je księciu w ofierze.
Zresztą i Seton sam wyznaje szczerze,
Że odgadł wielką tajemnicę, ale
Żądaniom księcia odmawia zuchwale,
Chociaż go życia zagrożono stratą.

(Oglądając się wokoło siebie na narzędzia torturowe)

Ale się jeszcze znajdzie sposób na to;
Znajdzie...

(Spostrzega Annę.)

A to co? Zkąd tyle śmiałości,
Żeby dać wchodzić tu bez pozwolenia
Obcym?

Hagen.

To proszę waszój wielmożności,
Ona się prosi, żeby ją wpuszczono
Do tego...

Hrabia Ulrych.

Kogo?

Hagen (pokazując drzwi na prawo).

Do tego... z więzienia.

Hrabia Ulrych.

Do Setona?

Hagen.

Tak, mówi, że jest żoną
Jego.

Hrabia Ulrych.

Nie można, niech odejdzie.

Anna (załamując ręce).

Panie!

Hrabia Ulrych.

Na nic się nie zda wszelkie rąk łamanie,
Waćpani sobie powracaj do domu:

Z Setonem mówić niewólno nikomu;
Tak kazał ksiązę.

(Do Sędziwoja:)

Was się nie dotyczy
Ten zakaz; owszem ksiązę na was liczy,
Że go będziecie umieli z ostrożną
Wybadać.

Anna (rzucając się na kolana).

Panie! miej litość!

Hrabia Ulrych.

Nie można.

(Do Hageny i Karla:)

Wyprowadźcie ją.

Karl (bierze Annę pod rękę, podnosi ją z ziemi, i doprowadziwszy do drzwi, mówi jęj po cichu).

Przyjdiesz za godzinę

Do małej fórtki.

Hrabia Ulrych (do Sędziwoja, przypatrując się odchodzącej Annie).

Na moje zbawienie,
Widać ten Seton na niezłą zwierzynę
Umiął polować.

Anna (zdziwiona do Karla).

Jakto? czy?...

Karl (kładąc palce na ustach).

Milczenie!

(Anna wychodzi.)

S C E N A IV.

Ciż sami prócz **Anny**.**Hrabia Ulrych** (do Sędziwoja).

Będziecie mogli mówić z nim w téj sali,
 A pamiętajcie, żeście obiecali
 Zręcznie z rozmowy téj wyrozumować
 Czy jest adeptą.

(Do Hageny:)

Więźnia tu przyprowadź.

(Do Sędziwoja:)

Ja was zostawiam.

(Wychodzi, za nim Karl i straż.)

(Hagen otwiera drzwi więzienia, wprowadza Setona do sali sądowej
 i wychodzi.)

S C E N A V.

Seton, Sędziwoj, później Hagen.**Seton** (wchodzi nie spoglądając na Sędziwoja).

Czegoż znów żądacie

Odemnie?

Sędziwoj (roztwierając ręce).

Ciebież tu oglądam, bracie!

I w takim stanie?

Seton.

To ty!

Sędziwoj.

Wstępny bojem

Tu się przedarłem, wiedząc, iż sędziowie
Dziś się zejść mają. Gdy jeszcze w Krakowie
O uwiezieniu wieść mnie doszła twojém,
Dom mój po ojcu niezwłocznie sprzedałem,
I tu przybyłem mieniem mojem całym
Ratować ciebie.

Seton.

Podstępem czy siłą

Wyjść ztąd musiałem, tak już bowiem było
Tam napisano; kto wierzy niezłomnie,
Ten będzie zbawion. Ale jakże do mnie
Zdołałeś trafić?

Sędziwoj.

Pieniędzmi i wolą

Niezłomną. Wiedząc, iż mi nie dozwolą
Wstępu do ciebie, pilnie bowiem strzegą
Takiego więźnia, gdy go ujmą w kleszcze
Swoje mocarze, wziąłem z Polski jeszcze
List z poleceniem do księcia samego.
Wiesz jak on śledzi alchemików wszędy,
I jak z nich każdy ma u niego względy.

Seton.

Znam ja te względy i dziś cierpię na nie.

Sędziwoj.

Szybko się wkradłem w jego zaufanie
 Obietnicami, że z nim razem zrobię
 Parę doświadczeń; wspomniał mi o tobie,
 Żeś przybył tutaj, i że mu wiadomo,
 Iż robisz złoto; że na swiom dworze
 Przyjął cię; widząc jednak, iż wrzekomo
 Nic się od ciebie dowiedzieć nie może,
 Osadził ciebie w więzieniu pod strażą.

Seton.

Tak... by zmódz ducha, ciało dręczy każą!
 Nie wiedzą, że im chwila skonu bliższa,
 Im bardziej słabną te cielesne zgliszcza,
 Tém się duch silniej nad ciało wywyższa,
 I jako złoto w ogniu się oczyszcza.

Sędziwoj.

Więc kurfirst wiedząc, iż obrałem drogę
 Nauk Hermesa, chociaż się nie szczycę
 Wyrównać tobie, osadził, iż mogę
 Wybadać łatwiej twoją tajemnicę
 Niż inni; przeto wydał polecenia,
 Bym miał wstęp wolny do twego więzienia,
 A jeśli podstęp dobry skutek ziści,
 Żebym z nim razem podzielił korzyści.
 Ale ja, bracie, wolę razem z tobą
 Wolność podzielić; przekupiłem strażę,
 Mam moich ludzi, dzisiaj nocną dołą
 Wszystko szykować do ucieczki każę.

Pragnąłem tylko uprzedzić cię o tém.
 Teraz wychodzę resztę przygotować;
 Za parę godzin będę tu z powrotem.
 Uwalniam ciebie, a wówczas mnie prowadź
 Gdzie sam chcesz tylko... idę z tobą wszędzie.

Seton.

Ależ podobno dzisiaj w nocy będzie
 Zebranie sądu.

Sędziwoj.

To mnie właśnie skłania,
 Żebym przyspieszył twój ucieczki chwilę.
 (Pokazując palcem na narzędzia tortur:)

Spojrzyj na wszystkie te przygotowania
 I powiedz, czyli czułbyś się na sile,
 Życie twe drogie narażając marnie,
 Wytrzymać wszystkie te srogie męczarnie?

Seton (z uśmiechem pogardliwym).

Krwawym oprawcom mężni nie ulegą:
 Niechaj się pastwi nad nimi złość sroga,
 Więcej cierpieli wybrani od Boga,
 Silniej wytrwali pomazańcy Jego.

Sędziwoj.

Lecz błogosławić Opatrzność wszechmocną,
 Gdy prób oszczędza.

Seton.

Więc dziś porą nocną?...

Sędziwoj.

Tak.

(Ma się ku drzwiom i zatrzymuje się z wahaniem.)

Teraz mojem żądaniem jedynem,
Być razem z tobą, twym uczniem, twym synem.

Seton.

Módl się i pracuj.

Sędziwoj.

I pod twoją wodzą....

Seton.

Módl się i pracuj, Bóg wskaże.

Sędziwoj.

Nadchodzą,

Trzeba już odejść.

(Hagen ukazuje się we drzwiach.)

Seton.

A ten nie jest w zмовie

Z tobą?

Sędziwoj.

Nie.

(Dając pieniądze Hagenowi:)

Dla was; dziś za moje zdrowie

Wypijcie sobie.

(Wychodzi, za nim Hagen.)

S C E N A VI.

Seton (sam podnosząc ręce do góry).

Panie! Panie! Panie!

Jeśli wskazano wyrokami Twemi,
 Bym resztę dni mych przecierpiał na ziemi,
 Niech się Twa wola przenajświętsza stanie.
 Otocz me serce niespożytą zbroją,
 Oświeć mój umysł, Wszchemogący Boże,
 Gdy moja praca zbawić ludzkość może,
 Wskaż komu w spadku oddać pracę moją.
 Lecz jeśli iskra z popiołów nie wskrześnie,
 Jeśli napróżno, lub jeszcze przedwcześnie
 Rozniecać światło..... niechaj w otchłań ciemną
 Nauka moja przepadnie wraz ze mną.

SCENA VII.

Seton, hrabia Ulrych.

Hrabia Ulrych (wchodząc).

Nim sąd stanowczo da wyrok w twój sprawie,
 Nasz książę kroki zwlekając surowe,
 Raczył mię wysłać do ciebie łaskawie,
 Abym miał z tobą ostatnią rozmowę.
 Znasz położenie już twoje, więc wierzę,
 Że mi odpowiesz wyraźnie i szczerze.

Seton.

Ust moich kłamstwo nigdy nie skalało.

Hrabia Ulrych.

Więc porzuć błędną ciągłych przeczeń drogę,
Wyjaw przedemną tajemnicę całą,
A będziesz wolnym natychmiast.

Seton.

Nie mogę.

Hrabia Ulrych.

Znasz kamień mędrców?

Seton.

Tak jest, temu wcale

Nie przeczę.

Hrabia Ulrych.

Umiesz przerabiać metale
Wszelkie na złoto?

Seton.

Umiem.

Hrabia Ulrych.

Więc ten sposób
Chciój odkryć w gronie wyznaczonych osób,
Które go same poznają jedynie,
I pod przysięgą.

Seton.

Tego nie uczynię.

Hrabia Ulrych.

Namyśl się dobrze, chwile szybko biegą,
Wszelka nadzieja już byłaby płonną,
A masz przed sobą śmierć... śmierć nieuchronną.

Seton.

Nie lękam się jój.

Hrabia Ulrych.

Dla czego?

Seton.

Dla czego?...

Bom poznał życie, które z prochu marnie
Wyszło, w proch wróci...

Hrabia Ulrych.

Lecz czyż cię męczarnie

Tortur nie straszą?

Seton.

Patrz na moje ciało,
Patrz na te kości, co z policzków sterczą,
Patrz na tę skórę zeschniętą i żółcią
Pod pracą nocy bezsennych morderczą...
Czyż sądzisz, że tych trosk codziennych brzemie,
Co wzrok przygasza i twarz chyli w ziemię,
Że to zwątpienie, co serce ogarnia,

I krew, co w żyłach powoli wysycha,
 I każda kropla goryczy kielicha
 Od twoich tortur nie sroższa męczarnia?
 Jam to przecierpiał i ja to wytrwałem,
 I kiedym odniósł zwycięstwo nad ciałem,
 Ty mniemasz, że mnie już teraz zastraszą
 Te wasze nędzne pogrożki dziecięce,
 Że zechcę żywić podłą checiwość waszą
 I do tysięcznych zbrodni podam ręce?
 Bo na cóżbyście to złoto użyli,
 Które dłoń wasza pochwycić się sili?
 Bo jakąż przyszłość księżęciu waszemu
 Zgotuje, jakąż dla was samych będzie,
 Jeśli wam oddam tak straszne narzędzie
 W ręce, jak gdyby miecz niewidomemu?
 O, pierwój zmierzcie bezdenne otchłanie,
 O, pierwój zwalczcie piekielnych mocarzy
 I jak ja życiem zapracujcie na nie,
 Nim się dłoń wasza sięgnąć po nie waży!

Hrabia Ulrych.

Wszystkiemu temu coś powiedział, wierzę,
 I chcę się z tobą porozumieć szczerze...
 Słuchaj... od siebie, od siebie jedynie
 Ostatnią tobie ofiarę uczynię:—
 Tój tajemnicy wydrzeć z twojej dłoni
 Nie chcę... przyznaję... nie mam prawa do niej —
 Znam twą naukę, stałość twoją cenię,
 Pragnąłbym szczerze być przydatnym tobie,
 I jeśli żądasz opuścić więzienie,

Wszelkie ku temu ułatwienia zrobię;
 Ale pamiętaj, i wdzięczność jest cnotą.
 Za świat, który się przed tobą odsłoni,
 Za wolność, którą z méj pozyskasz dłoni,
 Ty dasz mi złoto.

Seton.

Wiecznie.... wiecznie złoto....

Już rzekłem, kłamać nie umiem sumieniu,
 Nie chcę wolności, zostanę w więzieniu.

Hrabia Ulrych.

Co?... bez namysłu odrzucasz tak śmiało
 Ofiary moje, przyszłość twoją całą?
 Więc o tę pychę, co wyrosła w tobie,
 Prace się życia twojego roztrąca,
 I znojną przeszłość i przyszłość jaśniacą
 Tu razem z sobą pragniesz zawrzeć w grobie?
 Więc by wyżywić ową dumę marną,
 Uśmiechy losu odrzucasz łaskawsze
 I to coś w płodną ziemię cisnął ziarno
 Bezpożytecznie chcesz pogrześć na zawsze?
 Słuchaj... z tą chwilą, co szybko ulata,
 Wszystkie się trudy życia twego zetrą...
 Coś miał być chlubą i ozdobą świata,
 Będiesz igrzyskiem jego...

Seton.

Vade retro

Sathanas.

Hrabia Ulrych.

A więc godzien jesteś plonu
 Jaki zasiałeś... szykuj się do skonu.

(Uderza w ręce, wchodzi Hagen.)

(Do Hagena:)

Pamiętaj więźnia pilnować gorliwie,
 Wkrótce sąd zejdzie.

(Wychodzi).

S C E N A VIII.

Seton, Hagen.

(Seton siada na ławie, i ukrywszy głowę w ręce pograża się w duma-
 niu. Hagen przechadza się po więzieniu krokiem niepewnym.)

Hagen (zatrzymując się).

Coś było w tém piwie...

Coś niesmacznego...

(Śpluwa.)

Tfu! w gardle mię pali...

(Przechadza się znowu po scenie.)

I co takiego oni tam wmieszali?

Ten Karl to zawsze ciągnie do butelki...

Terazbym nie chciał pić ani kropelki...

Tak mi coś duszno....

(Idzie do okna i otwiera je; ściemnia się powoli.)

(Otrząsając się:)

Głupstwo, jako żywo.

(Przechadza się znowu i staje przed Setonem, patrząc na niego głupowato.)

Prawda, że chyba czart wynalazł piwo?

Seton (nie zmieniając położenia).

Tak.

Hagen.

Woda lepsza, bo czysta i zdrowa?

(Seton nie odpowiada, Hagen podchodzi do niego i odrywa mu rękę od twarzy.)

I cóż tak ciągle siedzicie jak sowa?

Seton.

Cóż chcesz bym czynił?

Hagen.

Ano jakże? przecie

Choć trochę ze mną pogadać możecie.

Seton.

O czémże ze mną chcesz mówić, mój bracie?

Hagen.

Jakto? wy mówić o niczém nie macie?

Trzeba się teraz rozgadać weselój:

Wkrótce na długo będziecie milczeli,

Bo wyrok na was już jakby gotowy...
Gdy stryczek ściśnie, nie czas do rozmowy.

Seton.

Co ci do tego, co ja tutaj robię?
Ty myśl o sobie, ja myślę o sobie.

Hagen.

Wam łatwo mówić... wy jak ryba zdrowi,
A mnie to piwo ciągle w gardle stoi...

(Jakby uderzony nową myślą, zbliża się do Setona.)

Wybyście oto mogli, z łaski swojej
Bardzo dopomóż biednemu człekowi,
Bo to sekreta jakieś macie swoje,
A ja mam żonę i dzieciaków troje...

(Seton podnosi głowę i patrzy na niego z zadziwieniem.)

Mnie już Karl mówił, a to jest rzecz pewna,
Zeście się figłów dyabelskich uczyli,
Umiecie robić i to w jednej chwili
Złoto z wszystkiego...

(Pokazując na ławę, na której siedzi Seton:)

Ot naprzykład z drewna.

(Seton potrząsa głową z uśmiechem.)

Hagen.

Gdybyście mogli przez względy łaskawe
Dla mnie na złoto przemienić tę ławę,

Mniebyście wielką przysługę oddali,
A jabym inną sprawił do téj sali.

(Seton znowu potrząsa głową.)

Co to wam szkodzi? To dla mnie jedynie;
Jabym wam za to wdzięczny był sownie:
Was szubienica i tak już nie minie,
A dobrodziejstwo przed śmiercią zrobicie.

(Czeka chwilę na odpowiedź, Seton milczy.)

Jacy wy twardzi! pfe, to gorzej żyda.
Na co wam teraz potrzebne pieniądze?
A ja wam supeł tak za to urządę,
Że wam na stryczku jak w raju się wyda.

(Seton milczy.)

Hagen (mówi sam do siebie).

Widzisz go? jeszcze przed śmiercią się droży...

(Do Setona:)

Kiedy nie chcecie, to dla was tém gorzej.

(Ziewa.)

Będziecie wisieć jak zasłużyliście.

(Układając się na ziemi:)

A ja się prześpię, bom zmęczon ognieście.

(Kładzie sobie pod głowę kilka deszczulek torturowych.)

Już pić nie będę, niech mnie Pan Bóg broni!
Tfu! ciągle dławi.

(Odwraca się na drugą stronę i zasypia. Ściemniło się zupełnie. Seton podnosi się z ławy i przygląda się przez chwilę śpiącemu.)

Seton.

Tacy wszyscy oni!...
 Złoto!... tak... w złocie całe szczęście ziemi...
 Jaż mam tę przepaść otworzyć przed niemi?...
 O, nie!... dziękuję tobie za tę próbę
 Panie!... Nie będę ludzkości na zgubę
 Prowadził; raczej niech cienie grobowe
 Pokryją ślad mój...

S C E N A IX.

Seton, Hagen śpiący, **Sędziwoj, Karl**, wchodzą z pochodniami
 w rękę.

Sędziwoj (wchodząc).

Już wszystko gotowe;
 Śpiesz się, my ciebie powiedziemy sami.

Karl.

I żona wasza czeka tam przed drzwiami.

Sędziwoj (spozstrzegając Hagenę).

A ten śpi?

Karl.

To ja zadałem mu w piwo
 Leki do spania.

Sędziwoj.

Dałój, dałój, żywo!

(Wychodzą wszyscy.)

Hagen (przewracając się niespokojnie, śpiewa przez sen).

A kiedy człowiek raz się zbisi,
Wciąż będzie złym.
Na szubienicy Wolfram wisi,
Wiatr buja nim.

A K T III.

(Izba w gospodzie. W głębi drzwi. Drzwi z prawej i lewej strony).

S C E N A I.

Sędzimir, Jadwiga, Mordko, później Skołuba.

Mordko (wchodzi drzwiami w głębi z czapką w ręku, wprowadzając Sędzimira i Jadwigę).

Przepraszam bardzo, ale o to idzie,
Że u mnie dzisiaj nie będzie wygoda
Wielka, bo widzi jaśnie wojewoda,
Że.....

Sędzimir.

Ja nie jestem wojewoda, żydzie.

Mordko.

Bardzo przepraszam, ja przez to ośmielan
Mówić, że tutaj zjechało nad ranem
Dwóch panów, przeto jaśnie pan kasztelan
Zechce....

Jadwiga.

Mój ojciec nie jest kasztelanem.

Mordko.

Obaj nad ranem zjechali z kobietą,
Zabrali stancę: to już trudna rada,
Kiedy zabrali; muszę przyjąć przeto
Nie tak jak jaśnie starostę wypada.

(Jadwiga się uśmiecha, Sędzimir wzrusza ramionami, Skołuba wchodzi przez drzwi w głębi z walizką w ręku).

Skołuba (uderzając Mordkę po ramieniu).

Zkąd wiesz, że pan mój starostą?

Mordko.

Rzecz prosta,

Kto tak wielki pan, to pewno starosta.

Sędzimir.

No mniejsza o to, wskaż izbę jakową
Nam, gdzieby można pójść na wypoczynek.

Mordko (pokazując drzwi na lewo).

Tu w roku zeszłym, jak właśnie na nowo
Odmalowano... a jest i kominek.

Sędzimir (do córki).

Pójdźmy więc.

Mordko (otwierając drzwi).

Bardzo proszę!

Sędzimir (odwracając się do Skołuby).

Waś, mosanie,

Rozkaż, o koniach niech mają staranie,
Jutro znów w drogę ruszamy nad ranem.

(Wychodzi z Jadwigą).

S C E N A II.

Skołuba, Mordko.

Mordko (kłaniając się do kolan Skołubie).

Pan, z przeproszeniem, tutaj z jaśnie panem
Starostą przybył, a więc...

Skołuba.

Co ci o to

Pytać się, żydzie? Wolej śpiesz z robotą,
Żeby dla koni porządnie nasłano
W stajni, a ludzie także niech dostaną
Jeść: czy rozumiesz?

Mordko.

Cóżbym nie miał jeszcze

Rozumieć?

Skołuba.

Ja zaś sam się tu pomieszczę,

Ty tylko pilnuj i zaglądamy wszędzie:
Pamiętaj żydzie!...

Mordko (wychodząc).

No, już dobrze będzie.

S C E N A III.

Skołuba, Jan.

(Skołuba kładzie walizę na ziemi i zabiera się do wypakowania jej.
Jan wchodzi drzwiami z prawej strony).

Jan (wchodząc szybko).

Hej, żydzie, prędzój!

(Spostrzegając Skołubę):

A to co takiego?

Wy tutaj?

Skołuba (podnosząc głowę od walizki).

Ki czort?

(Powstaje z ziemi).

A niechże mnie strzegą

Święci Pańscy... Jan!

J a n.

A tak, ja.

Skołuba (uśmiechając się).

Czy tylko

To pewna, że ty, bo z tym twoim panem
To jakoś....

J a n.

A wy dawno tu?

Skołuba.

Przed chwilką
Tuśmy przybyli, i mamy nad ranem
Odjechać, śpieszym na sejm do Warszawy.
Ale wy tutaj dla jakiej znów sprawy
Zdążacie?

J a n.

Ot ba... szerokoby o tém
Gadać.

Skołuba.

Gdzieżeście siedzieli tak długo?

J a n.

W Niemczech.

Skołuba.

A za czém?

J a n.

Za złotem.

Skołuba.

Za złotem?

J a n.

Jużci tak.

Skotuba.

Cóż bo bajdurzysz pleciugo,
Gdzieżby tam znowu w Niemczech szukać złota?

J a n.

Ano, widzicie to nasza robota
Taka. Toć wszyscy ci niemieccy grafi
Ciągłe na palcach chodzili przed nami.

Skotuba.

Ot ba!

J a n.

A jeszcze nie jedziemy sami,
Wieziemy człeka rozumnego srodze,
Co robić złoto na urząd potrafi...
Tylko nam oto zachorował w drodze.

Skotuba.

Pleciesz trzy po trzy, ale się nie klei
Jakoś.

J a n.

To wszystko prawda oczywista...
To jest... czekajcie...

(Przypominając sobie):

Tak... tak... alchemista,

Jeno, że biedak chory bez nadziei,
Myślę, że zamrze...

Skołuba.

Czy wasz pan zostanie
W kraju na ciągle?

J a n.

Juściby najprościój
Było, lecz nie wiem, teraz ma staranie
Wielkie o tamtym, bo chce się mądrości
Jego wyuczyć; więc wciąż przy nim siedzi,
Prawiąc mu cicho jakby na spowiedzi
Różne tam rzeczy. Ale ja tu plotę,
A tam tymczasem mam pilną robotę.
Trzeba się śpieszyć... toż się jeszcze przecię
Zobaczym? wszak tak?

Skołuba.

Wy tu zostaniecie
Na noc?

J a n.

Bez chyby.

Skołuba.

To będziem widzieli
Się jeszcze pewnie.

(Jan wychodzi drzwiami w głębi).

S C E N A IV.

Skołuba sam, później **Jadwiga**.

Skołuba.

Ot będzie weselój
Zaraz panience, jak tylko się dowie...
Co to tam siedzi u tych kobiet w głowie!

Jadwiga (wchodząc drzwiami z lewej strony).

Chodźcie-no prędko, mój ojciec was woła.

Skołuba (stając przed nią z uśmiechem).

A wie panienska, jaka tu wesoła
Nowina?

Jadwiga.

A co?

Skołuba.

Od pana Michała
Dawno też panna wiadomości miała?

Jadwiga (zachmurzając się).

Nic nie wiem o nim.

Skołuba.

I czy szczerze?

Jadwiga.

Szczerze.

Skołuba.

A ja mam o nim wiadomości świeże.

Jadwiga.

No? jakto? gdzie on?

Skołuba.

Zaraz, zaraz, byle
Spokojnie, może ujrzym go za chwilę.

Jadwiga.

Co? czy podobna!

Skołuba.

Zaraz to wyjaśnię
Panience, ale.....

(Sędziwoj wchodzi drzwiami z prawej strony).

Otoż i on właśnie.

(Wychodzi drzwiami na lewo).

S C E N A V.

Jadwiga, Sędziwoj.

Jadwiga (podając obie ręce Sędziwojowi).

Michale drogi!

Sędziwoj.

Witaj ukochana
Jadwigo! witaj! wiedziałem od Jana,
Że tu jesteście.

Jadwiga.

To opatrnościowe
Zrządzenie.

Sędziwoj.

Jakże stryja mego zdrowie?
Jak się masz sama? bo odkąd w Krakowie
Mieliśmy z sobą ostatnią rozmowę,
Odtąd nie miałem od was wieści wcale.

Jadwiga.

A ja! o ileż, drogi mój Michale,
Byłam zmartwioną! bo nasze rozstanie
Tak się gwałtownie i tak niespodzianie
Odbyło.

Sędziwoj.

Śpieszyć się musiałem w pewnej
Tajemnej sprawie, niecierpiącej zwłoki.

(Po chwili):

No... jakże? stryj mój zawsze na mnie gniewny?

Jadwiga.

Żal w serce jego wpoileś głęboki,
Żal więcej niż gniew, bo nieraz bywało,

On sam mi pierwszy o tobie wspomina,
 Kocha cię, jako swego brata syna,
 Ale...

Sędziwoj.

Cóż ale?...

Jadwiga.

Ty byłeś zbyt mało
 Względny dla niego.

Sędziwoj.

Ja robię co mogę
 Zawsze, on jednak wymagał zbyt wiele.
 Ten, przed kim wyższe wytknięte są cele,
 Nie może w boczną zapuszczać się drogę.
 Nie zniżać skrzydeł orłu, co wysoko
 Płynie; kto w niebo lot zapuszcza śmiały,
 A w ziemską przepaść choć raz zwróci oko,
 Ten się, padając, roztrąci o skały.

Jadwiga.

Więc o miłości po cóż mówić było,
 Gdyś był z daleka myślami twojemi?

Sędziwoj.

Bom ciebie jedną pokochał na ziemi,
 Bo zawsze ciebie z równą kocham siłą.
 Gdy cisza zwątpień otacza mię głucha,
 Promienie marzeń w tobie mi jaśnieją,

W nauce widzę cel mojego ducha,
A tyś mi szczęścia ziemskiego nadzieją.

Jadwiga.

Sluchaj... ja przeciw zwątpieniu się zbroję,
Ja wierzę słowom twoim... chcę im wierzyć,
Bo miłość moja wsiąkla w życie moje,
Nie kochać ciebie, byłoby to nie żyć.
Lecz ty, coś wzbudził taką ufność we mnie,
Chciéjże coś także uczynić wzajemnie.
Ojciec o twojéj tu bytności nie wie,
Wiem to i czuję, że osłabł w swym gniewie;
Ja zaczę teraz mówić mu o tobie,
Wzmiankę o twojéj tu bytności zrobię,
Ty się mu ukaż wówczas: jedno słowo
Twoje, złagodzi starca twarz surową,
I serce jego wraz ku tobie nagnie,
Bo on nad wszystko mego szczęścia pragnie.

Sędziwoj (po chwili namysłu).

Idź więc... niech wola wypełni się Boża,
I wróc oznajmić.

(Jadwiga wychodzi drzwiami na lewo).

S C E N A VI.

Sędziwoj (sam).

A więc kość rzucona;
Czyliż z tą chwilą wejdzie szczęścia zorza

Nowa, czy pracy méj nadzieja skona?
Bóg wskaże.

Seton (za sceną).

Gdzież on?

Sędziwoj.

A, na moją duszę,

To Seton.

Seton (za sceną).

Gdzież on? iść do niego muszę.

S C E N A VII.

Sędziwoj, Seton wchodzi wprowadzony przez **Annę** i pada osłabiony na krzesło przysunięte mu przez **Sędziwoja**.

Seton.

Ha, to ty!

Sędziwoj.

Czemu opuszczasz twe łoże?
Zaszkodziś sobie.

Seton.

Bracie mój kochany,
Już się zrywają te ziemskie kajdany;
Nic mi już szkodzić, ni pomódz nie może:
Wszystko skończone.

Sędziwoj.

Co? ty, nasza chwało!

Co? ty mocarzu na ziemskiego krzyża
Cierpienia, duchem upadasz, gdy ciało
Słabnie na siłach...

Seton.

Już koniec się zbliża.

Nie przeto, bracie, mniemaj, iż nikczemnie
Miękczy mi serce zwątpienie lub trwoga;
Owszem duch silniej teraz żyje we mnie,
Na skrzydłach modłów wznosząc się do Boga.
Kiedy zamglone w przeszłość zwracam oko,
Bez żalu rzucam tę ziemską dziedzinę...
Bez żalu.... może znajdę tam wysoko
Jedyną prawdę i szczęście jedyne.

Sędziwoj.

Więc z ciałem razem zostawiasz w ofierze
Śmierci twe prace i myśli najlepsze?
Nikt drzewa wiedzy twojej nie podeprze?
Nikt plonu twoich zasiewów nie zbierze?

Seton.

Nikt.

Sędziwoj.

I tak życie przetrawiwszy w bólu,
Złamawszy w walce ducha twego siły,

Zostaniesz jak głaz na bezpłodném polu,
Co go nieznane ręce umieściły.

Seton.

Tak jest.

Sędziwoj.

Dni, lata i wieki ubiegą,
Myśl twa zmarnieje.

Seton.

Czy ty wiesz, dla czego
Umieram? Słuchaj. Znasz żądzę zacieklą,
Co pali ducha, co udręcza ciało,
Coby się żywcem chciała pogrześć w piekło,
Gdyby to piekło wiedzę otwierało.
Jam tak żył. Nieraz w pracowni méj progę
Zagasłe oczy zatopiwszy w ziemi,
Z jękiem boleści dłońmi skrwawionemi
Darłem me piersi i bluźniłem Bogu.
Były to chwile zwątpień i rozpaczę,
Szatan je liczył.... Bóg może wybaczy;
I przyszedł inny dzień, gdy trudów brzemię
Żelazną dłonią zawisło nad ciałem;
Modląc się Bogu upadłem na ziemię,
Upadłem uczniem, a mistrzem powstałem.

Sędziwoj.

Tak.... tak.... cześć tobie.

Seton.

Cześć mądrości Bożej,

Co w piersiach zapalał, w sercu mężtwo budzi;
 Cześć łasce Niebios, co zlewa na ludzi
 Rozum co bada i siłę co tworzy.
 Więc gdy u kresu mych życzeń stanąłem,
 Cząstkę tworzenia uchwyciwszy lichą,
 Sądząc, że będę prawdy apostołem,
 W świat się puściłem z śmiałością i pychą.
 Myślałem, wiedzy uchwyciwszy wodze,
 Że świat podeprę, że ludzkość odrodzę.
 Lecz jakże byłem zawiedziony srogo!
 Gdziekolwiek kroki mnie moje powiodły,
 Kogom się dotknął, kędym stąpił nogą,
 Wszędzie miast kwiatu chwast wyrastał podły,
 A siła moja marniała w méj dłoni,
 Skażeniu tylko użyczając broni.
 Wówczas poznałem tę ludzącą marę,
 Co mię swojemi omamiała blaski;
 Wówczas poznałem.... że na moją karę
 Bóg mi dał wiedzę, a odmówił łaski.
 Więc odepchnąwszy od siebie z daleka
 Pychę, sądziłem, iż znajdę człowieka,
 W którym me myśli odrodzić się mogą,
 Tusząc, że może on szczęśliwszym będzie
 Ode mnie.

Sędziwoj (z drżeniem w głosie).

Kogoż znalazłeś?

Seton.

Nikogo —

I komuż oddać tak zgubne narzędzie
 W ręce? odpowiedz, komuż, bez zadrzenia,
 Straż tę powierzyć własnego sumienia?
 Patrz... ja umieram, czyż sądzisz, że siły
 Moje zawody i trudy zwałiliły?
 Nie — czytaj lepiej na czole wybladłym,
 Chciéj zajrzeć w ducha mojego głębinę:
 Ja pod ciężarem téj myśli upadłem,
 I ginę dwakroć, bo bezpłodnie ginę.

(Po chwili:)

A teraz słuchaj: między obcą zgrają,
 Którą odpycha ma dusza zbolala,
 Dwa serca bliźnie jeszcze mi zostają.

(Wskazując na Sędziwoja:)

Tyś mnie ocalił.

(Wskazując na Annę:)

Ona mnie kochała.

(Wyjmuje z zanadru puszkę złotą.)

To kamień mędrców, to jest owa siła,
 Co w tyłu sercach straszną żądzę budzi,
 Co mnie nad ludzi chwilę wywyższyła,
 By potém niżéj mnie strącić od ludzi.
 Nim ciało moje w zimnym złożą grobie...

(Do Sędziwoja:)

Ja go w dziedzictwie przekazuję tobie —
 Lecz ci z nim wiedzy nie oddaję mojej.

Tu ona leży, tu jest droga do niéj,
Szukaj.... niech wiara twoje serce zbroi,
A Bóg ci może ją kiedyś odsłoni.

Wówczas ciernistą tę drogę przebywszy,
Bogdajbyś został ode mnie szczęśliwszy!
Lecz kiedy w tobie zaufanie mieszczę
Moje, warunek podaję ci jeszcze.

(Sędziwoj, który przez ten cały czas stał ze spuszczoną głową, podnosi ją i słucha uważnie.)

W tém życiu, które dobiega do mety,
W wspomnieniach, które jako mgła przeminają,
Jedyném szczęściem, pociechą jedyną,
Zostało dla mnie serce téj kobiety.

(Wskazuje na Annę.)

Gdym w obcym świecie tułał się zbłąkany,
Ona mnie jedna ukochała szczerze,
A niezachwiana w ufności i wierze,
Miłości balsam zlewała na rany.
Ona mi była mém bogactwem całym,
Teraz się sama na ziemi zostanie.....

(Do Sędziwoja:)

W tobie złożyłem moje zaufanie,
Tobie poruczam tę, którą kochałem.
Chcę, byście ślubnym zostali związani
Węzłem.... uczynić ją szczęśliwą, bogatą....
Kochaj ją.... mężem i ojcem bądź dla niéj.
Chcę.... żądam tego....

(Sędziwój milczy.)

Przysięgnij mi na to!...

(Milczenie. Seton powstając z wysileniem z krzesła:)

Jakto?... wahasz się... o! jakże mię srogo
Zawiodłeś... Boże!... nie znaleźć nikogo!...

(Upada zemdłony na krzesło.)

S C E N A VIII.

Ciż sami, Sędzimir, Jadwiga (wchodzą drzwiami z lewój
strony).

Jadwiga (prowadząc za rękę Sędzimira).

Otoż on, ojcze...

(Spostrzegłszy Annę i Setona, staje osłupiała.)

Cóż to?

Seton (powstaje z krzesła, i ostatniem wysileniem chce złączyć ręce
Sędziwoja i Anny).

Pókim żywy,

Przysięgnij!

Sędziwoj (po chwili walki z sobą podaje rękę Annie i mówi
drżącym głosem).

Więc tak.

Jadwiga (upadając w ręce Sędzimira).

Boże litościwy!...

A K T IV.

PRAGA CZESKA.

(Wielki salon w mieszkaniu Sędziwoja. Taras wychodzący na ogród. Salon napelniony gośćmi. Niektórzy grają w kości i w karty, inni przechadzają się. Na przodzie sceny grono kilku osób rozmawiających z sobą, a pomiędzy nimi Zacharyasz, Walter, Zwinger, Von Delle i t. d.)

S C E N A I.

Zacharyasz, Walter, Zwinger, von Delle, goście różni.

Von Delle.

Otoż jak Johan zaszedł w ową stronę,
Spojrzał w około i znak krzyża czyni,
A przed nim było wejście do jaskini,
Dziką krzewiną gęsto otoczone.

Walter.

Już bo to zawsze wchodzić niewygodnie
Do czarowników.

Zwinger.

Śmiały, daję słowo.

Von Delle.

Więc skrzesał ognia, zapalił pochodnię
I ruszył dalej w wązkie przejście owo.

Pierwszy gracz w kości.

Rzuciłem szóstkę, a wyście zmieszali.

Gracz drugi.

Piątkę.

Gracz pierwszy.

Nie.... szóstkę.

Gracz trzeci.

To czyste napaście!

Von Delle.

I tak uszedłszy kroków kilkanaście,
Ujrzał przed sobą wielkie drzwi ze stali.
Naówczas Johan, jak go ostrzeżono,
Zoczywszy nową tę przed sobą tamę,
Uderzył w zamek ręką odwróconą
A drzwi się zaraz otworzyły same,
I nagle jakby za wydaniem hasła
Wiatr silny zawiał i pochodnia zgasła.

Walter.

Toż być musiało naokoło ciemno...
Nieborak Johan chyba stracił głowę.

Von Delle.

Gdzie tam!.. u stropu słońce kryształowe
Blask rozrzucało w tę salę podziemną,
A taką silną była ta nieznana
Światłość, że chwilę olśniła Johana.
Ale się jakoś ocucił za chwilę,
Zebrał swe myśli z całą woli siłą,
I wkrótce władzy miał nad sobą tyle,
Że mógł rozpatrzyć, co w téj sali było.

Zacharyasz.

No.... to ciekawe.

Pierwszy gracz (powstając).

Kiedy tak, ja wolę
Gry téj nie kończyć.

Drugi gracz (zatrzymując go).

To pójdziem, do nowój.

Von Delle.

Na środku wielki był stół marmurowy
I szczerozłote krzesło przy tym stole;
Na krześle, głowę oparłszy na dłoni,
Siedział mąż z wzrokiem spuszczoneym ku ziemi.

Wysokie czoło nad brwiami gęstemi,
 Kilka siwawych cieniło u skroni
 Włosów, a szata była na nim biała,
 Po bokach srebrem haftowana suto,
 Laskę miał w ręku, i ta postać cała
 Jakby z kamienia zdała się wykutą.
 Johan tém wszystkiém zdziwion niesłychanie,
 Stał jak gdyby przykuty do ziemi.
 Wtém nagle ujrzał przed sobą na ścianie
 Napis wielkiemi głoskami złotemi:
 „Wkrótce się spełnią czasy obiecane,
 „Już odrodzenie ludzkości się zbliża.
 „Jam mistrz adeptów różowego krzyża;
 „W cieniach umarłem, w świetle zmartwychwstanę.”
 Johan chciał mówić, lecz nim wyrzekł słowo,
 Mąż ów gwałtownie porwał się na nogi,
 Wzniósł rękę, i wzrok utkwiwszy w nim srogi,
 Uderzył laską w kulę kryształową.
 Echo oddźwiękło od sklepienia z cegły,
 I cienie wokół Johana obległy.

Zacharyasz.

Dziwny wypadek!

Zwinger.

Dawnoż to się stało?

Von Delle.

A będzie temu już parę miesięcy.

Zacharyasz.

I Johan nic się nie dowiedział więcej?

Von Delle.

Johan był kontent, że uchodzi cało,
Domacał do drzwi i zmykał jak zając,
Wcale za siebie się nie oglądając;
Ledwie do miasta dobiegł napół żywy.

Walter.

I czyż wy rzecz tę całą rozumiecie?

Zwinger.

Ba, toć Rosenkreuz znany dobrze w świecie!

Zacharyasz.

Dziwy!

Walter.

A u nas niby to nie dziwy.

Von Delle.

Prawda, i u nas zajść w głowę wypada.

Walter.

I nasz Sędziwój, niech go Pan Bóg w zdrowiu
Dobrem zachowa, jest mędrcom nielada.

Zwinger.

E... że tam złota zrobił coś z ołowiu,
Niewielkie rzeczy.

Walter.

Tak, niewielkie rzeczy,
Ale nie każdy potrafi kto przeczy.
Toż taki człowiek nie codzień się zdarza.

Zwinger.

Cała rzecz, że ma łaski u cesarza.

Von Delle.

A was największym to przejęło żalem,
Że mu dał dobra i że go medalem
Złotym ozdobił.

Walter.

I rzecz słuszna, bo to
On na ten medal sam przelewał złoto.

Zacharyasz (tajemniczo).

A mnie niedawno na pewne mówiono,
Że on to zrobił tynkturą skradzioną,
Że to nie jego sekret.

Walter.

Ani nie wasz.

Zwinger (do Waltera).

Czy dał ci wczoraj, czy dziś się spodziewasz?

Walter.

Wiadomo wszystkim, że jego wspaniała
Łaska, rozrzuca dobrodziejstwa wkoło.
To też zrobiłem mu posąg, gdzie chwała
Laurowym wieńcem otacza mu czoło,
Bo taki człowiek godzien jest posągą.

Von Delle.

A ja wiersz piszę, co jego utrwali
Pamięć.

Zwinger.

To zwykle działanie metali:
Magnes żelazo, złoto muzy ściąga.

Von Delle.

Wy przeciw niemu tak razem złączeni,
Byście mu nicość jego okazali;
On robi złoto z nikczemnych metali,
Lecz was w szlachetny metal nie zamieni,
Chociażby całkiem osypał was złotem.

Walter.

Otoż on właśnie.

Zacharyasz.

No, panowie, zgoda,
To były żarty.

S C E N A II.

Ciż sami, Sędziwoj, hrabia Ulrych.

Sędziwoj (wchodząc pod rękę z hrabią Ulrychem).

A toś się z powrotem
Pośpieszył, hrabio.

Hrabia Ulrych.

Nawet była szkoda
Jeździć. On sądził widać, że nas zmami
Wymyślonymi niezgrabnie sztukami;
Godzien iść w parze ze zwyczajną rzeszą
Oszustów. Wyrok już zapadł, powieszą
Go za dni kilka.

Sędziwoj (uśmiechając się).

Jam spokojny o to;
U was sąd zwykłą musi iść koleją.
Jednych wieszacie, że robili złoto,
Drugich, że złota robić nie umieją:
Sprawni z was sędzie.

Hrabia Ulrych.

O! nie... jako żywo,
My praw słuchamy, co porządku strzegą;
A że cenimy naukę prawdziwą,
Wszak sam na sobie masz dowody tego;
Jeszczeż zatargów z nami nie miał przecię.

Sędziwoj.

Tak... nie wieszacie mnie, bo nie możecie,
Ale w tém pewno wina nie jest wasza.

Hrabia Ulrych (oglądając się naokoło).

A.... masz u siebie widzę Zacharyasza....
Zwinger, Von Delle, Walter — całą zgrają
Cię otoczyli poeci, artyści,
Mędrcy, uczeni; toż się widzę iści,
Że zawsze gwiazdy za słońcem ściągają.

Sędziwoj (kiwając głową).

Tak... tak... dopóki słońce się nie zaćmi,
Lub się promienie jego nie osłabiają..
Wszakże wiadomo, że ludzie są braćmi, h.
Więc się kochają. Ano, panie hrabio,
Rozgość się tutaj, masz mieszkanie u mnie...
Tu zawsze bywa tak gwarnie i tłumnie
Jak dzisiaj; widzisz, mam łaskawych ludzi
Na siebie; widać, że jestem pod planetą
Szczęsną zrodzony. Więc za ich podniętą
Sądzę, że gość mój u mnie się nie znudzi.

(Obracając się do swoich gości:)

Nie prawdaż? Za was obowiązek wziąłem.

Zwinger.

Nie dziw się hołdom, co cię otoczyły:
Świat przed geniuszem zawsze bije czołem.

Sędziwoj.

A połysk złota dla oczu jest miły.

(Obracając się do Mardocheusza Von Delle:)

No, mój poeto, czy u ciebie nie ma
Jakiéj nowości?

Von Delle.

Mam wielkie poema.

Sędziwoj.

I cóż takiego wdzięczna muza twoja
Usnuła?

Von Delle (wydobywając z za sukni plik papierów czyta).

Obłok mądrości ciężarny
Gromami nauk, na cześć Sędziwoja,
Pana z Neidlingen hrabiego Gawarny.

Sędziwoj.

No, no, jak widzę nic z moich tytułów
Nie przepomniałeś; piękny pewnie tułów
Ma twój poemat, kiedy taka głowa.

Von Delle.

Jest to prawdziwa pochwała i nowa
Nauk, przy których wszelkie inne gasną.
Tak określono dowodnie i jasno,
Że dla nas przyszłe wyprzedziłeś lata.
Streściwszy w sobie wszéj mądrości wątek,

Żeś jest Hermesem nowożytnym świata...
Chcesz, to ci zaraz przeczytam początek.

(Sędziwój robi przyzwalające skinienie głową. Von Delle czyta:)

Biegną lata w jedną metę
Wielkim śladem innych lat;
Świat zaginał przez kobietę
I kobieta zbawi świat.

Porodziła matka zorza
Dziewięć synów, dziewięć zórz,
A więc matkę włóż do łoża,
Dziewięć synów w łożo włóż.

Na posłanie daj im liści,
Które płodzi drzewo snów;
Tam się z grzechów gdy oczyści
Nieskalaną weźmiesz znów.

Sędziwoj (przerywając mu).

Bardzo to piękne, co wy tu czytacie,
I wyrażone wymową ozdobną;
Lecz czy nie pisał już o tém podobno
Arnold Villeneuve w swym sławnym traktacie
O wielkiém dziele?

Von Delle (zakłopotany).

Tak... być bardzo może,
Że myśl podobną ten początek znaczy;
Jam tę myśl jednak wyraził inaczej

I jaśniej: zaraz tę rzecz wam wyłożę,
Jeżeli chcecie.

Sędziwoj.

Po co? Czasu szkoda:

Przyjmuję dzieło.

(Zdejmuje złoty łańcuch z szyi i oddaje go Mardocheuszowi
Von Delle).

A oto nagroda.

Von Delle (z uniżonym ukłonem).

Dzięki ci, panie!

Zwinger (po cichu do Zacharyasza).

Widać, że łaskawsze
Względy dla niego niż dla nas bywały.

Zacharyasz (tak samo).

Co chcesz? Von Delle to mistrz do pochwały.

Zwinger.

Tak, ten poeta obdziera nas zawsze.

Zacharyasz.

Ale on darów nigdy nie zachowa,
Sprzeda to żydom, jak z tamtém ubraniem
Zrobił.

Sędziwoj.

Dla panów wieczerza gotowa,

Więc proszę za mną kto łaskaw.

(Wychodzi drzwiami z lewej strony, wszyscy wychodzą za nim.)

Hrabia Ulrych (do Zacharyasza).

Zostaniem

Tutaj, mam z tobą pomówić.

Zacharyasz.

Najchętniej.

S C E N A III.

Hrabia Ulrych, Zacharyasz.

Hrabia Ulrych.

No, cóż? Jak widzę, czas nie obojętni
Tych wszystkich hołdów?

Zacharyasz.

Co chcesz? przed tą gwiazdą
Wszystko w proch pada... taki los człowieka.

Hrabia Ulrych.

Ja naszej zemście już usłałem gniazdo,
Wkrótce się całkiem zmieni kolój rzeczy.
Wybornie moją odegrałem rolę;
Bo dowiedziawszy się cesarz ode mnie,
Że go Sędziwoj oszukał nikiemnie,
Dał mi swobodne do działania pole.

Zacharyasz.

Widocznie on skradł ten proszek Setona,
W tém cały sekret.

Hrabia Ulrych.

A ta jego żona,
Czyż była także współniczką téj zbrodni?
Wszakżeś się tego miał dowiedzieć od niéj.
To bardzo ważne, bo na naszą szkodę
Ten Seton przepadł jakby kamień w wodę.
Czyliż z tych nowych związków ona rada?

Zacharyasz.

I któż kobiety serce kiedy zbada?
Wszak najgorętszą miłość udawałem,
Wszakżem używał z największym zapalem
Wszystkich słów, które serce zmiękczyć mogą...
Lecz ta kobieta nie kocha nikogo,
Zimna jakby lód...

Hrabia Ulrych.

Może to udanie.

Zacharyasz.

Zkąd? obojętna na wszystko wokoło;
Spuszcza ku ziemi zachmurzone czoło,
A na jéj ustach nigdy nie postanie
Uśmiech.

Hrabia Ulrych.

A jego czy kocha?

Zacharyasz.

Nie sędzę...

I czegoż jój brak? Zaszczyty, pieniądze
Spływają na nich; a każde jój słowo
Jest tu wyrokiem, bo ona królową
Wszystkich; Sędziwoj sam tego wymaga...
A jój trosk chmura wciąż czoło zacienia,
Jak gdyby przeszłość powstawała naga
Przed nią, straszliwym wyrzutem sumienia.

Hrabia Ulrych.

Tak, tam wspomnienia jakoweś przed światem
Ukryte... A on?

Zacharyasz.

On wciąż cierpi na tém;
Znać, chociaż jak wiesz, ten człowiek ze stali,
Że to jad, który mu wnętrzości pali.
Tym samym twarzy przyjmuje wyrazem
Tych, co powstają nań i co go bronią,
I tylko hojną wciąż rozrzuca dłonią
W około siebie złoto z wzdardą razem.

Hrabia Ulrych.

Czy tobie ufa?

Zacharyasz.

Jak widzisz, w swym domu
 Chętnie ugaszcza wszystkich; zawsze taka
 Rozrzutność; lecz z nas nie ufa nikomu.
 Tylko ma sługę jednego Polaka,
 Który z nim razem wszystkie przebył kraje
 I całą ufność jego mieć się zdaje.

Hrabia Ulrych.

Trzeba się także upewnić z tym sługą;
 Znajdzie się na to łatwo odpowiednia
 Przyczyna; to się zakończy niedługo.
 Na rozkaz tylko wyraźniejszy z Wiednia
 Czekam, i to mnie wstrzymuje jedynie.
 Może ten rozkaz przyjdzie nim noc minie
 Jeszcze dzisiejsza; wszystko już gotowe.
 Żołnierze moi rozpędzą tę tłuszcę;
 A jak go ujmę, przysięgam na głowę,
 Już go z rąk moich tak łatwo nie puszczę.
 Żegnam cię, wkrótce zobaczymy się znowu.

(Wychodzi.)

S C E N A IV.

Zacharyasz sam, potem **Anna**.

A więc gotowe sieci do połowu...
 Zważajmy pilnie co teraz w nie wpadnie,
 Bo liczne skarby tam kryją się na dnie.

Anna (wchodząc powoli z twarzą zadumaną).

Szukałam ciebie.

Zacharyasz.

O jakaż szczęśliwa
Gwiazda wzbudziła w pani to życzenie!

Anna.

Wiem ja, że przyjaźń twe serce ukrywa
Dla mnie, i dobre twoje chęci cenię
Jak zasłużyły; to zatem mnie skłania,
By żądać dzisiaj twego współdziałania.

Zacharyasz.

Rozkazuj, pani: wszystko, co zależy
Ode mnie, w twoje dziś oddaję ręce;
Na twe skinienie, przysięgam najszczerzej,
Majątek, zdrowie i życie poświęcę.

Anna (ze smutnym uśmiechem).

O! bądź spokojny! nie wymagam tyle
Od ciebie; inne są moje życzenia.
Wiem ja, że wszystkie twoje wolne chwile
Poświęcasz pilnie szukaniu kamienia
Mędrców.

Zacharyasz.

Tak.... prawda.... trwonię je daremnie
W pracy, gdy inni szczęśliwsi ode mnie

Szybko tych nauk przebiegłszy granice,
Już odnaleźli wielką tajemnicę.

Anna.

Otoż wy mędracy znać pewno musicie,
Bo z tego także prace wasze słyną,
Płyną tak silne, żeby ich użycie
Gwałtownej śmierci stało się przyczyną.

Zacharyasz (patrząc na nią ze zdziwieniem).

Nie przeczę temu, że nasi mistrzowie
Znają lekarstwa rozmaitej siły,
I takie, które przywracają zdrowie,
I takie, które wiodą do mogiły.

Anna.

Lecz czy trucizna jest tak doskonała,
Coby jak piorun szybko zabijała?

Zacharyasz (z coraz większym zdziwieniem).

Jest.

Anna.

I jój skutek jest natychmiastowy?

Zacharyasz.

Tak.

Anna.

Jabym taką mieć od ciebie rada.

Zacharyasz.

Lecz po cóż?

Anna.

Przyjaźń prawdziwa nie bada,
Dowieść jój trzeba czynami nie słowy.

Zacharyasz.

Bo ja się lękam....

Anna.

Nie lękaj się wcale:
Dar, szczerą dla mnie użyczony dłonią,
Zyska ci wdzięczność moją całą....

Zacharyasz.

Ale....

Anna.

Chcesz lub nie.... wybierz prędko.

Zacharyasz.

Idę po nią.

(Odchodząc mówi sam do siebie:)

Co jój u licha z trucizny przyjść może?...

Ha... dyabeł nie śpi.

S C E N A V.

Anna, potem **Zacharyasz**.

Anna (sama rzucając się na kolana).

Wybacz, wielki Boże!

Wybacz cierpieniom, co ducha zwątıliły;
Zbyt długo walczę, a walczę nad siły.

(Pozostaje tak przez chwilę; po chwili, słysząc nadchodzącego Zacharyasza, powstaje z kolan.)

Zacharyasz (wchodząc z fiaszeczką w rękę).

Otoż jest.

Anna (porywając fiaszeczkę).

Dawaj!

Zacharyasz.

Ależ jeszcze, pani..

Anna (patrząc na niego z ironicznym uśmiechem).

Lękasz się grzechem obarczyć twą duszę?
Nie bój się, ten czyn nie stanie się dla niéj
Ciężarem.... Teraz sama zostać muszę:
Odejdź!

Zacharyasz (spogląda na nią przez chwilę zakłopotany,
potém powoli odchodząc, mówi sam do siebie).

Na co jéj trucizna, u licha?

No... trzeba o tém uprzedzić Ulrycha.

S C E N A VI.

Anna (sama).

(Przypatruje się przez chwilę płynowi zawartemu we flaszcze.)

Mam ją tu w ręku; jedno mgnienie oka,
 I już śmierć... stać się nie mogło inaczej...
 Tu... w sercu krwawi rana zbyt głęboka...
 Bóg miłosierny nieszczęsnej wybaczy...
 Śmierć!... tak... jedyna dla cierpiących brama
 Ucieczki.

(Spostrzegając wchodzącego Sędziwoja:)

Boże!

(Ukrywa szybko flaszeczkę.)

S C E N A VII.

Anna, Sędziwoj.**Sędziwoj** (wchodząc).

Co tu robisz sama

O téj godzinie?

Anna.

Marzę... serce moje
 Ku samotności najchętniej się skłania,
 Męczą mnie wszystkie zbyt wielkie zebrania,
 Gwaru nie lubię, a zgiełku się boję.

Sędziwoj.

Więc cię tak młodą świat dręczy i nudzi,
I cóż w nim widzisz tak wstętnego?

Anna.

Ludzi.

Sędziwoj.

Jakto?

Anna.

Tak, ludzi. Próżnobyć się chciała
Do nich przekonać. Wierzaj mi, są chwile,
W których się darmo sama z sobą siłę,
By myśl tę strącić. Wówczas ludzkość cała,
Lub ta przynajmniej częśćka, co przedemną
Życie tu swoje roztacza z kolei,
Wydaje mi się tak dziwnie nikczemną,
Tak pozbawioną poprawy nadziei,
Tak w złém wytrwałą a w podłościach twardą,
Że wzrok odwracam ze zgrozą i wzgardą.

Sędziwoj.

Może w tych słowach jest część prawdy wielka;
Ale nie żądać nam więcej od świata,
Niż on dać zdolny. Mądrość ludzka wszelka
Na tém zależy. Gdy dusza bogata
W skarby młodości, co nadzieją mami,
Świat nam jest rajem, ludzie aniołami;

Ale gdy przyjdzie rozbudzeń posucha,
 Gdy zbledną blaski téj gwiazdy przewodniój,
 Świat dla naszego upadłego ducha
 Będzie siedliskiem skażenia i zbrodni.
 Ja ludzi w barwy kwieciste nie zdobiej,
 Ani ich więcéj niżli warci ceniej;
 Ale wierzaj mi, to świata skażenie
 Nie wkoło ciebie, Anno... ale w tobie.

Anna.

Więc tyś rzekł... Zgasły nadzieja i wiara
 We mnie, jak liście, które wichur suszy
 Jesienny; czucie zamarło w méj duszy.
 Ty rzekłeś... prawda, jam już sercem stara,
 I mój stróż anioł zwątpiwszy w obronie,
 Uciekł zdaleka załamawszy dłonie.
 Ale któż winien, odpowiedz mi na to,
 Że mi dzień każdy ołowiem się wlecze?
 Że każda chwila jest nadziei stratą?
 Któż temu winien, powiedz mi, człowiecze?
 Pomnij, choć chwile te od nas daleko,
 Jak ten, com duszą była mu oddana:
 Kazał ci przysiędź w obec Niebios Pana,
 Że będziesz dla mnie wsparciem i opieką,
 Że mi od złości świata będziesz zbroją, —
 Jakżeś wypełnił tę przysięgę twoją?
 Prawda, z mą dłonią złączyłeś twe dłonie
 I oszczędziłeś mi żywot tułaczy,
 Bo tak musiałeś, bo może inaczej

Nie otrzymałbyś spadku po Setonie;
 Prawda, usilność twą łożyłeś całą,
 By mi nagrodzić ubóstwo dawniejsze;
 Każda myśl moja, żądanie najmniejsze,
 Wszystko to w mgnieniu oka się stawało;
 Co tylko bogactw zdobyć można siłą,
 Wszystkiego tego dałeś mi do syta;
 Złotem odziana, perłami okryta,
 Czegoż mi więcej żądać można było?
 Lecz tyś otoczył mnie skarbami temi,
 By bicie serca zgasić w piersiach u mnie,
 By myśli moje przykuwszy do ziemi,
 Ducha w tej złotej ukołysać trumnie.

Sędziwoj.

Jakto?

Anna.

Nie żądam ja miłości twojej,
 Moja już razem z Setonem zamarła;
 Lecz czemuś sięgnął do nauk podwoi
 Ręką olbrzyma, gdy masz serce karła?
 Ty, co kłamaną puszysz się ozdoba,
 Naucz się czytać w twém własnym sumieniu;
 Powiedz: czém jesteś przy tym wielkim cieniu,
 Co w mgłę przeszłości wznosi się za tobą?
 Gdzież ten źródł, który z serc przeczystych tryska?
 Gdzież wiara w wyższe dążenia człowiecze?
 Gdy on budował, ty siejesz zwaliska,
 On wzniecał życie, z tobą śmierć się wlecze.

Obojętnością, która duszę ziębi,
 Tyś mi zdarł złudzeń mych wianek uroczy,
 I całą podłość z serca ludzi głębi,
 Całą nikczemność rzuciłeś mi w oczy.
 Pod wpływem twego szatańskiego tchnienia,
 Gdy wszystko wkoło płaszczy się nikczemnie,
 Zeschła ma dusza, zwiędły me marzenia,—
 I ty się pytasz, czemu ten chłód we mnie?

Sędziwoj.

Kobieto, nie wiń, lecz spójrz w duszę moją,
 W te myśli, co się o ziemię strzaskały,
 W te widma, co mi noce niepokoją,
 W tę niemoc, co mię przykuwa do skały
 Zwątpień. O! i mnie, w noc ciemną i głuchą,
 Rozpaczy słowa szatan szeptał w ucho;
 I jam przeklinał ludzkość znikczemniałą,
 I ja cierpiałem, i we mnie skonało
 Serce. Czyż sądzisz, że na chwilę jedną
 Ja sam wierzyłem czczéj wielkości mojej?
 Czemuż się duch mój ciągle niepokoi,
 I oczy gasną, i policzki bledną?
 Czemu? bo z każdą chwilą, co się zbliża,
 Upada częśćka mojego istnienia;
 Czuję przed sobą otchłań zatracenia,
 A nie śmiem jeszcze upaść do stóp krzyża;
 Nie śmiem, choć męczarń przygniata mnie brzemię,
 Złożyć méj siły i runąć na ziemię.
 Jam cię nie kochał; w życiu mojem całym,
 W tych dniach tak długich, co nudą się wleką,

Jedną przezrystą duszę ukochałem,
 A ona teraz odemnie daleko!
 Ten, co mi zgubę zgotował swym darem,
 Z moimi dłońmi złączył dłonie twoje,
 I razem życie wlekliśmy oboje:
 Ja tobie męką... ty dla mnie ciężarem!..
 Przeklęta!... stokroć przeklęta ta siła,
 Co mnie tułaczem pchnęła w świat daleki,
 Co mnie na wieki z tobą połączyła
 I razem cierpieć kazała na wieki!...

Anna.

O! nie przeklinaj!... Bóg tve więzy kruszy,
 I dziś zaporę ostatnią pogrzebie.
 Patrz... ja, kobieta, w głębi mojej duszy
 Więcej dziś znajdę odwagi od ciebie.
 Wyrwij się, wyrwij z téj nieszczęsnej matni,
 W którą cię własne zwikłało sumienie!
 Dziś ci Bóg zesłał dzień walki ostatni,
 A mnie ostatnie policzył cierpienia.

(Dobywa flaszcę, wypija z niej płyn i pada bez życia.)

Sędziwoj (rzuca się, by ją ratować; lecz poznawszy, że już martwa,
 opuszcza ręce i spogląda przed siebie chwilę w osłupieniu).

Tak... każda chwila ciężar winy mnoży,
 Runęła przeszłość... a przyszłość zagraża...
 To palec Boży!...

S C E N A VIII.

Ciż sami, hrabia Ulrych, Zacharyasz, straż.

Hrabia Ulrych (uderzając Sędziwoja srebrną laską po ramieniu).

Z rozkazu cesarza

Jesteś mym więźniem.

Sędziwoj (spogląda jeszcze raz na trupa Anny, potem odwraca się spokojnie ku żołnierzom, którzy mu na ręce wkładają kajdany).

Tak, to palec Boży!...

A K T V.

(Więzienie. W głębi drzwi otwarte. Przed drzwiami stoi Wielki Sędzia cesarstwa z wyrokiem w ręku. Straż z lewój i z prawój strony. Dwaj Heroldowie przybrani w herby cesarstwa. Sędziwoj stoi oparty o mur z założonemi rękami.)

SCENA I.

Wielki Sędzia, Heroldowie, Sędziwoj.

Herold pierwszy.

Oto jest wyrok cesarskiego sądu!

Wielki Sędzia (czyta).

My Rudolf Drugi, Habsburg, z łaski Bożej
Cesarz Zachodu, pan stałego lądu
I wysp rozlicznych, i różnych przestworzy
Wszechświata, dzisiaj stanowim niniejszém:
Jako Sędziwoj Michał, szlachcic, rodem
Z Krakowa, z Polski, osiadły w tutejszém
Mieście, oskarżon został za powodem
Doktora nauk z Hagi Zacharyasza,
O różne sprawy szatańskie i czary,

I że nadużył naszój dobrój wiary
 W dwakroć. Najwyższa przeto wola Nasza
 Ustanowiła dzisiaj i stanowi
 Wszem ludziom w obec: iż Sędziwojowi
 Pomienionemu, co się niecnie brata
 Z dyablem, na święte ustawy nieczuły,
 Będą odjęte prawa i tytuły
 Wszelkie, na rynku Pragi ręką kata,
 I aby bieg swój sprawiedliwość miała,
 Jako gwałcący prawa narodowe
 I zarazony jadem piekiel trądu,
 Sędziwoj będzie powieszon za głowę.
 Tak ma być. Ludziom pokój, Bogu chwała.

Herold drugi.

Oto jest wyrok cesarskiego sądu!

(Wychodzą wszyscy.)

SCENA II.

Sędziwoj (sam).

Śpieszno im było z wymierzeniem kary.

(Powtarza:)

„Sędziwoj Michał skazany za czary.”

Za czary... pomnę, dzieckiem byłem wtedy,

W mojego ojca wiosce po nad Sanem,

Szedł stary Cygan wybladły od biedy,

W lichém odzieniu przez psy poszarpaném.

A za nim chłopcy ze wsi, całą zgrają
 Klnąc go i grożąc mu ciągle, gonili.
 Widząc, że próżno uchronić się sili,
 A oni błotem na niego rzucają,
 Spytałem: „Zkądże taka niesłychana
 Zawziętość wasza na tego Cygana?”
 „To jest czarownik—jeden z nich odpowie,—
 To czysty dyabeł, on w Boga nie wierzy.
 Nam zawsze nasi mówili ojcowie,
 Że bić kamieniami Cygana należy.”
 I tak wciąż wrzaski podnosząc ogromne,
 Gonili za nim z zawziętością całą...
 A ja zostałem... tylko jeszcze pomnę,
 Coś w moich piersiach jakby się zerwało.
 Za czary... zawsze ta formuła znana...
 Hej! dalej chłopcy, mordujcie Cygana!!...
 O, gdybym się mógł modlić!...

SCENA III.

Sędziwoj, Jan.

Jan (wpadając szybko, rzuca się Sędziwojowi do kolan).

Drogi panie!

Sędziwoj.

To ty!...

Jan (powstając).

Trzymali mnie aż do tej chwili,

Dziś mię dopiero na wolność puścili
I pozwolili przyjść na pożegnanie
Tutaj.

Sędziwoj.

I ciebie także, wierny sługo,
Koło nieszczęścia mojego wplątało.

J a n.

E... o to mniejsza, bo wychodzę cało,
I tak mnie nawet nie trzymali długo.
Jednak gdybym mógł spłacić im wet za wet,
Tożbym im łaźnię wyprawił wzorową!
Rabusie Niemcy, zabrali mi nawet,
Na domiar złego, złotą puszkę ową.

Sędziwoj.

Zabrali?

J a n.

A ten... jak się tam nazywa...
Zacharyasz, rządził tém złodziejstwem całym.
O! gdyby przyszła ta chwila szczęśliwa,
Żebym go dostał, jak go już trzymałem
W ręku w Krakowie...

Sędziwoj.

Mój ty biedny Janie,
Puść im to wszystko w zmiłowanie Boże,
I niech ta puszką już przy nich zostanie,
Ona mi teraz przydać się nie może.

J a n.

Toż to mnie właśnie dogryza najgorzej,
 Że może pan tu i głową nałoży.
 Żeby ich szatan mógł wziąć w swoje kleszcze
 Z tém ich sędziowstwem piekłu zaprzedanem!...
 A dyć pamiętam, wszak niedawno jeszcze,
 Jak się to wszystko płaszczyło przed panem.

Sędziwoj.

Mój biedny Janie! na to nic nie wskóra:
 To już ich taką niemiecką natura.

Jan (jakby przypominając sobie nagle).

A czy pan już wie, co się tutaj zdarza
 Nowego?

Sędziwoj.

Nie wiem.

J a n.

Wieść zupełnie nowa:
 Oto podobno przybyło z Krakowa
 Wielkie poselstwo polskie do cesarza.

Sędziwoj.

Czyś ty oszalał?

J a n.

O! nie, panie, wcale,—
 Choć mogłem, taką przebyłem już próbę.
 O tém poselstwie zaś wiem doskonale,
 Bo przed godziną widziałem Skołubę.

Sędziwoj.

Jakto? on tutaj?

J a n.

A jest, proszę pana,
Toćże na własne go oczy widziałem,
A nawet o tém nieszczęściu mu całem
Mówilem; ale on wiedział od rana
Już o tém...

Sędziwoj.

Więcej nie mówił o nikim?

J a n.

Owszem — choć zawsze to kawał Judasza,
Nie lubi pana, — on z panem miecznikiem
Przybył i panna także...

Sędziwoj.

Kto?

J a n.

A nasza

Panna Jadwiga z nimi przyjechała,
I w dobrém zdrowiu wszyscy, Bogu chwała.

Sędziwoj.

Są tu... Bóg chciał tak...

(Zamyśla się.)

J a n.

Wie pan, co przez głowę

Mi przeszło? Oto, czyby to nie można
Pana miecznika, niby to z ostrożną
Poprosić?...

(Sędziwoj milczy.)

Bo to te fochy domowe
To swoją drogą, ale krew nie woda;
A jak wiadomo, księżę wojewoda
Poseł, ma w stryju pańskim ufność całą.
Możeby się co tam odrobić dało?
No... jak pan sądzi?...

(Sędziwoj milczy).

I co pytać o to?

Pójdę... toć za to nie będę obity.
Dziw, by senator Rzeczypospolitój
Nie miał poradzić z taką tam hołotą
Niemiecką... pójdę...

Sędziwoj (który nie słyszał jego mowy).

Już odchodzisz?

Jan (zatrzymując się).

Przecię

Pan wie, toż panu mówiłem co zrobię:
Wrócę niedługo.

Sędziwoj.

Ano, to idź sobie

Z Bogiem.

(Wychodzi Jan.)

SCENA IV.

Sędziwoj (sam).

Prorok rzekł: „I sami będziecie
 Pukać już do drzwi, a wam nie otworzą,
 I wždy będziecie wzywać łaskę Bożą,
 A łaska Boża od was się uchyli...”
 Boże! czyż ja już dożyłem téj chwili!

(Siada zakrywając sobie twarz rękoma.)

SCENA V.

Jadwiga, Sędziwoj.**Jadwiga** (wchodząc).

Michale!

(Sędziwoj porywa się nagle z miejsca.)

To ja!

Sędziwoj.

Miłosierny Panie!

To sen... Jam pytał... Bóg odpowiedź zsyła!

Ona.....

Jadwiga.

Michale, jam tutaj przybyła
 Pocieszać ciebie.

Sędziwoj.

Cokolwiek się stanie,

Błogosławionaś, kobieto wspianiała,
Coś mi w nieszczęściu winy zapomniała.

Jadwiga.

Słuchaj, nadzieję Bóg jeszcze nadarza:
Poseł nasz, ojca folgując błaganiu,
Wydania ciebie żądał od cesarza.
Dziś więc na walném ich sądów zebraniu
Rzecz się rozstrzygnie.

Sędziwoj.

Już rąk ludzkich dzieło
Dawno tę moją sprawę rozstrzygnęło.

Jadwiga.

Jakto? ty wątpisz? ty w słabości ducha
Wahasz się, ręce podawszy w okowy?
Czyliż tak wątła, czyż tak była krucha
Ta wiara, z którą w świat dążyłeś nowy?

Sędziwoj.

Płochych się złudzeń bawiłem widziadłem;
Bóg mnie opuścił i na ziemię padłem.

Jadwiga.

Boś dufał w mądrość... Pamiętasz te chwile,
Gdy wolny myśli, co dziś serce trwożą,
Pyszny w twych żądzach, zaufany w sile,
Lot twój mierzyłeś wszechmocnością Bożą.
Mądrość, mówiłeś, najwyższą potrzebą,

Mądrość, nie miłość człeka wznosi w niebo.
 Jam ci nie chciała przeczyć, ale w głębi
 Duszy błagałam modłami kornemi
 Boga, co słabych wspiera, silnych kruszy,
 By ci oszczędził prób ciężkich na ziemi.
 Lecz serce moje miało zająć żalobą
 I Pan zaciężył swą ręką nad tobą.
 Módl się... o! nigdy późno do pokuty.
 Gdy cię już dawna twa pycha odstrasza,
 Gdy serce dręczą sumienia wyrzuty,
 Módl się... jedyna to ucieczka nasza.

Sędziwoj.

Chciałbym modlitwą koić serca trwożę...
 Chciałbym się modlić... nie umiem... nie mogę...

Jadwiga.

O! nie mów tego, bo łask Bożych zdroje
 Są nieprzebrane, miłość nieprzebraną;
 To szatan pychy wsiąkł w serce twoje,
 Ukrywa tobie prawdę nieskalaną,
 Ale już ona twą duszę przenika,
 Już miękczy serce w grzechu zatwardziałe...
 Módl się... bo jedna łza szczerza grzesznika
 Może odkupić życie błędu całe;
 Już łaski Jego błyskają ci zorze...

(Z gestem rozkazującym:)

Ukorz się, pyszny!...

Sędziwoj (padając na kolana).
 Wszechmogący Boże!
 Bądź mi miłościw!

SCENA VI i OSTATNIA.

Ciż sami, Jan.

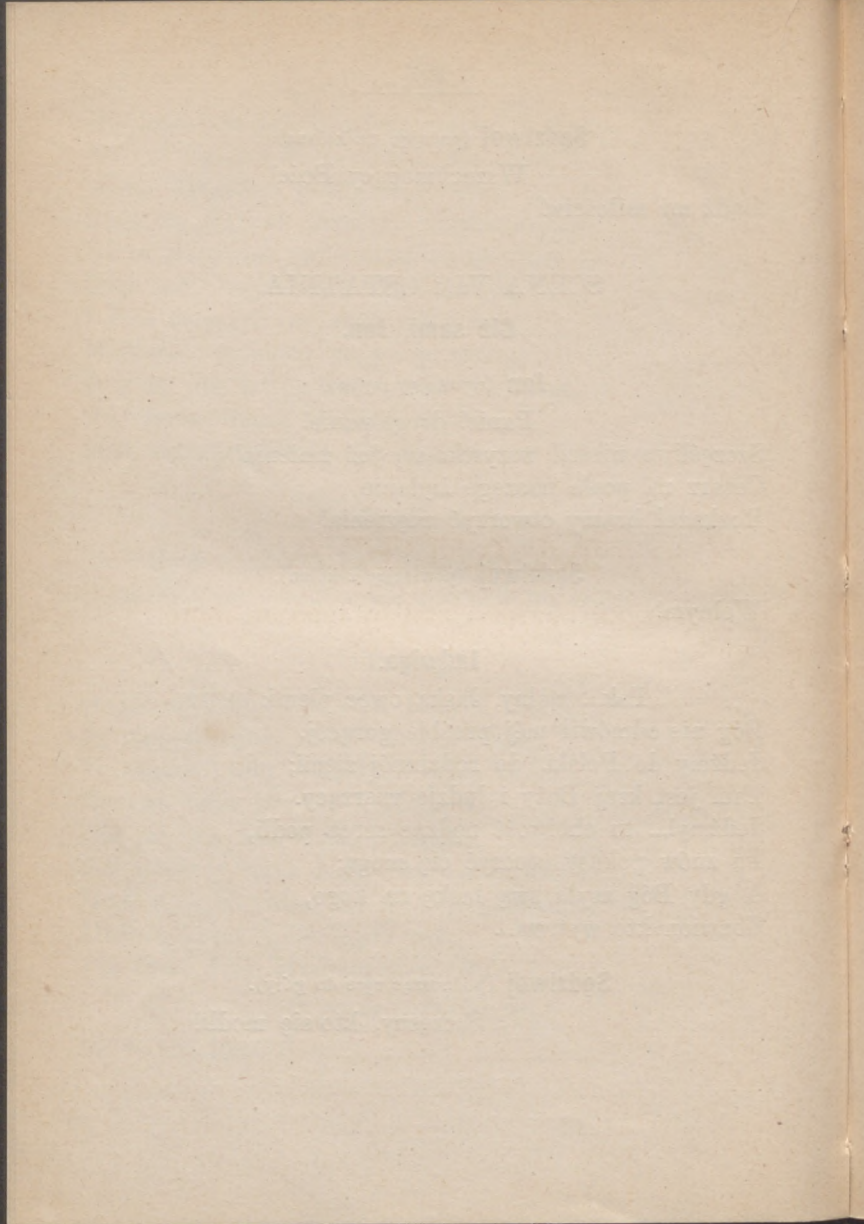
Jan (wpadając szybko).
 Panie! drogi panie!
 Szczęśliwe wieści! wszystko się już zmienia!
 Cesarz na posła naszego żądanie
 Rozkazał bramy otworzyć więzienia!

Sędziwoj (powstając z kolan).
 Wolnym!

Jadwiga.

Tak... wolny, łaska owoc plemi:
 Bóg nie odmówił méj prośbie gorącej.
 Jedźmy do Polski, do rodzinnej ziemi;
 Tam jest kraj Boży i ludzie wierzący.
 Jedźmy!... tu chciwość nędzne serca podli,
 Tu znów pokusy otoczyć cię mogą;
 A gdy Bóg zsyła swą łaskę na kogo,
 Zbawion kto wytrwa...

Sędziwoj (podnosząc ręce do góry).
 Szczęsny, kto się modli!



MATKA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE.

O S O B Y.

Pani ANZELMOWA.	HELENA.
Pań JAN.	KAROL.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

SCENA I.

(Mały pokoik, ubogo, ale czysto umeblowany. Z przodu stolik, na którym książki, kilka kajetów, kałamarz i pióro; na krzeselku porzucona niedokończona suknia. Drzwi w głębi—drzwi z prawej strony. Z lewej okno, na niem doniczki z kwiatami. W kącie z lewej strony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z palącą się przed nim lampką).

Helena, Karol.

(Siedzą przy stoliku. Karol trzyma książkę w ręku i dyktuje, Helena pisze).

Karol (dyktując).

Wówczas to nowa epoka się wszczyna
W Niemczech—w zakonie bowiem Augustyna
Świętego, powstał mnich z nazwiskiem Lutra.

Helena (powtarzając).

Lutra...

Karol.

Reforma datuje od niego...

Helena (składając pióro na stole)

No, to reformę odłożymy do jutra...

Karol (zdziwiony).

Już?

Helena

(wskazując z uśmiechem na zegar, wiszący na ścianie).

Dwie godziny.

Karol.

Jak to, chwile biega!

(Wstaje z krzesła.)

Helena

(powstając również i porządkując na stole).

Tak, biega szybko; więc żeby u celu
Stanąć, pilnujmy, by nas nie prześcigły.

Teraz, kochany mój nauczycielu,
Trzeba powrócić od książek do igły.

(Bierze robotę z krzesła, siada i zabiera się do szycia.)

Robota czeka... a pilna...

Karol.

To znaczy,

Że mam już odejść?... Czy tak?

Helena (uśmiechając się).

Nieinaczéj.

Karol (kłaniając się nízko).

Jakiż jest powód, że mnie wyższa władza
Oddala?

Helena.

Z tego tajemnic nie robię...

Raz, że rozmowa robocie przeszkadza;

Powtóre...

Karol.

I cóż?

Helena.

Powtóre... tak sobie.

Karol.

Taką wymówką przyjaciół nie płacą:

Mam odejść, niech wiem dla czego i za co?

Helena.

No!... wreszcie myśl mą przed panem wyjawię,

By słowa moje innego nie brały

Znaczenia. Rok już pan tu bywasz prawie:

Nie prawdaż?

Karol.

Tak jest, kocham cię rok cały.

Helena.

Czy to wymówka?

Karol (biorąc ją za rękę).

O! nie... Bóg mi świadkiem,
Ten rok jest tylko na życie zadatkem!

Helena

(cofnawszy rękę, spuszcza oczy na robotę, i przez ten cały
czas, co mówi dalej, nie patrzy już wcale na Karola).

Wierzę i umiem to cenić; lecz przecię
Wiadome panu położenie moje.
Jestem sierota, sama jedna w świecie,
Na trudy życia rzucona i boje;
A ci, co śledzą jaką pójdę drogą,
Wesprzeć "nie zechcą, lecz potępić mogą.
Pan bywasz u mnie, i wiem to najlepiej,
Jakie szlachetne i prawe są cele
Twoje... już teraz winnam panu wiele,
Bo pomoc twoja umacnia i krzepi
Usiłowania ubogiej dziewczyny,
By brak zastąpić, który nie z jój winy
Powstał. Wiem także, że nie nadaremno
Stałeś się dla mnie nauki szafarzem,
Bo chcesz na zawsze połączyć się ze mną
I słowo dane stwierdzić przed ołtarzem...

Wiem to i cenić umiem doskonale...
Ale... nieszczęście, że jest zawsze ale...

Karol.

Ale cóż?

Helena (trochę zafrasowana).

Oto... że może inaczej
Świat sobie naszą znajomość tłómaczy...
Twe odwiedziny mogą zrodzić nieraz
Złe przypuszczenia.

Karol.

Już rozumiem teraz!...
Zwątpienie, które twe serce ubodło,
Wszystkie obawy...

(Pokazując na drzwi w prawej kulisie:)

ztaąd wzięły swe źródło...

Teraz ta sprawa wyjaśnia się cała...
Od téj dla mego szczęścia zgubnej chwili,
W której ta stara tutaj zamieszkała,
Tyś się zmieniła dla mnie!...

Helena (podnosząc głowę).

Gniew cię myli...

Niewinnej robisz wyrzuty daremnie;
Ona mi rzadko o tobie wspomina,
A zresztą znając cię tylko przezemnie,
Umie cię cenić...

Karol.

Więc jakaż przyczyna
 Sprawia, że tutaj przybywając co dnia,
 Nie mogę jój się dopatrzeć oblicza?
 Jakaż ją skrywa maska tajemnicza,
 Że bóztw indyjskich siostra niewyrodna
 Siedzi w zamknięciu ponura i sama,
 Jak tybetański jakiś Dalaj-Lama?

Helena.

Panie Karolu! według mego zdania,
 Na siwe włosy żarty nie przystoją...
 Ta, która matką mogłaby być twoją,
 Godna nie żartów, lecz poszanowania...
 U starców częściej boleść niż wesele,
 W sercu wspomnienie lat ubiegłych budzi;
 Może na świecie przecierpiała wiele,
 Więc teraz stroni od świata i ludzi.

Karol.

I nikt nie bywa tu u niój?

Helena.

Nikt prawie,
 Tylko pan jakiś podeszły już wiekiem,
 Co jest z nią nawet w krewieństwie dalekiem,
 Bo ona mieszka niedawno w Warszawie,
 Od świata stroni i rzadko wesola,
 Ale ubogich hojną wspiera dłonią...

Zresztą wychodzi tylko do kościoła,
Bo jest nabożna bardzo.

Karol.

Mniejsza o nią;
Chcesz, to ją nawet będę kochał srodze,
Byle mi tylko nie stawała w drodze.
Lecz jakiż powód, chciój mi wyznać szczerze,
Bo nie wiesz, ile mi to sprawia bólu,
Żeś ty jest dla mnie zachwiana w twój wierze?

Helena.

Jam nie zmieniona dla ciebie, Karolu;
Ale sam powiedz, miejże sam na względzie,
Jakże fałszywe położenie nasze!
Czyż bez powodu przyszłością się straszę?
Jakiż miłości naszej koniec będzie?
Wierzyłam mocno, mogłam ufać dawniej,
Że ślubny pierścień związek nasz uprawni;
Lecz teraz...

Karol.

Teraz... i cóż się zmieniło?
Czyliż ja ciebie z mniejszą kocham siłą?
Czyż zaufania twego nadużywszy,
Zgrzeszyłem przeciw miłości najtkliwszej?
O! nie... Przyzywam serce twoje w świadki,
Że...

Helena (przerywając mu).

Dawnoś listu nie dostał od matki?

Karol (zasepiając się).

Już dwa miesiące...

Helena.

A pisałeś do niéj
O naszym wspólném uczuciu?... w jéj dłoni
Składając przeszłość obojga?

Karol (zapalając się).

Pisałem,
Żem cię pokochał sercem mojem całym,
Żeś ty jest słońcem ozywczém méj duszy,
Żeś mi jest wszystkiém, że jeśli ku tobie
Moja gorąca prośba ją nie wzruszy,
To życie moje pograży w żałobie
I mnie na zawsze nieszczęsnym uczyni,
Bo mi bez ciebie świat gorzej pustyni!

Helena.

A ona milczy?

Karol (spuszczając głowę na piersi).

Milczy... ani słowa...

Helena.

Więc chyba twoja matka zbyt surowa?

Karol.

Co?... moja matka?... to anioł dobroci!...
To łaska Niebios drogocenna, rzadka!...

To miłość, która dni me szczęściem złoci...
 Bo czyli znasz ty słodki wyraz... matka?
 Ty, co na drodze twojego żywota
 Zostałaś sama bez matki, sierota?
 Czy znasz te skarby, słodkie Niebios dary,
 Któremi dziecku dni znaczy promienne,
 To poświęcenie bez granic, bez miary,
 I miłość czystą jak niebo wiosenne,
 Troskliwość, życia okupioną ceną,
 Co nas w zaklętym szczęścia trzyma kole?
 O, gdybyś znała co matka!... Heleno,
 Troskaby na twém nie powstała czole!

Helena (ocierając łzę).

Więc czemuż milczy?

Karol.

Sam się temu dziwię...

Bo tak na list jój czekam niecierpliwie,
 Że...

(Spoglądając na zegarek:)

A to właśnie godzina pocztowa...
 Tyle na próżnym czekaniu strawiwszy,
 Może nareszcie dziś będę szczęśliwszy?

(Wziąwszy kapelusz i laskę:)

Biegnę!... żegnam cię!

(Wychodzi).

Helena

(opuszczywszy robotę na kolana, popatrzała na drzwi, któremi Karol wyszedł, i oparłszy machinalnie głowę na dłoń, mówi ze smutkiem).

Biędnaż moja głowa!

SCENA II.

Helena, pani Anzelmowa.

Pani Anzelmowa (wychodząc z drzwi z prawej).

Był tu pan Karol?

Helena (nie zmieniając pozycyi).

Był.

Pani Anzelmowa.

Widać, że wieści,

Które ci przyniósł, smutnej były treści,
Bo jakoś tobie nachmurzyły czoła...

Helena.

Czyżem ja zwykle tak bardzo wesola?

(Bierze się napowrót do roboty.)

Pani Anzelmowa (siadając).

Tego nie mówię... ależ drogie dziecko,
Ty jesteś młodą, a młodość to przecie
Sam kwiat istnienia, to drogi dar Boski,
Niebo bez chmurki i życie bez troski...
To tylko starych czas dzierząc pod władzą,
Żelazną ręką do ziemi naciska,
To już nam tylko nadzieja nie błyska,
A coraz cięższe chmury się gromadzą...
Ale wam, w życiu przyszłość, to pociecha:
Zaledwie chwilkę niebo się zachmurzy,

Przeminie chwilka, i znów się uśmiecha
Radość z oblicza, jak słońce po burzy...

Helena.

Jam młoda w lata, ale sercem stara
I doświadczeniem...

Pani Anzelmowa.

O! nie bluźnij, dziecię!...

Serce to wiecznie owa jest ofiara,
Co wy na ołtarz miłości kładzicie...
A gdy się wkoło płomień rozżarzą,
Gdy niezwykajna boleść przejmie ciało,
Wówczas na ziemię upadacie twarzą,
Wołając: „Serce nam w piersiach zgorzało!”...
Lecz jakże mylne to wasze wołanie!...
Bo niech po nocy rozpromienią zorze,
Ono jak Feniks z popiołów powstanie,
I silniej jeszcze niżli dawniej może
Zatętni w piersiach!... To jest starość wasza.
Ona nie ziębi, ni ducha przygasza,
A tylko boli czasami...

Helena.

Lecz boli!...

Pani Anzelmowa.

Trzeba do Nieba stosować się woli...
Ono wie jakie naznacza nam próby...

(Po chwili:)

I cóż tak złego doniósł ci twój luby?

Helena.

Listu od matki nie ma.

Pani Anzelmowa (uśmiechając się).

Jako żywo!...

I z tego zaraz nowiny trwożące?
List jeden zalegl!... wielkie, wielkie dziwo!
Wszak zalegają tych listów tysiące,
Które się gdzieś tam pogubiły w massie,
A potem każdy przyjdzie w swoim czasie,
Ale nikt się tém nie zamartwia srodze;
Może jest chora, a może gdzie w drodze,
A może zgoła pisać się nie chciało...

Helena (napół z płaczem).

Nie... ja to duszą przeczuwam zbolałą...
Ona naszemu przeciwna związkowi,
Bom jest uboga...

SCENA III.

Helena, pani Anzelmowa, pan Jan.

Pan Jan (który wszedł na ostatnie słowa Heleny).

I cóż tam znów mówi

Moja aspanna? Ot znowu!... uboga!...
A to, mociumdziu, obraza jest Boga!...
Ot co!... uboga!... A czy to się godzi?
Co to za czasy!... Wstydźcie się wy młodzi!
Niby świat skrzynia, sparta na wrzeciądze,
Do której jeden jeno klucz... pieniądze!

Helena.

Ale ja chciałam...

Pan Jan (przerywając).

Co chciała aspanna,
Mnie nie do tego! słyszałem... to dosyć!...
Wam tylko czekać, tak, z gębą, i prosić,
Aż spadnie na was z niebios Boża mąka.
Co to uboga, mociumdziu?! A co to?
Kto ma, mociumdziu, takie lata młode
I taki buziak, i taką urodę,
To mu, mociumdziu, nie pytać o złoto,
Bo ono przyjdzie kiedyś samo z laty!
Człek zdrów i wesół, to zawsze bogaty.

Helena.

Ale ja tego nie mówiłam wcale,
Tylko...

Pan Jan.

Ot znowu!... słyszę doskonale
Jeszcze; mnie w uszy nie potrzeba waty.

Pani Anzelmowa.

Bo też jegomość wpadłeś na nią z góry.

Pan Jan.

Tylko jój nie broń aspani, za katy!...
Już to, mociumdziu, ja takiój natury,
Że nigdy prawdy nie ukryję w sobie,

Tylko, mociumdziu, hałas narobię...
 A to téż waszą babską jest naturą:
 Jedna na drugą nakrzyczy, natrzęsie,
 A niech mężczyzna zaczepi z was którą,
 To wraz trzymacie z sobą, gdyby gęsie...
 Ot i aspani zaraz, huzia za nią!...

Helena

(uśmiechając się składa robotę i wstaje z krzesła).

Niechże jegomość rozprawia się z panią,
 Bo ja z robotą śpieszę się do miasta...
 Na jegomości dość jedna niewiasta
 I ta da radę...

(Poszedłszy do szafy, otwiera ją i wyjąwszy z niej
 kapelusz i zarzutkę, ubiera się.)

Pan Jan.

Ot znów!... *terefere!*...

Aspanna nową nabrała manierę...
 A to, mociumdziu, niegrzecznie ogromnie,
 Gdy gość przychodzi, zabierać manatki
 I zmykać...

Helena.

Przecię jegomość nie do mnie
 Przychodzi, tylko do mojej sąsiadki...

Pan Jan.

A kto to mówił aspannie?

Helena.

Wiem dobrze.

Pan Jan.

No, kiedyś taka już mądra, to róbże
Jak chcesz, a proszę powrócić prędziutko,
Bo znów nafukam.

Helena

(kłaniając się z uśmiechem do pana Jana).

Będę bawić krótko.

(Wychodzi.)

SCENA IV.

Pani Anzelmowa, pan Jan.

Pani Anzelmowa.

Tój nieuwagi, mówiąc między nami,
Po panu bracie jam się nie spodziała.
Jak można było wchodzić temi drzwiami,
Żeby tu zastać Karola?... Bez mała
Kwadrans jak wyszedł...

Pan Jan.

Ot, jak się nazywa!...

Aspani także coś trzy po trzy plecie!...
Czy ja to nie wiem, jak to wy żyjecie?
Wszakże on tutaj z rana tylko bywa,
A kiedy sobie gruchają na wtóry,
To i aspani nie wylazisz z dziury...

A zresztą sam go widziałem zdaleka,
Jak biegł... Mociumdziu, nie jest on kaleka,
Zuch chłopak! Ale co tu słyhać daléj?

Pani Anzelmowa.

Ot dziś się jakoś oboje splakali,
Że nie ma listu...

Pan Jan.

A dni temu siła,
Jakeś aspani list ów wyprawiła?

Pani Anzelmowa.

Już będzie z tydzień, nie mogło być krócéj,
Nim tam na miejsce zajdzie, nim powróci...
Dziś go zapewne odbierze.

Pan Jan.

Masz tobie!

Chłopak się zmartwi, mociumdziu, porządnie,
Będzie harmider!...

Pani Anzelmowa.

Już ja wiem co robię...
Trzeba ostrożnie działać i rozsądnie...

Pan Jan.

Jać wiem, mociumdziu, że aspani głowa
Nie do pozłoty... to już dowiedzione...

Ale, mociumdziu, rzecz jakby gotowa,
 Trza działać na tę lub na ową stronę...
 Jabym tam czasu nie marnował wiele,
 Bo licha warte długie ceregiele.
 Chłopak się ciągle frasuje paskudnie...
 Dziewczyna także martwi się i chudnie,
 Gotowa zapaść... i ot będzie dzieło!...
 Dziś gdym wszedł, żal mi było sercem całym
 Jój łez... Tak mię to za serce chwytnęło,
 Że ją, mociumdziu, dla tego złąjałem.

Pani Anzelmowa.

Cóż na to zrobię? Ja sama się boję,
 Ale znasz trudne położenie moje.
 Wiesz, że gdy męża złożyłam już w grobie,
 Ten jeden z czterech pozostał mi synów;
 Żem go nad życie ukochała sobie,
 Stałam się stróżem słów jego i czynów,
 Że wszędzie, gdzie był zblizka czy zdaleka,
 Matczyna nad nim czuwała opieka.
 Wiesz jakie było moje zadziwienie,
 Gdy mnie list doszedł tak niespodziewany,
 Że się w Warszawie pokochał szalenie
 W jakiejś dziewczynie biednej i nieznanjej...
 I trudno... młody... nie mogłam go winić...
 Niedoświadczony... łatwo wpadnie w sidła...
 Lecz to być mogła intryga obrzydła.
 Długom myślała co należy czynić;
 Z listu, w którym on wymagał odemnie,
 Bym zamierzony ten związek uznała,

Widząc jak silném do niéj czuciem pała,
Poznałam, że się sprzeciwić daremnie,
Bo się me słowa jak o mur roztluką.
Trza było działać podstępem lub sztuką,
A więc nie zwlekam już dłużej i jadę
Do pana brata po pomoc i radę.
Uradziliśmy po wielkim namyśle,
Że jedna tylko właściwa jest droga:
Musiałam sama przenieść się do wroga,
By wszystkie jego kroki zbadać ściśle.
To się udało nam nad spodziewanie...
Najęłam sobie obok niéj mieszkanie
I przebywamy tu z sobą najzgodniej,
Będzie mnie więcej z jakie sześć tygodni.
Zdaje się, że to cnotliwa dziewczyna,
Ma dobre serce, duszę nieskażoną...
Ale cóż z tego?... drzę o mego syna,
Kiedy pomyślę, że ta ma być żoną
Jego... Bo mniejsza o śmieszne zwyczaje,
Które niesłusznie świat wiążą sierocie,
Że nie ma zasług herbowych w zapasie,
Że jest ubogą, a on liczy krocie...
Lecz choć się dobrą i cnotliwą zdaje,
Może to wszystko uluda zdradziecka?...
Czyż można poznać w takim krótkim czasie
Tę, której los się ma powierzyć dziecka?
Więc nie ufając we wszystkiém Helenie,
Jeszcze ostatnie robię wysilenie,
Jeszcze ostatnia otwarta mi brama...
Wszystko... tak... wszystkim poświęcić gotowa...

List napisałam, przekonam się sama,
 Jaki odniosą skutek moje słowa...
 Lecz przedewszystkiēm łasce ufam twojēj...
 Jeszcze rzecz jednā uczynić wypada...
 Ty się jēj oświadczyć!

Pan Jan (odsuwając się z krzesłem).

A toż znowu rada!...

Aspani widzę w głowie się już troi!

Pani Anzelmowa.

O! nie... nie!... owszem, ja najzdrowiej sędzę...
 Ona wie, że masz tytuł i pieniądze.
 Jeśli jēj serce nie uczucie rzewne
 Objęło, tylko myśli się jēj roją
 Wzniesienia, chętnie przyjmie rękę twoją,
 Przenosząc zawsze pewne nad niepewne.
 Wówczas twa rola najlepiej posłuży,
 Bo ją z prawdziwej wybadamy strony;
 Karol nie będzie tyle zaślepiony,
 By jēj pozwolił ludzić siebie dłużej,
 Wszystko odkryjem przed nim co się stało,
 A ty się cofniesz z placu boju z chwałą.
 Lecz jak nie przyjmie— a wyznać ci muszę,
 Że tego nawet spodziewam się po niēj,
 Wówczas mam jeden jeszcze sposób w dłoni,
 Tego użyję.

Pan Jan.

Ot, na moją duszę!

Aspani niby tylko białogłowa,
 A niech się jeno Metternich w kąć schowa,
 Czysty, mociumdziu, Machiavel w spódnicy,
 Będziez to dobrze?

Pani Anzelmowa.

Ręczę. Tylko śmiało!

Pan Jan.

Ot, ba!... Bywalec ja w téj okolicy...
 Czy to się jeden grochowiak dostało?
 Żeby człek ino chciał składać, jak która
 Grochowy wianek kładła mi na głowę,
 Byłaby spora półtoraczna fura.

Pani Anzelmowa.

Ciszéj już, ciszéj, bo słyszę bratową.
 Ja was zostawiam.

(Wychodzi drzwiami na prawo.)

SCENA V.

Pan Jan, Helena.

Helena (wchodzi drzwiami w głębi,
 i zdjawszy kapelusz i zarzutkę, chowa je do szafy).

Nic mi się nie wiedzie,
 Mego zarobku nie życzę nikomu.
 Przychodzisz z rana, każą po obiedzie;
 Przyjdz po obiedzie, nie ma państwa w domu.

Choćby jegomość miał znów złać srogo,
Powtórzę, że to bieda być ubogą...
Tak straszna bieda.

(Oglądając się:)

Gdzie moja sąsiada?

Pan Jan (trochę zafrasowany).

Wyszła.

Helena.

Więc tedy w jej nieobecności
Do mnie należy bawić jegomości.

Pan Jan.

Moja mospanno...

Helena (przystawiając krzesło).

Niech jegomość siada.

(Siadają. Helena z robotą w ręku:)

Niech się jegomość nie obraża o to,
Że ja rozmawiam zajęta robotą...
Bo trudno, trzeba zarabiać na życie.

Pan Jan.

Moja mospanno, znam to wyśmieniecie,
Wiem, że aspanny trudne położenie,
I szczerą pracę należycie cenię...

Helena.

O, tak!... w przyszłości bliższej, czy dalekiej,
Dla mnie zaparta jest nadziei brama...

Znikąd pomocy i znikąd opieki,
 I sama... ciągle, zawsze, wiecznie sama...
 Innym się szczęście radośnie uśmiecha,
 A mnie wciąż niżej nędze świata gniotą.
 W doli, niedoli, ty pracuj sieroto...
 Pracuj!... w tém twoje życie... i pociecha...

(Ociera łzę.)

Lecz po cóż skargą moją nieustanną
 Zatrudnić próżno i truć uszy cudze?
 Wiem, że tém wszystkiém jegomości nudzę...
 Przepraszam.

Pan Jan.

Owszem, mociumdziu, aspanno,
 Słucham z uwagą... lecz trochę się dziwię,
 Że tak asińdzka bierzesz to rzewliwie.
 Prawda, na świecie przykrości niemało,
 I nie każdemu wygody książące...
 Ale rozpaczać i opuszczać ręce,
 To psu na budę nawet się nie zdało!

Helena.

Ja nie rozpaczam i skarżę się rzadko,
 Ale gdy w piersiach srogi ból nabierze,
 Trudnoż utaić...

Pan Jan.

Ot, wyznam ci szczerze,
 Żem tu rozmawiał z asińdzki sąsiadką,

Co o asińdze wie wszystko bez mała,
I też mnie dużo narozpowiadała...

Helena.

I cóż?

Pan Jan.

Mociumdziu, zwykle, to i owo,
Jak to się dzieje w poufnój rozmowie,
Nawet intrygę ową romansową,
Co to aspannie załęgła się w głowie.
Ot już aspanna rumieni się trocha,
Że mi ta cała sprawa nie jest tajna...
Nie ma co... to rzecz, mociumdziu, zwyczajna,
Kaźda się kocha i kaźda odkocha.

Helena.

O nie... nie kaźda...

Pan Jan.

Tak się waśće zdaje,
Lecz ja te rzeczy znam, bom nie dzisiejszy.
Wiem, jak to plotą miłosne ambaje,
Jak przysięgają affekt najwierniejszy,
A zajrzy nowy buziak, to z respektem
Furda, mociumdziu, w kąć z dawnym affektem.
Rzecz zwykła, w człeku młoda krew, nie drewno;
I choć to źle jest grzech wytykać cudzy,
To mnie się widzi, mociumdziu, na pewno,
Że gach aspanny tenże sam co drudzy.

Helena.

Jakto?... mój Karol?...

Pan Jan.

Karol, czy Gerwazy,
Zawsze to jedno nieodrodne plemie...
Mogę aspannie to ręczyć w sto razy.
Choć to, mociumdziu, chłop nie bity w ciemię,
I widzi mi się ze sprawnością rzadką,
Kiedy w serduszko zajechał tak gładko...
Co waśćka spuszcza tak oczy przedemną?
Taćże wiem, żeś się nie kochała w Turku;
Lecz po cóż sprawę przewleka daremno
I ciągle wodzi, mociumdziu, na sznurku.

Helena.

Bo czeka matki pozwolenia.

Pan Jan.

Baje!...

Ot ich zwyczajne, mociumdziu, gadania,
Jak tylko panna o zwłokę nałaje,
To zaraz każdy matką się zasłania:
Pisał list niby, na księżyc, do matki,
Tymczasem zdradę nurtuje po cichu,
Aż kiedyś raptem zabierze manatki,
I fora z dwora, ni słychu, ni dychu!
No, niech aspanna nie szlocha tak silno,
Może ten inšzy... kadukże tam zna go...

Trzeba to wszystko umieć znieść z odwagą.

(Bierze ją za rękę.)

Ot, ja asińdźce dam radę przychylną,
Niech go asińdźka rzuci do kaduka,
A męża sobie innego poszuka...

(Helena patrzy nań ze łzami.)

I dobra rada moja, aśćko droga,
Choć na mnie patrzysz jakby na raroga.
Tak, to koniecznie aspannie przystało.
Niechajby to był człowiek osiwiały,
Coby mu fumy z głowy wywietrzały,
Coby mu ufać można było śmiało,
Coby miłował rozsądnie a stale,
Mociumdziu...

Helena.

Za mąż nie pragnę iść wcale.

Pan Jan.

Ot znowu, każda, mociumdziu, tak gada,
A trza iść za mąż, już to trudna rada:
Tak naznaczono... Ot naprzykład, gdyby...
Że to aspannie powiem węzłowato...
Gdyby człek sensat, już niemłody, niby
Partya uczciwa... Ot, ja, dajmy na to...

Helena (z największym zadziwieniem).

Jakto?... jegomość?..

(Poprawiając się)

Pan?

Pan Jan.

Cóż w tém dziwnego?

Toć się i starzy przecię nie ustrzega,
 Że ich pokusa czasem w serce bodnie?

Helena (zafrasowana).

Ależ, to dla mnie pochlebniem jest bardzo,
 Lecz...

Pan Jan.

Namyśliłże się aspanna dowodnie...
 Rozsądne panny i starym nie gardzą:
 Stary ferworów wielkich nie przyrzeka,
 Ani ich wzajem za to nie wymaga...
 Lecz jest u niego gruntowna rozwaga,
 Rozsądna rada, poczciwa opieka;
 On nie uwiedzie, nie rzuci zdradziecko,
 Fałszywym szczęścia nie skłamię obrazem;
 Ale, mociumdziu, przytuli jak dziecko,
 Będzie i mężem i ojcem zarazem.
 Za poświęcenie, za miłość, staremu
 Chwilowy uścisk, łza wdzięczności dosyć...
 Bo on pojmuje to dobrze, że jemu
 Już nie wymagać, mociumdziu, a prosić...
 On wie, że serce już zlodowaciałe
 Wzajemnych uczuć w zamian nie rozżarzy,
 Że gdy go ona chwilką szczęścia darzy,
 Da więcej niż on dając życie całe!...

Helena*(wstawszy, bierze go za rękę).*

Wszystkiemu temu w zupełności wierzę,
 I za tę ufność wdzięczna jestem szczerze...
 Możeby inna, czując się bogatą
 W większe zasoby miłości i wiary,
 Chętnie przyjęła te pańskie ofiary...
 Lecz ja nie czuję dosyć siły na to...
 Kocham innego... i co bądź się stanie,
 Choćbym widziała w sercu jego zmianę,
 Ja mu na zawsze wierną pozostanę,
 Bo dość na życie raz takie kochanie!...
 Panabym kochać nie mogła... nie chciała...
 Próżnobyś szczęściem pragnął mię zbogacić:
 Serce uwiędłe i dusza zboliała
 Długu wdzięczności nie mogłyby spłacić...

Pan Jan.

Ależ, mociumdziu...

SCENA VI.**Ciż sami, Karol.**

Karol *(wpadając drzwiami w głębi z listem w ręku).*

Niech co chce się stanie!...

Ja...

(Przerywając nagle, spostrzegłszy pana Jana:)

Pan wuj tutaj?...

Pan Jan.

Ot, znowu pytanie!...

Sam waśc tu jesteś, toż i ja być mogę.

(Helena gestami okazuje zdziwienie.)

Karol (zapalając się).

A... już poznaję co to wszystko znaczy!...
 To pan wuj matce posłał tę przestrozę!...
 Pan wuj rzecz całą przedstawił inaczej!
 Pan wuj, z pewnością, daję na to słowo,
 Odegrał rolę podstępnego świadka,
 I wszystko zgubił!... Moja dobra matka
 Nie pisałaby do mnie tak surowo,
 W tak przykrójby mnie nie stawiała walce,
 Gdyby nie pan wuj umaczał w to palce.
 Lecz niech się pan wuj zwycięstwem nie szczyci;
 Owszem, niech szczerze przekonany będzie,
 Że ja się nie dam tak wodzić na nici,
 Że sobie rady dać potrafię wszędzie,
 Że mu daruję zapis w testamencie!...
 A co przysiągłem, to wykonam święcie...
 Uczucia moje prawdziwe i szczerze,
 A ona jest ich godną...

Pan Jan.

Terefere!...

Waszeczka jakaś ukąsiła mucha,
 Wpadłeś, mociumdziu, tutaj jak szalony,
 A teraz prawisz wierutne androny...

I zaraz gniewem tak ostro wybucha!
 Ja nie rozumiem co się waści roi,
 Słowa do matki nie pisałem twojej...
 Ona o moje nie pyta się zdanie.
 A gdzie respekt, he?... gdzie uszanowanie
 Dla wuja?...

Karol (chłodniejszym tonem).

Więc wuj nie pisał do matki
 Listu?

Pan Jan.

Waść, widzę, zbzikowany srodze...

Karol (spokojniej).

I wuj nie wiedział, że ja tu przychodzę?

Pan Jan.

Jeszcze!... Mociumdziu, to już upór rzadki!
 Zkądże waść przyszedł do takiej napaści?
 Wszakże raz pierwszy spotykam tu waści,
 A jak téj panie najlepiej wiadomo,
 (pokazując drzwi na prawo:)
 Przychodzę dawną odwiedzić znajomą.

Karol (prawie zupełnie uspokojony).

A no, kiedy tak, to wujowi zrobię
 Całe wyznanie. Wystawże wuj sobie,

Już rok upływa, jako sercem całém

(wskazując na Helęgę)

Tego anioła oto ukochałem

Uczuciem rzewném, silném, niepojętém,

Co duszę wznosi, co od złego zbawia!

Posiąść ją, było jedyne marzenie

Moje!... do matki szlę o przyzwolenie,

Zaklinając ją na wszystko co świętém...

(Pokazując list)

Ona tym listem odmawia!

Helena.

Odmawia!?

(Upada bezwładnie na krzesło.)

Jam to przeczuła!...

Karol.

Niech się co chce stanie...

Wiem, że zwierzchności władza matce służy,

Lecz kiedy takie objawiła zdanie,

Słuchać rozkazów jój nie będę dłużej;

Na jój najsroźsze gotów'em wyrzuty,

Na wszystkie męki ważę się i bole,

Jeśli ze szczęścia mam już być wyzuty,

To raczěj umrzeć, niż żyć bez niój wolę!

Tak jest—na wszystko, wszystko się odważę!...

Matkę mą szczerze czciłem i kochałem,

Lecz gdy mi serce z piersi wydrzeć każe,

Kiedy pomiata szczęściem mojem całém,

Gdy zapomina, żem ja jest jój dziecię,
I ja zapomnę!...

Pan Jan.

Waśc androny plecie...

Helena

(powstaje z krzesła i zbliżywszy się do Karola).

O! nie, Karolu, Bóg mi świadkiem w niebie,
Żem ja nad życie ukochała ciebie!...
Lecz gdy się serce twoje zapomina,
Moje nie może tych poświęceń znosić,
Już dla miłości uczyniłeś dosyć,
Uczyńże zadość obowiązkom syna.
Ślub ten bez matki twojej przyzwolenia,
Miłości święte skalalby ołtarze,
Byłby nam ciągłym wyrzutem sumienia,
Nieprawem szczęściem, za które Bóg karze.
Ta chwilka szczęścia, kupiona wiecznemi
Łzami, obojga zatrulaby dołę...
Ja się miłości twojej wyrzec wolę,
Niż stratą Nieba kupić szczęście ziemi!

Karol.

Nie!... tak nie będzie!... O! nie, ukochana!
O, nie!... to Bóg sam połączył nas społem!...
Pojadę, padnę przed nią na kolana,
Będę ją błagał z nachylnym czołem,
Opiszę miłość, co w mém sercu pała...
Ona ma serce, wszakże mnie kochała...

Ona przyzwoli... tak jest... Lecz jeżeli
 Zła już wybiła nad nami godzina,
 Jeżeli prośby moje się ośmieli
 Odrzucić... wówczas... niechaj płacze syna!

(Wybiega szybko.)

SCENA VII.

Helena, pan Jan.

Helena

(do pana Jana, zbliżając się ze złożonemi rękoma).

O! biegnij za nim!... Ja go zlecam twojej
 Pieczy!... niech wróci, niech się uspokoi!...
 O! niech Bóg na mnie tej klęski nie zsyła!
 Jabym go nigdy, nigdy nie przeżyła!...

Pan Jan.

Biegnę i z sobą wnet go przyprowadzę!

(Wychodzi śpiesznie.)

SCENA VIII.

Helena

(sama — kłękając przed obrazem Najświętszej Panny).

O! Matko Boża!... pod Twoją się władzę
 Świętą oddaję!... ratuj mnie zbolalą,
 O! matko Boża!...

Helena, pani Anzelmowa.

Pani Anzelmowa (wychodząc drzwiami z prawej).

Co się tutaj stało?

Helena

(wstawszy z kolan, zbliża się do krzesła, na którym siada machinalnie — pani Anzelmowa siada przy niej. — Helena jakby bezprzytomnie powtarza ostatnie słowa Karola).

On wyrzekł: „Wówczas niechaj płacze syna!”...

O, tak!... zła dla nas wybiła godzina...

(Przykładając rękę do piersi:)

O, jakże w piersi serce mi boleje!...

Tu... tu...

Pani Anzelmowa.

Heleno!... co się z tobą dzieje?...

Helena.

On był tu...

Pani Anzelmowa.

Kto on?

Helena.

Karol.

Pani Anzelmowa.

Ależ przecie!...

Helena.

Przyniósł list.

Pani Anzelmowa.

Matki?

Helena.

Tak.

Pani Anzelmowa.

Cóż?

Helena.

Odmówiła.

Pani Anzelmowa.

I cóż ty na to?

Helena.

Dla mnie wszystko w świecie

Skończone!

Pani Anzelmowa.

A on?

Helena.

On chce jechać do niej...

Jam go napróżno błagała, prosiła,
Chce ją przekonać, a jeżeli wzbroni...

Pani Anzelmowa.

Rozumiem... groźba?...

Helena.

Chce umrzeć...

Pani Anzelmowa

(mówi smutnie i powoli).

O! dzieci...

Wamże to znane to serce miłosne
 Matki!?... W was gniewy lada opór nieci,
 I taje miłość jakby śnieg na wiosnę....
 Ta miłość, w której ona żyła cała,
 Na której gmach swój szczęścia budowała....
 To nasz los!...

Helena.

Lecz on wyszedł bez pamięci:
 Jeśli odmówi?...

Pani Anzelmowa.

Nie lękaj się, dziecię...
 Ta matka raczej życie swe poświęci,
 Niźliby syna narażała życie.

Helena

(uspakajając się powoli).

Przystanie?

Pani Anzelmowa.

Nie wątp o tém jako żywo....

Helena.

A więc ja będę szczęśliwą?!

Pani Anzelmowa

(smutnie wstrząsając głową).

Szczęśliwą?!...

Helena.

Jakto? więc wątpisz, że przez to zameżcie?...

Pani Anzelmowa.

O! biedne dziecko!... znasz ty co to szczęście?

Helena.

Jakto?

Pani Anzelmowa.

Posłuchaj i bierz przykład ze mnie,
 Bom ja te same przeszła już koleje.
 Wiem, że dla ciebie on teraz szaleje,
 Wiem, że mu sercem odpłacasz wzajemnie,
 Wierzę, że matka już się nie sprzeciwi,
 Więc ślub nastąpi... będziecie szczęśliwi.
 Lecz jakże krótka tego szczęścia chwila?!...
 Dziś złoto-barwną pieścicie nadzieję,
 Dziś życie wam się w rajski kwiat umila,
 I każda chwila promiennie jaśnieje...
 Lecz wkrótce... blask swój owe barwy stracą,
 Raj w zwyczajności wnurzy się otchłanie,
 Niszcząc wam szczęście swą szatańską pracą...
 Nadejdzie nuda i rozczarowanie...
 Wasze złudzenia legną w marzeń grobie...

Wówczas... raz pierwszy spojrzycie po sobie.
 Anioł zziemszczeje i przybierze ciało,
 Bóstwo w śmiertelnych stanie znowu rzędzie,
 A serce?... Serce im więcej kochało,
 Tém bardziej teraz obojętnieć będzie!...
 Bo szybko miłość brak złudzeń przygasza,
 A wówczas każdy wzajemnie się wini.
 Ot, dzisiaj... stanu ta nierówność wasza
 Zamiarom waszym przeszkody nie czyni..
 Lecz wówczas... niechaj Nieba cię ustrzegą,
 Lecz może sprawić dopuszczenie Boże,
 Że on to tobie da uczuć... że może
 Jaką wymówkę usłyszysz od niego.
 A jeśli za twe, czy za jego grzechy,
 Bóg ciebie klęską nawiedzi ogromną,
 Gdy ci odmówi aniołów pociechy...
 Niewdzięcznych dzieci, co kiedyś zapomna
 O tobie... gdy ci ten już promień skona
 Ostatni... czém się pocieszysz strapiona?

Helena.

Nie!... tego Niebios nie dopuści wola!...
 Nie!... ty się mylisz... o, ja znam Karola!
 On wolen wszelkiej światowej rachuby,
 Nigdy mię na te nie narazi próby!...
 A jeśli jaka zawistna nam siła
 Sprawi, że smutne te chwile nadbiegą,
 Z rozkoszą będę boleść mą znosiła,
 Cierpiąc przez niego tylko i dla niego!

Pani Anzelmowa.

A więc przystaję... może się tak stanie
Jak mówisz, długie miną dla was lata,
I nie nadejdzie to rozczarowanie,
Które tak szybko ziemskie szczęście zmiata.
Ależ w największej zgodzie pędząc życie,
Samego szczęścia strudzeni ogromem,
Wy sami sobie nigdy nie starczycie...
Musicie szukać rozrywek za domem.
Wówczas to, wówczas uzbrój się odwagą,
Bo prawda tobie odkryje się nagą.
Świat, do którego on ciebie wprowadzi,
Świat obcy tobie dzisiaj i nieznany,
Narzuci wkrótce na was swe kajdany!
Czy sądzisz biedna, że tam będą radzi
Sierocie, którą on w objęcia swoje
Ujął, żeby w ich wprowadzić podwoje?
Czy ty znasz owych przykrości tysiące,
Które cię wówczas ze wszech stron obsiędą?
Które jak szpilki ostre i kolące
W serce się wpiją i krew sączyć będą?
Nie wątpię, że ty w téj odwadze stała,
Odrzucisz hardo tych małościak fale,
Że w jego szczęściu zatopiona cała
Zniesiesz to wszystko mężnie i wytrwale,
Że śmiało światu stawisz czoła wszędzie;
Lecz cóż uczynisz, gdy on cierpieć będzie?
Gdy pod ciosami zawistnej ci zgrai,

Przedwczesne zmarszczki czoło mu naznaczą?
 Gdy to cierpienie, co w sercu zatai,
 Na twarz mu niemą wystąpi rozpaczą?...
 O! bo ty nie znasz boleści tajonój,
 Co dziko w piersiach kłębi się i pali,
 Gdy przedmiot, cośmy sercem ukochali,
 Widzimy w oczach naszych poniżony!...
 To na zbyt ciężkie dla serca są próby!...
 Zbyt prędko szczęście twoje się pogrzebie,
 Gdy będziesz widzieć, że on, że twój luby
 Dla ciebie cierpieć będzie i przez ciebie!...

Helena (wstając nagle z krzesła).

Nie!... tak nie będzie!... dzięki tobie, dzięki!...
 Tyś mię ostrzegła o tém niedaremnie!...

(Napisawszy przy stoliku prędko kilka słów, oddaje je Anzel-
 mowej).

Patrzaj.... sama mu odmawiam méj ręki;
 Zechciéj to pani oddać mu odemnie....

(Zakrywa twarz rękoma.)

Więc pograżyłam me szczęście w otchłani,
 Żeby odwrócić te chwile złowieszcze!...
 A teraz ty mnie nie opuszczaj, pani!...
 Ty jedna w świecie zostajesz mi jeszcze...
 Podaj samotnéj swą rękę siostrzyną,
 Bądź mi pociechą ostatnią... jedyną!...

Pani Anzelmowa.

O! córko moja, chodź na matki łono!

SCENA X i ostatnia.

Pani Anzelmowa, Helena, Pan Jan, Karol.

Pan Jan (wchodząc z Karolem).

No, przyprowadzam twojego gagatka....
Masz go nareszcie!...

Karol (sposztrzegając Anzelmową).

Moja matka!

Helena (cofając się przerażona).

Matka!?

Pani Anzelmowa.

Tak jest, to syn mój...

(Przyprowadza go do Heleny i łączy ich ręce.)

A tyś jego żoną!

Koniec tomu drugiego.



N. 747/56

TREŚĆ TOMU II-go.

PRZEKŁADY.

	<i>Str.</i>
Sieroty. Z Wiktora Hugo	3
Zasłona. Z Wiktora Hugo.	14
Kain. Z Wiktora Hugo	17
Rumak. Z Wiktora Hugo	21
Z Wiktora Hugo	27
Ewa. Z Coppée'go	28
Sennacheryb Z Coppée'go	30
Dwa grobowce. Z Coppée'go	33
Grom. Z Coppée'go	35
Głowa Sultanki. Wolny przekład z Coppée'go	37
Jesień. Z Coppée'go	45
Bezrobocie kowali. Z F. Coppée'go	47
Klejnoty wyzwolenia. (Z wojny r. 1870—71) Z Coppée'go.	56
Ballada zrozpaczonego, H. Murgera	62
Mucha. Monolog z francuzkiego	65

DRAMATA I KOMEDYJE.

Salon. Dramat z XVI wieku, w trzech aktach.	71
Ostatnie chwile Kopernika. Obraz dramatyczny	153
Michał Sędziwoj. Dramat w pięciu aktach.	177
Matka. Obrazek dramatyczny w jednym akcie.	299
